

THRILLER

GRETA
DRAWSKA

NOWA ZNAJOMA

MROCZNE
MIEJSCA

I BLISCY, KTÓRYCH INTENCJE SĄ TRUDNE DO ZROZUMIENIA

Prószyński i S-ka

GRETA
DRAWSKA
MROCZNE
MIEJSCA

Prószyński i S-ka

Copyright © Małgorzata Hayles, 2023

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Artem Gavrysh/[Unsplash](#)

Redaktor prowadząca
Anna Derengowska

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-449-4

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Moim Czytelnikom

*Czerwony neon grający na deszczu,
a ty mówisz, że nasza gęsta, młoda krew tonie w błocie.
Nawet kiedy próbuję, wiem, że to kłamstwo,
dlatego że ty wiesz, że ja wiem.
Nigdy nie wracamy do domu.*

Molly Nilsson, *We're Never Coming Home*
Tłumaczenie pochodzi ze strony tekstowo.pl

*Chodzi lisek koło drogi, nie ma ręki ani nogi.
Kto się liska nie spodzieje, temu pasem przyodzieje.*

Jedna z wersji dziecięcej wyliczanki,
popularnej w latach
sześćdziesiątych ubiegłego wieku

CZĘŚĆ PIERWSZA

WTEDY

Po prawej stronie leży wybebeszona torba, a zygzak rozpiętego zamka wije się w trawie jak wąż. Igliwie kłuje mnie w policzek, kiedy próbuję skupić wzrok na srebrnym breloku w kształcie litery A – jak Anna, Aneta, Amanda? Wątlwy rytm oddechu podpowiada mi, że Anna. Klękam i staram się pozbierać rozrzucone przedmioty do środka, ale jestem słaba i pasek torby wyślizguje mi się z rąk. Rozlega się brzęk, który rozbija moją czaszkę na setki pulsujących części.

Wiem, że to nie pierwszy raz, kiedy targają mną torsje. Mówi mi o tym dotkliwy ból w kolanach, posmak żółci w ustach i brudny ślad na bluzce. Gdy kończę wymiotować, światło gaśnie w skręconych nitkach mchu obok mojej rzuconej w trawę džinsowej kurtki, a z wnętrza torby dobiega zduszony dźwięk telefonu. Przypomina połkniętą pozytywkę, która gra i gra w brzuchu węża. Molly Nilsson śpiewa *We're Never Coming Home*, a głowa ulega dalszym podziałom. Kiedy składa się już z tysięcy ocierających się o siebie ostrych okruchów, telefon odzywa się ostatni raz i zapada cisza.

W zaroślach znajduję okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem, którą wciskam na głowę, zużywając tyle energii, że muszę się zatrzymać i oprzeć o drzewo. Biorę dłuższy oddech. Zmieściłaby się w nim nawet Anastazja, a Anastazja rymuje się z afazja, afazja z abrazja... Gdzieś daleko, na głównej ścieżce, dostrzegam przemieszczającą się szybko sylwetkę w żółtej kamizelce odblaskowej. Jest wysoka i barczysta, to mężczyzna. Opuszczam niżej daszek i zapinam kurtkę, by przykryć ślad wymiocin na bluzce. Wychodzę z lasu i jak na autopilocie docieram do Galerii Malta.

Za drzwiami toalety na parterze stoi żółty wózek przygotowany do ostatniego sprzątnia, ale nikogo przy nim nie ma. W toalecie też na szczęście jest pusto. Z lustra spoglądają na mnie przekrwione oczy, lecz i tak wyglądam dużo lepiej, niż się czuję. Światło odbija się od niebieskiego kamienia w złotej oprawie w moim prawym uchu, ale w lewym brakuje kolczyka. Niech to szlag, musiał wypaść, gdy wymiotowałam w zaroślach. Zdejmuję ostrożnie ten, który mi został, i wkładam do bocznej kieszeni torby, a potem pompuję na rękę trochę mydła i szoruję twarz, dekol, jasne włosy sklejone przy uchu lepka mazią. Z tą samą energią zabieram się do rdzawych śladów na spodniach, które stają się przez to jeszcze bardziej widoczne.

Wyjmuję z torby komórkę i sprawdzam połączenia. Dwa ostatnie, których nie odebrałam, są od Natalii. Dała w końcu za wygraną i wysłała mi kilka wiadomości. Każdą z nich jak zawsze hojnie opatrzyła emotikonami:

20.15 *Co się z tobą dzieje? Mam nadzieję, że jesteś już w drodze...* Zdziwiona buźka, zatroskana buźka, buźka ze zmarszczonym czołem.

20.30 *Zastąpiłam cię, ale mam nadzieję, że niedługo dotrzesz!* Rozczarowana buźka, przytulająca buźka, buźka w serduszkach.

Dołącza zdjęcie mężczyzny, na którego widok zastygam w przerażeniu, ale to przecież tylko GIF, na którym Chandler Bing, ulubiony bohater Natalii z *Przyjaciół*, przykłada rękę do uszu w geście niedowierzania.

W sieciówce H&M, najbliższej toalety, zdejmuję z półek džinsy i bluzę, a z drucianego kosza dobieram parę tanich trampek w moim rozmiarze. Oddech mi przyspiesza, gdy dziewczyna przy kasie podsuwa mi czytnik leniwym gestem i okazuje się, że muszę wbić PIN. Czuję w głowie totalną pustkę, ale o dziwo mój palec wskazujący wybiera odpowiednie cyfry. Zupełnie jakby opuszka z liniami papilarnymi przypominającymi zwoje mózgowe miała swoją pamięć.

W toalecie zaszywam się w kabinie najdalej od wejścia i zrzucam z siebie brudne ubrania, a gdy ktoś wchodzi do środka i ciągnie nerwowo za klamkę, spuszczam wodę i nic nie mówiąc, czekam, aż sobie pójdzie. Nowe spodnie są zbyt luźne w talii, ale zakrywa to przydługa bluza, za to trampki są idealne. Słyszę stukot oddalających się obcasów na posadzce, a potem szum suszarki do rąk. Czekam jeszcze minutę, aż zapadnie całkowita cisza, i dopiero wtedy wychodzę na korytarz. Stare ciuchy wciśnięte do reklamówki z logo H&M wrzucam do kosza na śmieci.

TERAZ

ANNA

Patrzę na swoje ręce zaciśnięte na kierownicy dużo niżej, niż życzyłyby sobie tego mój instruktor jazdy, który powtarzał, że powinnam mierzyć pomiędzy za kwadrans trzecia i za dziesięć druga. Myślę o nim przez ułamek sekundy i wyświetla mi się wściekle czerwony kolor jego zmechaconej bluzy i wielki dmuchany młotek, którym uderzał mnie w ramię za każdym razem, gdy zachowywałam się na drodze nonszalancko. Na przykład zmieniałam pas, nie patrząc w lusterko. Miałam wtedy dwadzieścia lat, teraz mam dziesięć więcej i już wiem, że to nie była nonszalanca, tylko głupota.

Uśmiecham się mimo woli i napięcie w ramionach puszcza, a ja odrywam ręce od kierownicy. W mdłym świetle podziemnego parkingu galerii handlowej przypominają jesienne liście. Patrzę na pojedyncze żyłki, a potem niżej, na stopy w rozczłapanych trampkach, które kupiłam wtedy w H&M. Żałuję, że dziś je włożyłam. Znowu robi mi się niedobrze, choć dopiero co wymiotowałam. Po co tu przyjechałam? Dlaczego akurat dzisiaj? Nie powinnam tego robić. Na wspomnienie wydarzeń sprzed sześciu lat dopada mnie kolejna fala mdłości.

– Jedźmy – rzuca nieznajoma kobieta, gramoląc się na miejsce obok mnie z dużą skórzaną torbą typu shopper i kilkoma foliówkami opatrzonymi logo sieciówek.

Towarzyszy jej intensywny zapach malin i wanilii, od którego jeszcze bardziej mnie mdli, a gdy patrzy w moją stronę, napotykam spojrzenie zielonych oczu w oprawie mocno wytuszowanych rzęs.

– Ojej, przepraszam, pomyliłam się. – Kobieta uśmiecha się z zażenowaniem i otwiera szeroko drzwi. Do wnętrza wpada zimne powietrze, które przyjemnie chłodzi mój spocony kark. – Te podziemne parkingi kiedyś mnie zgubią. – Kręci z zażenowaniem głową, potrząsając rudymi włosami upiętymi w koński ogon.

Kogoś mi przypomina, amerykańską aktorkę, którą widziałam w filmie dawno temu. Piekła z synkiem tort urodzinowy dla męża, a później uznała, że nie jest idealny, i wyrzuciła go do śmieci. Jak to w filmach, tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Chyba po prostu nie miała szczęśliwego życia i nie pomagał jej na to ani synek, ani tort. Nie pamiętam tytułu filmu ani nazwiska aktorki.

– Nic się nie stało. – Uśmiecham się, żałując, że nie kupiłam wody. Usta nadal mam spierzchnięte po wymiotowaniu.

– Wszystkie ciemne samochody wyglądają w tym świetle tak samo, prawda? – Rudowłosa sięga po torby z zakupami. Piękne ma te włosy, lśnią, jakby były pokryte taflą płynnego złota.

Na potwierdzenie jej słów mijają nas czarne audi i parkują kilka miejsc dalej.

– Jaki to sektor?

Zanim zdążę odpowiedzieć, zerka na żółte oznaczenie na murze.

– Mąż nie mógł już wytrzymać mojej terapii detalicznej i powiedział, że zdrzemnie się w samochodzie. – Odwraca się i zerka na tylne siedzenie, jakby mimo wszystko spodziewała się go tam zastać.

Ponownie owiewa mnie zapach malin i wanilii, a kolejna fala mdłości jest silniejsza od poprzedniej. Kładę rękę na brzuchu i staram się wykonać proste ćwiczenie oddechowe, które czasem pomaga. Wyobrażam sobie kwadrat i wdycham na dwa, pionowo sunąc po jego lewym boku, a potem wydycham na dwa – poziomo, po jego górnym boku...

– Dobrze się pani czuje? – Nieznajoma patrzy na mnie z troską i ścianki kwadratu rozplývają się jak we mgle.

– Drobną niestrawność, to nic takiego, zaraz przejdzie. Zwykle nie jadłam fast foodów, a dziś nie dało się tego uniknąć.

Małe kłamstewko, ale przecież jej nie znam. Co to szkodzi.

– Doskonale to rozumiem.

Jakoś nie wyobrażam jej sobie z Big Makiem, i chodzi nie tylko o nienaganną figurę, ale i o ciuchy widoczne pod rozpiętym beżowym trenczem. Jasne spodnie w kant są opięte na długich nogach, a koszulową bluzkę zawiązała pod szyją na kokardę. Ma około czterdziestki, pieniądze i dobry gust.

– Może wody? – Macha butelką, ale odmawiam, choć umieram z pragnienia.

Kobieta wyjmuję z torebki komórkę.

– To poziom minus jeden – mówi głośno do siebie. – My zaparkowaliśmy na minus dwa, teraz to sobie przypominam. Wspomniałam nawet o Dancie i kręgach piekła... Ach, no tak.

– Coś się stało?

– Mąż wysłał mi wcześniej SMS, ale nie usłyszałam. Wszystko przez tę piekielną muzykę. Grają jak na „Titanicu”, zanim poszedł na dno. Pięknie! – mówi tonem, który sugeruje coś przeciwnego. – On po prostu mnie tu zostawił i sobie pojechał, bo miał coś pilnego do załatwienia. Mężczyźni! – Wzrusza ramionami i wiem, że powinnam coś powiedzieć w geście kobiecej solidarności, ale milczę.

– Podwieźć gdzieś panią? – pytam, gdy kobieta zbiera się do wyjścia, zgarniając pakunki. Jeszcze chwilę temu nie mogłam się doczekać, aż sobie pójdzie, ale teraz nie chcę zostać sama ze swoimi myślami. To był kiepski dzień.

– Mieszkam w Gruszczynie, to pod Poznaniem, nie będę pani robić kłopotu.

– Żaden kłopot. Tak się składa, że jadę w tym samym kierunku.

To akurat prawda, bo dom, który Bartek odziedziczył po dziadkach, znajduje się w Puszczy Zielonce. Obracam nerwowo pierścionek zaręczynowy na palcu i przypomina

mi się wygrawerowany na nim fragment wiersza e.e. cummingsa o deszczu, który nie ma tak drobnych rąk. Myśl o Bartku i o naszym wspólnym życiu jak zawsze mnie uspakaja.

Gdy wyjeżdżamy z parkingu na ulicę pod Galerią Malta, błękit nieba szarzeje, a lampy zaczynają rzucać bursztynowe światło na pusty chodnik. W oddali stoi mężczyzna z psem i rozmawia przez trzymaną w ręku komórkę.

– Ludzie teraz mniej palą, bo pojawiły się rekwizyty zastępcze – mówi kobieta, ale on jak na złość zapala papierosa, gdy go mijamy.

Uśmiechamy się do siebie.

Po drodze trochę rozmawiamy, choć więcej mówi ona. Widzę, że mówienie to dla niej forma socjalizowania się, jest przyzwyczajona do słuchania swojego głosu. Może to nauczycielka. Albo dentystka. Kiedyś byłam dobra w odgadywaniu zawodów obcych ludzi, ale odkąd zaszyłam się w domu Bartka pod lasem, brakuje mi praktyki.

– Będzie pani wiedziała, jak tam dojechać? – pyta nieznajoma, gdy zatrzymuję się na kolejnych światłach. – Tam, za szeregowcami, trzeba odbić w lewo i wjechać w boczną drogę.

Za nowo wybudowanym osiedlem w podpoznańskim Gruszczynie posłusznie skręcam i dalej jedziemy wąską jezdnią, patrząc, jak niebo na zachodzie nabiera barw dojrzałej brzoskwini. Mdłości na szczęście minęły i skupiam się na trasie, słuchając dalszych instrukcji.

Dom, pod którym się zatrzymujemy, jest schowany za wysokim ogrodzeniem, przy którym rosną iglaki. Wygląda na jedną z tych nowoczesnych stodół, które podobają się Bartkowi, ale ponieważ na nic takiego nas nie stać, to mówi, że są obrzydliwie hipsterskie. W wielkich oknach na piętrze, do połowy przesłoniętych roletami, widać światło. Wygląda na to, że jej niecierpliwy mąż wrócił już do domu. Swoją drogą, to musi być okropny dupek, skoro wywinął jej taki numer.

– Może da się pani zaprosić na herbatę? Mam nawet ciasto, wprawdzie kupne – kobieta wskazuje ręką na torby – ale to tarta malinowa, a nie znam nikogo, kto zdołałby się jej oprzeć.

No tak. To tłumaczy intensywny waniliowo-malinowy zapach. Innym razem bym się skusiła, ale teraz na samą myśl o jedzeniu mój żołądek zaciska się w pięść. Poza tym ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest spotkanie z jej mężem. Kiepsko to rozegrał. Rozkładałam rękę.

– Dziękuję, ale nie tym razem. Późno już. – Wskazuję brodą na mrok gęstniejący za szybą.

– Ach, no tak. Oczywiście. Cóż, może będzie okazja kiedyś się zrewanżować. Bardzo pani dziękuję. Dużo przyjemniej niż Uberem. Nie wiem, może mam pecha, ale trafiają mi się zawsze mylący drogę, rozpędzeni i rozgadani kierowcy w śmierzących od papierosów samochodach.

Nie czuję potrzeby wymiany numerów, ona jednak podaje mi swoją wizytówkę. Zawód architektki wewnątrz tłumaczy jej wysmakowany strój, ale to na jej oryginalnym imieniu zatrzymuję wzrok.

– Ma pani niespotykane imię, bardzo ładne.

– Rebeka to pomysł mojej mamy, choć nie mamy żydowskich korzeni, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. W dzieciństwie go nie lubiłam, bo byłam gruba.

Unoszę wysoko brwi. Chyba czegoś nie rozumiem.

– Gruba Beka, Gruba Beka! – Wykrzywia twarz w złośliwym uśmiechu. – Ech. Na podwórku miałam przerąbane.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, jak to inaczej skomentować. Dzieci bywają okrutne, wiem coś o tym.

– No to... Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie. – Rebeka przykładła do ucha wyimaginowaną słuchawkę z kciuka i małego palca.

Julianne Moore, przypominam sobie imię i nazwisko rudowłosej aktorki, machając jej ręką na pożegnanie. Wykręcam kawałek dalej, a potem szybko wracam na pasek asfaltu wijący się wśród pól. Niebo jest już granatowe i pełne gwiazd. Mój telefon rozładował się dawno temu i mam nadzieję, że Bartek nie próbował się do mnie dodzwonić, a potem szukać mnie u mamy. Nie chcę się tłumaczyć. Poza tym wystarczy mi emocji jak na jeden dzień i marzę już tylko o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku.

W zamyśleniu dotykam brzucha i mijam zatoczkę, w której ktoś porzucił stare opony i kanapę wymytą z koloru przez ostatnie deszcze. Za zakrętem – tam, gdzie po obu stronach drogi wyrasta zwarta ściana lasu – coś przelatuje mi przed maską, dzikookie i szybkie jak pocisk. W ostatniej chwili naciskam na hamulec i zwierzę umyka. Chyba lis. W okolicy podobno zawsze było ich pełno, a gdy się tu przeprowadziłam, starzy ludzie we wsi pytali, czy zamieszkałam w Lisiej Chacie. Bartek powiedział, że kiedyś tak mówiono na dom jego dziadków, ale on nigdy nie lubił tej nazwy. Czy ja wiem, mnie się podoba. Nigdy nie mieszkałam w domu, który ma nazwę własną, jak wakacyjny pensjonat.

Dalej jadę już dużo wolniej, uspokajając tętno, i mijam przydrożny krzyż. Zdobiące go wstążki w pastelowych kolorach, które widziałam dziś rano, teraz wydają się całkiem czarne.

ANNA

Kiedy zajeżdżam pod dom z łuszczącą się zieloną werandą, dochodzi dwudziesta druga. Dawno nieprzycinane krzewy róż tworzą nad furtką baldachim i jeśli się nim nie zajmiemy, niedługo całkiem zatarasuje przejście. Grube pnącza glicynii wczepiły się w pofałdowany dach szopy na końcu ogrodu i oplotły wiśnię, poduszając ją systematycznie, aż zdziczała. Odkąd tu mieszkam, czyli od trzech lat, wiśna rodzi małe i cierpkie owoce, które gniją potem w wysokiej trawie.

Nie od razu wysiadam z samochodu. Wyjmuję ze schowka paczkę miętówek i wkładam jedną do ust, by Bartek nie wyczuł ode mnie zapachu wymiocin. Obracam w dłoni rozładowany telefon, myśląc o melodii *We're Never Coming Home*. To był świetny kawałek, ale od tamtego wieczoru sześć lat temu ani razu nie słuchałam Molly Nilsson. Zmieniłam nie tylko playlistę, ale też model i numer telefonu. Przypominam sobie krew na nogawce spodni, brudną bluzkę i skręcone, wilgotne nici mchu, gdy pozbywałam się zawartości żołądka.

Na werandzie zapala się światło i intensywniej sse cukierek.

– Dzwoniłem. – Bartek drapie się po swojej ulubionej wypłowiałej koszulce z koncertu Deep Purple i dodaje ze słabo skrywaną pretensją: – Bo bardzo długo cię nie było.

– Bateria mi padła. Mam nadzieję, że nie szukałeś mnie u mamy?

– Nie chciałem jej dodatkowo denerwować. Czuje się już lepiej?

– W porządku, to był rutynowy atak paniki. Chryste, chyba tylko moja matka potrafi wpaść w tego rodzaju rutynę. Jest jak dzieciak, który za wszelką cenę próbuje zwrócić na siebie uwagę.

– Co tym razem?

– Duszności, które magicznie ustały, gdy tylko stanęłam w progu. Muszę zacząć ignorować jej SMS-y.

Wymieniamy szybkie całusy.

– Wiesz, że jeśli pewnego razu naprawdę by cię potrzebowała, nigdy byś sobie tego nie wybaczyła – ostrzega Bartek, a ja przytakuję bez przekonania.

Przypomina mi się czas, gdy mieszkaliśmy jeszcze razem, niczym trzypokoleniowa republika babska. Mama, ja i Helenka, która wtedy była jeszcze niemowlęciem. Mała dużo płakała i choć pediatra mówił, że to kolki, to ja wiedziałam swoje. Nawet bobas wyczuwał napięcia między nami.

Na wieść o tym, że nigdy nie pozna ojca swojej wnuczki, bo nie utrzymuję z nim kontaktów i nie będzie brał udziału w jej wychowaniu, mama zacisnęła wargi w wąską

kreskę, a gdy się odezwała, usłyszałam, że wszystko, co mnie w życiu spotyka, jest winą mojego ojca. Funduję swojemu dziecku to samo, co on zafundował mnie. Jak ostatnia głupia powtarzam narzucony jej schemat. To był zresztą taki etap, kiedy mama winiła ojca za wszystko – za deszcz za oknem, podwyżkę cen, nowe zmarszczki na twarzy. Zupełnie jakbyśmy wcześniej byli idealną rodziną, świat był bajką, a ona wiecznie młoda.

Teraz mama nie wspomina już ojca, ma dla mnie nowe historie. Pisze mi w wiadomościach, że drętwieje jej ramię czy stopa, że ma duszności lub zgagę, która przypomina początek zawału. Jestem jedynaczką, więc tym bardziej żałuję, że po odejściu ojca nie znalazła sobie nowego faceta czy choćby przyjaciółki. Obie byłybyśmy szczęśliwsze.

Nie mówię tego Bartkowi, ale dziś, gdy u niej byłam i na klatce schodowej rozległ się jakiś hałas, mama zamarła jak zwierzę w potrzasku. Poczęstowała mnie kupnym ciastem, choć kiedyś słynęła ze świetnych wypieków. Powiedziała, że już nie piecze, bo w piekarniku trzyma żywność w puszkach. Ma za mało szafek. Poza tym nie używa piekarnika, bo się boi, że wybuchnie. Słyszała, że dochodziło do takich wypadków.

Nie opowiadam tego wszystkiego Bartkowi, zrzucając znoszone trampki, bo znowu by zaproponował, żebyśmy ją wzięli do siebie, a ja czułabym się jak wyrodna córka. Kocham moją mamę, ale on jej nie zna tak dobrze jak ja i tylko dlatego jest idealnym przyszłym zięciem. Nie potrafię i nie chcę stać się dla niej całym światem. Za dużo się dzieje w moim własnym życiu, które wreszcie zaczęło się jakoś układać.

– Przykro mi, że miałaś dziś ciężki dzień. Byłaś gdzieś jeszcze? – pyta Bartek, gdy wyjmuję z szafki kubek i napełniam czajnik wodą. Od razu czuję, jak napinają mi się mięśnie karku. Niemal widzę te twarde i bolesne guzeczki obciążone skórą. Męczą mnie kolejne półprawdy.

– W drodze powrotnej zajechałam do sklepu i kupiłam sobie nową sukienkę na niedzielę. Tak, wiem, że oszczędzamy, ale naprawdę dziś tego potrzebowałam.

Nie wspominam, że oprócz sukienki kupiłam też w aptece testy ciążowe. Trzy, żeby mieć absolutną pewność. Nie jestem jeszcze gotowa na tę rozmowę.

– Ładna? – Bartek ożywia się na wieść o sukience.

– Z pewnością spodoba się Helence, bo jest szyta z koła i ma kilka warstw niebieskiego tiulu, a góra jest lekko błyszcząca. Powie, że wyglądam w niej jak księżniczka. Za to Matylda uzna, że jest obciachowa. Ech, no kiecka jak kiecka – ucinam temat. Boję się, że za chwilę mnie poprosi, żebym ją przymierzyła.

Czuję się tak cholernie zmęczona. Najchętniej poszłabym spać na sto lat i zabiła każdego księcia, który próbowałby mnie obudzić.

– Jak dziewczynki?

– Helenka zasnęła, ja zresztą też. Klasyka gatunku. Pomyślałabyś, że przygody Elsy znudzą się jej po pierdylionowym razie? Wracam do łóżka, a ty?

– Niebawem przyjdę, najpierw wezmę dłuuuugą kąpiel.

– Tylko nie zaśnij w wannie.

Bartek ziewa, rozciągając barczyste ramiona, i znika w głębi korytarza. Za chwilę słyszę znajome skrzywienie podłogi na półpiętrze, a później skrzywienie sprężyn. Mój narzeczony układa się na górze w ciemnym, masywnym łóżku, w którym naprzeciwko obrazu *Zwiastowanie* sypiali jego dziadkowie. Nigdy ich nie poznałam. Mości się przez chwilę i w końcu zapada cisza.

Ładuję telefon, wyginając pod odpowiednim kątem kabel ładowarki, która czasem nie kontaktuje. Czuję się dokładnie tak, jakbym sama była pustą baterią. Ziewam i zrzucam buty. Wchodzę po schodach w samych skarpetkach i skradam się do pokoju dziewczynek. Mam nadzieję, że Matylda, siostrzenica Bartka, też zdążyła już zasnąć. Cholerne drzwi skrzypią, choć niedawno je oliwiłam, i nie po raz pierwszy myślę, że ten dom jest jak drzewo, którego soki wyschły.

Dziewczynki śpią pod dwoma rzędami lampek choinkowych. Ich ciepłe, rozproszone światło odmieniło ten wcześniej ponury pokój, który udało mi się ożywić dzięki pluszakom i poduszkom w bajkowe wzory. Tu można sobie wyobrazić, jak ten dom będzie wyglądał po remoncie, gdy nasza patchworkowa rodzina zostanie ostatecznie scalona.

Helenka leży na plecach, z rączkami rozrzuconymi na poduszce, a jej oddech pachnie pastą do zębów o smaku gumy balonowej. Porusza się przez sen i przewraca się na bok, tak że ukochana lalka, Elsa z *Krainy lodu*, wbija się jej w policzek, ale ona nawet nie drgnie. Próbuję zabrać lalkę, a wtedy dziewczynka się przebudza i wciska zabawkę głębiej pod kołdrę. Lepiej niech tam zostanie, bo będzie krzyk, jeśli córka nie znajdzie jej zaraz po przebudzeniu. Głaszczę ją po jasnych włosach, które w świetle lampek nabrały herbacianego odcienia, i przykładam usta do jej ciepłego czoła.

Na pościeli Matyldy, siostrzenicy Bartka, która ma zostać u nas do końca sierpnia, nie ma bajkowych wzorów, tylko ujęcie z filmu *Thelma i Louise*. To reprodukcja znanego plakatu w kolorze sepii, na którym Susan Sarandon i Geena Davis jadą w siną dal, a tuż za nimi unosi się chmura policyjnej obławy. Za kółkiem siedzi Sarandon w okularach przeciwsłonecznych na pół twarzy, a spod kół samochodu uciekają kłęby pyłu. Gdy całuję Matyldę na dobranoc, siada na chwilę, trzepocząc ciemnymi rzęsami, i mówi coś niezrozumiałego, a potem pada na poduszkę.

– Śpij, kochanie. – Zamykam za sobą drzwi, choć dziś najchętniej zostałabym tu z nimi. Zakopałabym się w ich bezpiecznym, dziecięcym świetle, żeby uciec od złych wspomnień.

Szósty maja. Nie znoszę tej daty.

Wracam do kuchni i nalewam sobie kieliszek białego wina. To, zdaje się, mój ostatni na jakiś czas, więc sączę go z tym większą przyjemnością. Chyba przysypiam, bo budzi mnie Buka, pręgowana kotka, która była podobno ulubienicą dziadka Bartka. Zaraz po jego

śmierci uciekła, ale wróciła, gdy ja się tu wprowadziłam, i darzy mnie niezrozumiałym uwielbieniem, ledwo tolerując pozostałych domowników. Teraz też wskakuje mi na kolana, mrużąc przymilnie oczy. Gdyby dziewczynki to widziały, byłyby zazdrosne. Mają fioła na punkcie tej kapryśnej kotki.

W kuchni pachnie wilgocią, jak wszędzie w tym domu, nawet gdy słońce na zewnątrz wypala trawy. Ja i Helenka przywykłyśmy do tego zapachu, wydaje nam się swojski, choć Bartek uważa, że jest niezdrowy. To on najbardziej nie może się doczekać remontu i powtarza, że dom dziadków zasługuje na drugie życie.

W różnych miejscach rozwiesił zdjęcia z magazynów wnętrzarskich, by nam służyły za inspirację. Na lodówce przykleił magnesem kolaż z wycinków z „Weranda Country”, czasopisma, które zaprenumerowałam dla niego na Gwiazdkę.

Od kuchennej podłogi wieje chłodem i podwijam pod siebie stopy ze wzrokiem wbitym w wycięte z gazet zdjęcia drewnianych krokwi, glinianych pieców chlebowych, własnoręcznie odrestaurowanych starych kufków i poprzecieranych białych kredensów. Mój telefon wreszcie wraca do życia, ale nie ma tam nic więcej poza desperackim SMS-em, który dostałam wcześniej od mamy, i dwoma nieodebranymi połączeniami od Bartka.

W łazience, położonej od północnej strony, nawet teraz, w maju, panuje ziąb. Napęlam wannę gorącą wodą, powoli, żeby nie hałasować, i zrzucam z siebie ciuchy i bieliznę. Sunę palcami po skórze jak wtedy, pięć lat temu, gdy zrzuciłam z siebie za duże ubranie. Mój brzuch był jeszcze płaski, uda szczupłe i sprężyste, a pod pępkiem nie było blizny, która została po cesarskim cięciu, tej wąskiej szczeliny, którą Helenka przysłała na świat.

Zanurzam się w wodzie i namydlam gąbką, a potem szoruję całe ciało tak energicznie, że z pieprzyka pod lewą piersią zaczyna mi się sączyć krew. Dopiero ten widok mnie otrzeźwia. Siedzę w wannie, aż woda całkiem ostygnie i stanie się lodowata jak roztopiony śnieg. Wyjmuję z szafki ciepłą piżamę z długimi spodniami, którą noszę tylko zimą, ale się trzęsę, narzucam więc na ramiona gruby szlafrok Bartka. Pachnie nim i łzy napływają mi do oczu. Dlaczego tak się przed nim chowam?

Nie wiem, jak długo trwa ten płacz, ale po wszystkim czuję się oczyszczona i gotowa, by wyjąć z pudełka pierwszy test. Uspokajam się myślą, że tym razem będzie przecież inaczej. Jest Bartek, jest ten dom i zdjęcia wycięte z „Weranda Country”, a na nich stare kufry pomalowane na kolor indygo.

Cholera jasna. Przypominam sobie, że reklamówkę z nową sukienką i testami zostawiłam w samochodzie, schodzę więc niechętnie z powrotem na dół, ciasniej otulając się połam szlafroka. Żarówka na werandzie miga kilka razy, po czym zapada ciemność, wracam więc do kuchni po latarkę. Noc jest zimna i wilgotna, a wśród drzew snują się już strzępy mgły, które nad ranem osiadają na trawie. Wokół Lisiej Chaty zawsze jest dużo mgły, bo dom jest położony w dolinie między jeziorem a wsią. Niedaleko stąd rozpościerają się mokradła, na których bobry budują żeremia, a latem chłodzą się dziki.

Kilka razy dokładnie przeszukuję samochód, świecąc sobie latarką. Zaglądam do bagażnika, którego dziś nawet nie otwierałam, ale torba zniknęła. Co się ze mną dzieje? Co ja zrobiłam z tą cholerną torbą?

REBEKA

Rebeka stawia torby z zakupami na podłodze i wchodzi do przestronnej kuchni, która przypomina wykutą w kamieniu jaskinię, jest tylko bardziej wypolerowana. Był czas, gdy wpełzała tu jedynie po butelkę wina, a dzień za oknem zlewał się z nocą w bury kleks. Po pewnym czasie opuściła całkowicie rolety zewnętrzne, bo nie chciała, by słońce zaburzało jej biologiczny nierytm. Kiedy kończyło się wino, schodziła na dół po kolejną butelkę albo żeby odebrać przywiezioną przez kuriera pizzę, a potem wracała, by się zakopać w barłogu.

Mieszkała w wielkiej klepsydrze. Góra dół, dół góra. Każdy jej krok był jak ziarenko piasku.

Spadła ze schodów tylko raz i nadal nie uważa, że osiągnęła wtedy pijackie dno. Zresztą o takim dniu mówią tylko ci, którzy nigdy go nie osiągnęli, bo tam naprawdę nie ma od czego się odbić. Wtedy kiedy spadła, była jedynie wściekła, że rozbiła butelkę i skaleczyła się w rękę. Kiedy próbowała się poruszyć, okazało się, że przy okazji złamała też obojczyk i kilka żeber. Przez kilka tygodni ograniczała się więc do płytkiego oddechu przypominającego sapanie psa. Nie płakała. Ostatni raz płakała, gdy miała dziewięć lat. Imię Rebeka powinno znaczyć kamień, a nie „ta, która łapie w sidła; ta, która wiąże”.

Przesuwa ręką po marmurowym blacie wyspy dzielącej kuchnię na dwie funkcjonalne części – do gotowania i do chilloutu. Ma naprawdę dobry gust. Wiele razy słyszała od klientów, gdy jeszcze pracowała full time, że ten dom jest jak jej CV. Kiedy przyjechała tu siedem lat temu, by oczarować swoją wizją dwudziestoparoletniego wilczka biznesu, od razu wiedziała, że budynek będzie idealny nie tylko na zewnątrz, ale i w środku, gdy wszystko wykończy. Wzniesiony na zrębach poniemieckiej stodoły, przypominał ją bryłą, ale na tym podobieństwa się kończyły. Dom był nowoczesny i całkowicie przeszklony od strony ogrodu, w którym rosły drzewa i krzewy. Poprzedni właściciele sprzedali dzieciakowi grunt z nieważnym już pozwoleniem na budowę i projektem, który zakładał rozebranie stodoły i wybudowanie w jej miejscu czegoś w rodzaju kaplicy cmentarnej z czterema kolumnami od strony ulicy. Za to jedno trzeba im oddać: posadzili kilka białych magnolii, jaśminowce i brzozy.

Rebeka zdążyła wykończyć ten dom dla klienta, gdy dekonstrukcja na rynku plus kilka złych decyzji wymiotły jego majątek i nie był w stanie zapłacić jej ostatniej faktury. Została uwzględniona w cenie, którą za dom zapłacili mu Rebeka z mężem. Na myśl o Konradzie kobieta zaciska mocniej rękę na wyjętym z lodówki pęczku pietruszki. Wciąż jest wściekła na męża, a złość przychodzi i odchodzi falami jak ból głowy.

Zagotowuje wodę w granitowym rondelku i wrzuca do środka kilka gałązek natki pietruszki, a gdy po kwadransie napar jest gotowy, precedza go i dodaje łyżkę soku z cytryny. O napoju z pietruszki dowiedziała się od Jowity, która krok po kroku wtajemniczyła ją w świat jogi i zdrowego życia. To ona wyciągnęła ją z klepsydry, uratowała jak Roszpunkę zamkniętą w wieży. Nie, nie wyciągnęła jej za włosy, które Rebeka w pijackim widzie ogoliła maszynką Konrada na łyso. Po prostu zagościła u niej na stałe.

Po jakimś czasie, jak w bajce, włosy odrosły, gęstsze i jaśniejsze, jakby to, co mroczne, zostawiła za sobą. Schudła, jej cera się poprawiła, odstawiła alkohol. Czerwone wino. Czasem tęskniła za nim tak bardzo, że śniło jej się, jak odkorkowuje pierwszą butelkę.

Z niechęcią dostrzega czerwony szlak, który znaczy podłogę z grafitowego łupku. „Tarta malinowa”, mruczy do siebie głośno, przypominając sobie o torbach zostawionych na podłodze, i marszczy brwi. Obiecała przecież Jowicie, że nie będzie mówić do siebie, bo to pierwszy krok na ścieżce, która prowadzi do domu dla czubków.

„Maliny się spocily”, powiedziałyby ojciec. Lubił takie niby-ludowe powiedzonka, jakby pochodził ze wsi, ale nie miał ze wsią nic wspólnego. Rebeka odkłada kartonik z tartą do lodówki i przeciera podłogę mopem, a gdy wokół znowu panuje wzorowy porządek, przenosi torby do kuchni i ustawia je na wysokich stołkach pod ścianą pomalowaną farbą tablicową. Wyglądają jak uczniowie w klasie, a reklamówka z logo Orsay, którą zabrała dziś z samochodu Anny, jest pupilką przewodzącą tej grupie. Spogląda na tablicę. Są tam napisane słowa, które ma ochotę wymazać gąbką, ale tego nie robi, bo wie, że to impuls, którego będzie żałować.

Zamiast tego idzie na górę, do trzydziestometrowej sypialni z łóżkiem w rozmiarze king size, jakiego nie powstydziliby się najbardziej luksusowy hotel, z pikowanym zagłówkiem w kolorze grafitu. Wchodzi do przyległej łazienki. Na umywalce męża stoi szczoteczka elektryczna, a na półce leżą kosmetyki L'Occitane. Z sypialni wychodzi na korytarz i idzie do ich wspólnej garderoby. To dwudziestometrowe pomieszczenie jest niewiele mniejsze od ich pokoju i cała prawa strona zabudowana jest szafami Konrada. Rebeka dotyka rzędu wieszaków z jego biznesowymi koszulami. Obok wiszą te mniej formalne, między innymi koszula w drobne gwiazdki, którą dostał od niej w prezencie. Unosi się nad nimi wątlę, ale nadal wyczuwalny zapach L'Occitane. Ach, ta Prowansja.

Po wyjściu z garderoby Rebeka staje przed kolejnymi drzwiami i zasysa dolną wargę, aż z jej ust wydobywa się dziwny dźwięk. Coś pomiędzy jękiem a sapnięciem. Kładzie rękę na klamce, ale nie wchodzi do środka. Nie, nie, nie. Schodzi na dół, do kuchni, tam wyjmuje z lodówki tartę z malinami i odkrawa dla siebie spory kawałek. Pochłania go szybko, zanim się rozmyśli. To zdecydowanie co innego niż desery, które przywykła jadać w towarzystwie Jowity. Nie czyta składu, ale wie, że nie ma tam ani grama mleka kokosowego, nasion chia, a tym bardziej tofu czy gorzkiej czekolady.

To dzięki Jowicie Rebeka pozbyła się wielu niezdrowych nawyków i zrzuciła kilogramy, ale dziś napycha usta tartą z bitą śmietaną. Nie ma odpowiedniego widelca, posługuje się więc palcami i nie przejmuje się malinowym sosem ciekącym po brodzie i szyi, a potem dalej w dół, po beżowej kokardzie i spodniach w kant. Nie zawraca sobie głowy tym, by zetrzeć śmietanę z nosa i rzęs. Bierze do ust kolejną garść. Ciasto jest dokładnie takie, jak zapowiadał zapach. Niezdrowe, sztuczne, tłuste, słodkie, kremowe, kaloryczne... Przepyszne.

REBEKA

No tak, jesteś przecież projektantką wnętrz. To wiele tłumaczy. – Anna rozgląda się z ciekawością po kuchni połączonej z salonem.

W dzinsach i sweterku oversize, który odsłania krągłe ramię, wygląda dziś bardzo młodo, niemal dziewczęco. Nie jest już tak blada jak wczoraj, zrobiła nawet mocniejszy makijaż, który pasuje do jej pofarbowanych na ciemny kolor włosów, choć nie do karnacji.

– Wasz dom jest naprawdę piękny i wybacz tę uwagę, po której z pewnością weźmiesz mnie za brudaskę, ale... jak tu czysto! Wszędzie panuje idealny porządek, nie to co u nas.

Rebeka kiwa z uśmiechem głową i odwraca się plecami, by włożyć kapsułkę do ekspresu i ukryć podekscytowanie. Nie może uwierzyć, że jej plan, genialny w swojej prostocie, się powiódł i Anna tu jest. Ekspres zaczyna syczeć i bulgotać, jakby ktoś się topił albo dusił, w końcu wydaje ostatnie tchnienie, a jej ręce drżą, gdy ustawia na tacy staroświecki dzbanek i dwie filiżanki.

To angielska porcelana w różowy wzorek, która przedstawia sielski krajobraz z domkami i żywopłotem. Do jednej filiżanki wlewa kawę z ekspresu – dla Anny, dla siebie zaparzyła zdrowszą matchę. Przedkłada jej chlorofilowy kolor i roślinny zapach nad arabicę, za którą kiedyś dałaby się pokroić. Nadal mogłaby parzyć kawę codziennie tylko po to, by ją wąchać. Ten zapach budzi wspomnienia.

– Zawsze marzyłam o wysokich sufitach. – Anna wskazuje ręką wstawki z przepuszczającej światło dachówki, gdy przechodzą do salonu. Dziś jest zdecydowanie bardziej rozmowna niż wczoraj. – A do tego te ogromne białe lampy. Robią wrażenie, są... – szuka słowa – tematyczne, prawda? W jakiś sposób wszystko w waszym domu jest ze sobą połączone, a te lampy przypominają słomiane zabawki, jakie kiedyś wieszano pod kopułą. Jak się nazywają?

– Obawiam się, że to po prostu wielkie białe lampy. Nie mają żadnej szczególnej nazwy, ale cieszę się, że budzą w tobie takie skojarzenia, bo liczyłam na ten efekt. Pierwotnie zostały zaprojektowane w beżu, by nawiązywać do słomianych ozdób choinkowych.

– Pasują do tego domu. Zbudowano go na fundamentach poniemieckiej stodoły, prawda?

– Nie tylko na fundamentach. Wykorzystano wszystko, co tylko się nadawało, na zasadzie recyklingu. Zmieniłam kolor lamp na biały, bo dom łączy się z otoczeniem, a w ogrodzie dominuje biel. Są tu dwie dominujące barwy: szarość i biel. Niektórzy nie lubią bieli, uważają, że jest zbyt szpitalna, inni nie uznają jej nawet za kolor. Dla mnie jednak to królowa barw, bo kryją się w niej pozostałe.

Anna postanawia usiąść w ulubionym fotelu Konrada, stylistyką nawiązującym do lat pięćdziesiątych, ale widać, że mebel ją onieśmiela. Wygląda więc tak, jakby próbowała usiąść na rzeźbie w muzeum.

– Pyszna kawa – mówi, obrysowując palcem różowy wzór na porcelanie.

– Meksykańska. Podobno ziarna pochodzą z organicznych upraw, choć Meksyk nie kojarzył mi się nigdy z klimatami eko.

– Raczej z kartelami kokainowymi.

– Myślisz, że istnieje coś takiego jak organiczna kokaina?

Chichoczą jak dziewczynki i gdy Anna odchyła się do tyłu, widać brązowy ślad kawy na jej szmince. Rebeka czuje nagły impuls, by go zetrzeć i upewnić się, że to naprawdę ona. Jest trochę starsza, pełniejsza i farbuje włosy, ale nadal ma te same gesty i tembr głosu, który trudno byłoby podrobić. Tak. To z pewnością ona.

– Twój mąż to napisał? – Anna wskazuje palcem na widoczną z fotela ścianę w kuchni pokrytą farbą tablicową. – Ma ładny charakter...

– Nie powiedziałabym.

– ...pisma – kończy Anna i znowu się śmieje – to ją rozluźnia. Wreszcie wygodniej sadowi się w fotelu, wyciągając nogi. – To miłe.

– To, że musiał pilnie wyjechać? Cóż, przypomnę ci, że wczoraj zabrał samochód i zostawił mnie samą w centrum handlowym.

– Miałam na myśli ten tekst na tablicy. Ładny sposób komunikowania się ze sobą, SMS-y stały się jakieś takie wyjąłowione, nie uważasz? Nawet emotikony, które na początku były zabawne, teraz przypominają powtarzane tysiące razy przysłowia.

– Może masz rację. Nie myślałam o tym nigdy w ten sposób. Cóż, Konrad wczoraj naprawdę mnie wkurzył i wybaczyć, ale nie dostrzegłam w tym nic łapiącego za serce. – Rebeka się uśmiecha.

– Wyjechał na długo?

– Tak. Tym razem na dłużej.

Gdy odzywa się jej komórka, zniecierpliwiona patrzy na wyświetlacz.

– Przepraszam, muszę odebrać. Klient.

Podchodzi do okna i najpierw widzi w szybie swoją twarz pozbawioną mimicznych zmarszczek, błyszczące od potu policzki, oczy, a dopiero potem ogród i ciemną chmurę, która się zbliża do drzewa magnolii. Ostatnie białe kwiaty, te, które jeszcze nie opadły, poruszają się wolno na wietrze. Jakie to melancholijne.

– Tak, zgadza się, płytki dojadą w poniedziałek. Są dokładnie takie, jak uzgodniłyśmy. Codziennie pod prysznicem będzie pani mogła podziwiać *kitsune*. Oczywiście. Złote z dziewięcioma ogonami, mądre, najpotężniejsze – odwraca się, by wymienić rozbawione spojrzenia z Anną, ale ta na nią nie patrzy. Zastygła nad filiżanką kawy z przymkniętymi oczami i tylko poruszająca się wolno w górę i w dół stopa nogi założonej na nogę świadczy o tym, że nie śpi.

– *Kitsune?* – pyta Anna z ciekawością, kiedy Rebeka kończy rozmowę i odkłada telefon.
– Japońskie lisy. Według Japończyków lisy to magiczne stworzenia. Potrafią zmieniać kształt, postać, a nawet opętać człowieka.

– Magiczne lisy?

– Dokładnie. Klientka chce, by na jej płytkach były te dobre, czyli *zenko*, które służą bogini Inari, ale lisy mogą być też złe i złośliwe. Dzikie lisy *yako*. Nie tylko nastolatki lubią japońskie klimaty.

– Nastolatki lubią japońskie klimaty? – powtarza po niej Anna.

– Manga, anime?

– Aaa, no tak. A jak odróżnić lisy?

– Nie jest to proste. Po dźwięku. Dobre szczekają „kon-kon”, a złe „kai-kai”.

– Ale przecież płytki nie szczekają? – Anna mruży oczy.

– Cóż, będzie musiała uwierzyć mi na słowo.

Znowu się śmieją. Rebeka dawno nie czuła się tak ożywiona jak teraz, gdy Anna odgarnia z policzków ciemne włosy i odsłania zęby. Dolne są lekko krzywe i nierówne, co od początku stanowi część jej uroku. To dziwne, że traktuje Rebekę jak zupełnie obcą osobę, podczas gdy ona tak dobrze zna jej twarz. Ktoś inny miałby wątpliwości, ale ona poznałaby ją wszędzie. Nawet gdyby pofarbowała włosy na rudo i przytyła jeszcze kilkanaście kilogramów.

Anna dopija kawę jednym haustem.

– Miło się rozmawia, ale niestety muszę już jechać. Mogłabym cię prosić o tę torbę?

– Oczywiście, przecież po to przyjechałaś. – Rebeka otwiera drewnianą skrzynię, która stoi pod oknem.

Chciałaby, żeby gość został u niej dłużej, ale nic na siłę, od tej pory powinna działać z rozwagą. Minę ma nieprzeniknioną, choć oczywiście zajrzała wcześniej do reklamówki. Widziała tiulową sukienkę i trzy zafoliowane pudełka z testami ciężowymi.

– Nie tylko po to – kryguje się Anna, odbierając pakunek z jej rąk. – Ta skrzynia... Zastanawiające.

– Jest tu dziwnie nie na miejscu, prawda? Chciałam, by w każdym pomieszczeniu była jedna barwna plama, mocny akcent, który przyciągnie wzrok. – Rebeka gładzi drewno pomalowane na kobaltowy kolor.

– A wiesz, to dość zabawne. Mamy w kuchni zdjęcie podobnej skrzyni i mój Bartek śni o niej po nocach.

– Czyli podobają wam się takie meble? Znam dobrego dostawcę, mogłabym z nim porozmawiać. Trzeba je tylko sobie samemu odnowić, ale to obecnie modne hobby i znajdziesz w Internecie sporo samouczków, tutoriale na YouTube. W razie czego ja też chętnie służę radą.

Anna kiwa głową.

– Przypuszczam, że odnowienie skrzyni to drobnostka w porównaniu z tym, co nas czeka. Bartek planuje wyremontować cały dom. Uznał, że jeśli tego nie zrobimy, chata, którą odziedziczył po swoich dziadkach, zwyczajnie się rozsypie. Niby się krzywi, że to ogrom prac, ale zbyt dobrze go znam, by się na to nabrać. Uwielbia wyzwania i nie może się już doczekać rozpoczęcia prac.

– A ty?

– Ja? Mnie to raczej przeraża. Widzę chaos. – Anna przybiera kpiarski ton, przytulając do siebie reklamówkę. – Cały ten kurz, pył, hałas.

Wychodzą na korytarz.

– To musi być trudne, prawda? – pyta i Rebeka przez chwilę nie jest pewna, co ma na myśli. – Urządzanie domu dla kogoś obcego.

– Może na początku. Gdy zaczynałam pracę w tym zawodzie, często narzucałam klientowi swoje pomysły. Przechodziłam przez różne fazy, jak choroby wieku dziecięcego.

– To chyba dobrze, zwłaszcza jeśli klient ma koszmarny gust?

– Och, no wiesz, drugiego człowieka zawsze można traktować jak upierdliwość, ale staram się tak do tego nie podchodzić.

– Zupełnie jak Bartek.

– Twój mąż też pracuje w usługach?

– Jeszcze nie mąż. – Anna porusza palcami prawej dłoni, na której migocze pierścionek zaręczynowy. – Ale można powiedzieć, że w usługach – uczy chemii w podstawówce. Według niego wielu nauczycieli traktuje dzieciaki jak zło konieczne, ale gdyby on tak myślał, musiałby zmienić zawód.

– A ty? Czym się zajmujesz?

– Nie czynię z pewnością takich cudów – rzuca wymijająco Anna. Odwraca się w stronę salonu i wskazuje wysoką antresolę z oryginalnymi drzwiami prowadzącymi do kolejnych pomieszczeń. Światło wpadające przez wysokie okna wydobywa piękno starych okuć.

Z głębi domu dobiega piąta symfonia Mahlera w nowej, niepokojącej aranżacji i Anna marszczy brwi, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. Rebeka jest na siebie wściekła, szczególnie że nie może w tej chwili ani zmienić utworu, ani go wyłączyć, bo zostawiła pilota na górze. To błąd. Na szczęście za chwilę, jak na zawołanie, muzyka się urywa i słychać trzaśnięcie drzwiami gdzieś w końcu korytarza.

– Odwiedziła nas moja siostra – mówi, choć Anna nie pyta. – Nie lubię zostawać sama, gdy mąż wyjeżdża na dłużej. Ona... Przepraszam, że nie zeszła się przywitać, ale jest zajęta. Dużo pracuje. Zdalnie.

Anna macha rękoma z zażenowaniem.

– Nie jestem królową angielską, by wszyscy domownicy przybiegali mnie witać. Zawsze chciałam mieć rodzeństwo, ale niestety jestem jedynaczką. Młodsza czy starsza?

– Młodsza. Na początku działała mi na nerwy, ale teraz... Cóż, teraz, gdy obie jesteśmy starsze, jest inaczej.

Zdumiewające, jak łatwo przychodzą Rebecce kłamstwa, wystarczy, że otworzy usta, a wylatują spomiędzy dziąseł jak robaki. Nie chciała, by jej relacja z Anną rozpoczęła się od oszustwa, ale nie ma innego sposobu, by na bieżąco korygować błędy. Naciska ręką na jej plecy, kierując ją delikatnie do drzwi. Gdy wychodzą na zewnątrz, słońce dawno już zaszło za chmurę, wokół której kłębią się kolejne, coraz ciemniejsze. Napierają jedna na drugą jak wilki w zbitym stadzie i w powietrzu czuć już zapach deszczu. Anna pociąga nosem, jakby wyczuła coś jeszcze, ale nie komentuje.

Wrzuca torbę na tylne siedzenie samochodu i opiera się o otwarte drzwi.

– Musisz naprawdę lubić ludzi. Pewnie dużo rozmawiasz z klientami, by poznać ich upodobania?

– Szczerze? Ludzie rzadko mówią prawdę na swój temat. Nie chodzi o to, że kłamią, raczej nie znają siebie. Więcej dają mi wizyty w ich obecnym domu czy mieszkaniu. Rozglądam się i wyciągam wnioski.

– Jesteś jak wnetrzarski Sherlock Holmes?

– Można tak powiedzieć. – Rebeka kiwa głową, wkładając ręce w kieszenie luźnych lnianych spodni. – Interesują mnie przedmioty, którymi się otaczają. Rzeczy, na które lubią patrzeć, i te, których lubią dotykać. Jak jedzą...

– Jak jedzą? – Anna unosi w górę brwi.

– O tak. Zdziwiłabyś się, jak dużo to mówi o człowieku. Niektórzy najchętniej kroiliby chleb sztuczcami, inni uwielbiają się wgrzyźć w porządny kawał mięsa i nie, wcale nie chodzi o maniery czy towarzyską ogładę. Z daleka można poznać pedanta, ale i bałaganiarza. Oglądam ich tarasy i balkony, zdjęcia ulubionych hoteli czy restauracji. Chcę wiedzieć, w jakim wnętrzu dobrze się czują i do jakiego aspirują. Bywa, że to są dwie różne rzeczywistości.

– No a co potem? Jak już sobie to wszystko dokładnie obejrzysz?

– Kiedy mam za mało danych, przywożę im próbki materiałów, faktur, kolorów. Kawałki drewna, kamienie, tapety, zdjęcia innych realizacji. Wspólnie tworzymy coś w rodzaju tablicy inspiracji. Cierpliwie czekam.

– Na co?

– Na błysk w oku, ścieranie się odmiennych wizji.

– Ich i twojej?

– Najczęściej spierają się między sobą.

– Zawsze mnie zdumiewa, że ludzie potrafią się pokłócić o takie bzdury jak kolor zasłon w salonie – wtrąca Anna. – Przepraszam. – Czerwieni się lekko zmieszana. – W twojej branży to przecież istotna sprawa.

– Daj spokój. Nie masz pojęcia, jak wiele par się rozwodzi, zanim w ogóle zamieszkają w swoim wymarzonym domu. Ludzie pokochali remonty i budowy, a popyt nakręcają programy telewizyjne, z których wynika, że wycieczka do Ikei czy Castoramy to niemal

duchowa podróż. Nie da się ukryć, że korzystam na tym trendzie, ale wierz mi, takie projekty potrafią zniszczyć związek, i czasem myślę, że...

– Że?

Rebeka kręci z uśmiechem głową, kiedy na maskę mazdy Anny spadają pierwsze krople deszczu. W ślad za nimi pędzą coraz szybciej kolejne.

– Nic takiego. Moja siostra uważa, że za bardzo wszystko rozkminiam.

– A to tylko życie?

– Coś w tym stylu.

Anna macha jej ręką na pożegnanie i szybko znika za zakrętem. Gdy ulicą przejeżdża samochód nowego sąsiada, Rebeka zdaje sobie sprawę, że jej gość dawno już pojechał. Za to ona nadal stoi na podjeździe, jakby wrosła w bruk. Rozpadało się na dobre i jej biała koszula przemokła do cna. Czuje na sobie wzrok sąsiada i otula się ramionami, zasłaniając sutki widoczne przez mokry materiał. Wycofując się do domu, odpowiada mu skinieniem głowy. Facet wprowadził się przed Bożym Narodzeniem do przypominającego bunkier domu, który zbudowano w ekspresowym tempie na dużym kawałku ziemi obok ich działki.

– No to jak? Poćwiczymy? Dalej, wskakuj na matę, obudzimy naszą ukrytą energię – rażno komenderuje Jowita, gdy Rebeka przebiera się w suche ciuchy i wchodzi do domowej siłowni.

Na ścianie z luster odbijają się atlasy i drążki do podciągania, które kupił Konrad. Zawsze dużo wydawał na sprzęty treningowe, które szybko mu się nudziły, i już po kilku miesiącach szukał nowej formy aktywności. Fazę siłowni szybko zastąpiła miłość do biegania, a pomiędzy było jeszcze karate, MMA i siatkówka.

Rebeka, w przeciwieństwie do męża, jest lojalna i dzień w dzień ćwiczy z Jowitą jogę. Rozwija matę niczym posłuszny muzułmanin sadżdżadę i opada na nią jak do modlitwy. Oczami szuka Jowity jak kierunku do Mekki – w ten sam sposób już od trzech lat.

– Dzisiejszej praktyce niech przyświeca piękna mantra: *Lokah samastah sukhino bhavantu*. Niech wszystkie istoty wszędzie będą szczęśliwe i wolne – powtarza Jowi, a jej głos jest równy i dźwięczny, uspokaja i motywuje. Działa na nią lepiej niż wino, skuteczniej niż xanax. – Gotowa? Zaczynamy. Potrzebna jest tylko twoja intencja i atencja, cała reszta znajdzie się sama – mówi do niej Jowita, a Rebeka z uśmiechem obciąga na biodrach sportowy top. Podziwia przy tym idealnie wyrzeźbione ramiona Jowity i jej gibkie ruchy. Ona sama nie jest jeszcze tak elastyczna, ale szybko robi postępy.

Z przyjemnością patrzy na płynnie poruszające się przed nią nogi i ramiona Jowi, grę jej obojczyków pod cienką czarną koszulką, a potem posłusznie ustawia stopy na szerokość bioder i bierze pierwszy dziś głęboki wdech nosem. Unosi wysoko ramiona, łącząc je nad głową, i wypuszcza powietrze, splatając dłonie na wysokości serca w pozycji *anjali mudra*. Momentalnie ogarnia ją poczucie nieważkości, do którego kiedyś potrzebowała kieliszka, dwóch kieliszków, a później dwóch butelek wina przyprawionych prochami.

Rozpoczynają praktykę jak zwykle od kilku powtórzeń sekwencji powitania słońca i Rebeka wykonuje je staranniej niż zazwyczaj, pozostając dłużej w każdej asanie, szczególnie w pozycji kija, chaturandze, która jak żadna inna wzmacnia jej siłę woli i charakter. Rebeka ma czterdzieści trzy lata, ale na to nigdy nie jest przecież za późno. Liczy wolno do dwudziestu i przechodzi płynnie w pozycję psa z głową w górę, a potem psa z głową w dół. Kiedy wychodzi z asany, Jowita jest już przy kolejnej sekwencji i Rebeka szybko nadgania, wyrównując tempo. Lubi, gdy ich ciała i oddechy są ze sobą całkowicie zsynchronizowane.

ANNA

Szykuję pasztet warzywny na jutrzejszą imprezę urodzinową Matyldy, siostrzenicy Bartka, według przepisu, który znalazłam niedawno w Internecie. Nie mogłam się zdecydować, bo było ich kilka i każdy miał setki pozytywnych komentarzy. W końcu wybrałam ten, który wydał mi się najmniej pracochłonny, ale i tak nie mogę się skupić i wszystko idzie mi dwa razy wolniej.

Palce mam brudne od wyrabiania masy, do której Helenka dorzuciła właśnie garstkę startej marchewki z pytaniem, kiedy zgłoszę ją do programu *MasterChef Junior*. Ledwo potrafi to wymówić, a jest przy tym tak zabawna, że ukrywam parsknięcie śmiechem, zasłaniając twarz ścierką. Moja córka skończyła niedawno pięć lat i każda wykonywana przez nią czynność wydaje jej się najważniejsza na świecie. Buzia zamyka jej się tylko wtedy, gdy śpi, a i wówczas mówi czasem przez sen, z trudem więc udaje mi się przy niej uciec do własnych myśli.

Patrzę w okno. Szyba jest mokra od deszczu i aż trudno uwierzyć w zapowiadaną na jutro ciepłą, letnią wręcz pogodę. Zapewne wymodlili ją sobie rodzice dzieci, które jutro idą do komunii w naszej i okolicznych wioskach.

Dotykam wypukłości brzucha, która pozostaje dla innych niewidoczna. Jeśli Rebecka zajrzała do mojej torby z zakupami, co ja na jej miejscu zrobiłabym z czystej ciekawości, to nie dała po sobie tego poznać. Zaraz po powrocie do domu zamknęłam się w łazience i zrobiłam test, a potem dwa kolejne, by się upewnić. Za każdym razem drugi pasek wykwitwał wyraźnie na różowo, przy trzeciej próbie był niemal czerwony. Choć tym razem będę wychowywać dziecko z Bartkiem, który na pewno okaże się fantastycznym ojcem, to czuję taki sam niepokój jak wtedy, w ciąży z Helenką. Czy teraz faktycznie będzie inaczej?

Z jednej strony się cieszę, bo wspólne dziecko scali nasz związek dużo bardziej niż wspólne mieszkanie, ale z drugiej mam wrażenie, że znowu coś tracę. Czas, który zyskałam rok temu, gdy Helenka zaczęła chodzić do przedszkola? Też, ale nie w tym rzecz. Myślę o tej przestrzeni w umyśle i sercu, którą małe dziecko wypełnia doszczętnie, nie pozostawiając miejsca na nic innego. To dusząca, zaborcza miłość.

Nie bez wpływu na mój nastrój pozostaje wizyta u Rebecki, w jej schludnym, dorosłym domu, który wydał mi się idealny. Przyznaję, byłam speszona panującym tam luksusem i zachowywałam się idiotycznie. „Ach, jaki piękny macie dom! Jaki czysty!”, parodiuję się w myślach, patrząc na smugi deszczu na szybie. Bartek woli prząsne wnętrza, ale ja czułam się tam naprawdę dobrze, pomijając wpadkę z fotelem na krótkich nóżkach. Kto wymyślił tak niewygodny mebel? Potem się rozluźniłam i zrobiło się bardzo miło, pewnie

za sprawą Rebeki, z której emanuje dojrzały spokój. Mnie samej trudno go osiągnąć, odkąd urodziła się Helenka. Matczyny spokój, niezły oksymoron, myślę z przekąsem.

– Dobrze robię? Ale no popatrz, mamuuusiu! – Helenka wyrzywa mnie z zamyślenia. – Wcale nie patrzysz, dlaczego mówisz, że patrzysz, skoro nie patrzysz. Mamusiu, popaaaatr! No popaaaaatr! To nieprawda, ja nie robię bałaganu – burczy do Matyldy, która wchodzi do kuchni, trzymając w objęciach przegowaną kotkę. Buka łaskawie toleruje dwunastolatkę, ale Helenka budzi w niej pierwotny lęk. Na dźwięk jej donośnego głosu kotka wyrzywa się Matyldzie i ucieka na korytarz. – Mamusia powiedziała, że nie robię. Prawda, mamusiu? Powiedz Matyldzie, że nie robię bałaganu. Mamuuuusiu! I pojedę do Masteszefdzunio. A właśnie że pojedę!

Czuję się jak kawałek startej marchewki, którą Helenka dodaje właśnie do mieszanki w misce. Znika moja tożsamość. Jestem już tylko mikroskopijną kropką wmieszaną w pomarańczowożółtą masę. W tym tygodniu mała chorowała i nie chodziła do przedszkola, a gdy tylko poczuła się lepiej, musiałam jej co chwilę wymyślać nowe zajęcia i odpowiadać na dziesiątki pytań. Pewnie stąd to zmęczenie. Kto by nie był padnięty, wymyślając, dlaczego ptaki latają, dlaczego wysoko, dlaczego nisko, dlaczego słońce świeci i dlaczego nie świeci, gdy nie świeci. No a w ogóle to kim jest dla niej Matylda? Czy to jej kuzynka, taka przyszywana kuzynka? Dlaczego przyszywana? Co to jest przyszywanie? Kiedy ona będzie mogła wreszcie przyszywać? No? Kiedy? I dlaczego małą igiełką, a nie wielką igiełką? Hę?

Wprost marzę o poniedziałkowym poranku, kiedy Bartek odwiezie ją do przedszkola, a potem pojedzie z Matyldą do szkoły, w której uczy, i zostawią mnie samą w domu. Uff.

Patrzę na małą z poczuciem winy i nie zamierzam już z nim walczyć. W końcu poczucie winy, tak jak wieczny lęk, wpisane jest w „matczyny spokój”. Dźwięk telefonu sygnalizuje nadejście SMS-a i nie czytam go od razu. Domyślam się, że to wiadomość od mojej matki, zwiastująca kolejny wydumany pożar. Być może nasilone ostatnio napady nerwicy to jej pomysł, by się wykręcić od jutrzejszego wyjścia z domu i uczestniczenia w imprezie urodzinowej Matyldy. Wymsknęło jej się już, że ta dziewczynka nie jest nawet jej wnuczką, tylko siostrzenicą Bartka.

Tym razem jest to jednak lakoniczne przypomnienie z cukierni, która jutro, jak w każdą niedzielę, będzie zamknięta. Jak mogłam zapomnieć o odebraniu tortu urodzinowego Matyldy? Zdaje się, że hormony ciążowe już zaczęły spowijać mój umysł gęstą mgłą. To dlatego tak trudno mi się na czymkolwiek skupić i niechętnie podejmuję decyzje. Obmywam tarkę z większych skrawków jarzyn i odkładam na zmywarke, wypuszczając głośno powietrze nosem.

– Co tak sapiesz uff puff, mamusiu, jak ten wilk, co przyszedł do trzech świnek? – Helenka wkłada do miski ostatnią porcję marchewki. Tym razem używa dużej drewnianej łyżki, pomagając sobie wysuniętym językiem, z którego śmiejemy się z Bartkiem, że jest długi jak u jaszczurki. Łyżka wypada małej z rączek i przyczajony kot rzuca się na

pomarańczowe wiórki z prędkością godną lepszej sprawy. – Masz katarek, mamusiu? Hę? Albo krzywą zagrodę?

– Krzywą przegrodę – poprawia małą Matylda i przewraca oczyma.

Dwunastolatka ma dziś na sobie czarny top z napisem *Masz to, na co się godzisz*, a gdy się odwraca, jej plecy dodają *Zawsze*. Podobnie jak jej mama, Daria, jest fanką filmów i T-shirtów z cytatami, a *Thelma i Louise* pozostaje od kilku tygodni numerem jeden na jej liście. Nawet jej imię Daria zaczerpnęła z *Leona zawodowca*. Był to podobno ulubiony film siostry Bartka, gdy zaszła w ciążę. Zabawne, przypomina mi się właśnie, że lolitkowata Matylda, którą grała Natalie Portman, ma w filmie dwanaście lat, czyli tyle, ile nasza Mati ma teraz.

Nie skończyłam jeszcze z pasztetem, który piecze się w piekarniku, ale muszę jechać, jeśli mam zdążyć przed zamknięciem cukierni. Zostawiam dziewczynki pod opieką Bartka i sprawdzam, czy w portmonetce jest kwit potrzebny do odbioru. Po namyśle wkładam też do kieszeni małe zawiniątko i biorę torbę ze starymi trampkami z H&M, a potem ustawiam wyłącznik czasowy na piekarniku. Dobrze wiem, że Helenka jest w stanie sprawić, by Bartek zapomniał nie tylko o pasztecie, ale i jak się nazywa.

Wyrzucam trampki do kontenera na śmieci, a gdy wracam z tortem z Poznania, zatrzymuję samochód przy nieczynnym od dawna wiejskim geesie i po kilkuminutowym spacerze docieram do zarośniętej trzcinami zatoczki. W przybrzeżnym mule pływa dawno już opróżniona setka wódki, a spod kamieni wystaje poczerniały but bez sznurowadła. Szeroka i piaszczysta gminna plaża, na której trzy lata temu poznałam Bartka, jest po drugiej stronie, ale stąd jej nie widać. Jezioro wygląda dziś całkiem inaczej niż tamtego słonecznego zimowego dnia. Niby maj, a jego tafla pod zachmurzonym niebem wydaje się zaciągnięta brudnym mlecznym kożuchem. Wzdrygam się.

Otwieram dłoń zaciśniętą na szmaragdzie w złotej oprawie. Mogłabym go oczywiście sprzedać, przerobić na pierścionek czy parę mniejszych kolczyków, ale czuję, że nie powinnam tego robić, jakby sam kamień był przeklęty. Minęło wystarczająco dużo czasu i powinnam wreszcie zacząć zupełnie od nowa. Teraz jest na to właściwa pora. Lepszej nie będzie. Nowe dziecko, nowy dom, nowe życie. Kolczyk szybko znika pod wodą, na której rozchodzą się niewielkie kręgi.

REBEKA

Owszem, nie będzie kłamać. Miała nadzieję, że uda jej się zdobyć zaufanie Anny, że się zaprzyjaźnią, ale nie sądziła, że to wszystko potoczy się tak szybko. Zaskakuje ją ta propozycja złożona jeszcze tego samego dnia. Zadzwoiła do Anny, korzystając z pretekstu, który dało jej ich wcześniejsze spotkanie i informacja o planowanym remoncie. W końcu ma kontakty w tej branży, a w wielu firmach i sklepach rabaty, z których mogliby skorzystać. Ostatnia rzecz, której chciała, to żeby Anna poczuła się zobowiązana.

– Jesteś pewna? Przyjęcie urodzinowe twojej córki? – Poprawia słuchawkę wciśniętą w ucho.

– Matyllda to siostrzenica Bartka, choć to akurat nie ma żadnego znaczenia. Będzie nam naprawdę bardzo miło, jeśli wpadniesz. O dwunastej, wiem, dziwna godzina na przyjęcie, ale to ze względu na Helenkę. Będzie od rana tak podekscytowana, że szybko zaliczy spadek formy.

Rebeka przymierza się do wyprzedzenia opła, który to przyspiesza, to zwalnia, dziwnie tańcząc na asfalcie. W końcu zajeżdża jej drogę, a ona w ostatniej chwili ciśnie hamulec i klakson. Gdy auto łaskawie zjeżdża bliżej pobocza, widać we wstecznym, że prowadzi jakiś młodziak, a kiedy w fotelu obok prostuje się dziewczyna, Rebeka potrząsa z niedowierzaniem głową.

– Gówniarze! – rzuca do telefonu.

– Słucham?

– Przepraszam. Nie miałam na myśli Helenki. Jacyś smarkacze odkryli seks podczas jazdy na pełnym gazie.

– Wszystko okej?

– U mnie tak. Ale jak tak dalej będzie im szło, to facet straci fiuta. Skoro tak... Może wykorzystam tę okazję, by rzucić okiem na waszą Lisią Chatę? Może coś doradzę?

Anna przez chwilę milczy, a w tle słychać wesołe pokrzykiwania dzieci.

– Nie gniewaj się, ale mamy bardzo ograniczony budżet remontowy.

– Słuchaj, to żadna odpłatna usługa, nie oferuję projektu czy nadzoru. Po prostu mam słabość do starych domów.

– W takim razie bardzo dziękujemy. Dziewczynki będą zachwycone, jeśli przyjedziesz. Rzadko widują nowe twarze, bo mieszkamy pod lasem, na odludziu. Poza tym naszykowałam tony jedzenia, a ponieważ gotowanie nie jest moją specjalnością, to lepszej

okazji nie będzie, żeby się u mnie najeść – mówi ze śmiechem Anna. – Oczywiście twój mąż i siostra też są mile widziani – dodaje na jednym wdechu.

– Konrad wyjechał w podróż służbową – przypomina jej Rebeka. – To ten pan od wiadomości na tablicy, która tak ci się spodobała. A Jowita, cóż, nie lubi przyjąć. Jest pod tym względem dzika.

– To tak jak ja – wzdycha Anna i obiecuje, że za chwilę prześle jej SMS-em adres.

Już się mają rozłączyć, gdy Rebeka pyta przytomnie:

– Ile lat kończy jutro jubilatka?

– Dwanaście. Technicznie rzecz biorąc, już skończyła. Ale nie rób sobie, proszę, kłopotu z prezentem. Zdaję sobie sprawę, że zaprosiłam cię na ostatnią chwilę.

– A czym się interesuje?

– Uwielbia filmy. Od kilku dni ogląda *Forresta Gumpa*, wcześniej miała fazę na *Thelmę i Louise*.

– W sensie, zostawiamy naszych paskudnych facetów i ruszamy w przepaść? Chyba sporo przegapiłam, jeśli chodzi o dojrzewanie dwunastolatek.

Śmiech Anny, ciepły i radosny, pełen dobra. Rebecce nie przychodzi do głowy lepsze określenie. To nieprawdopodobne, jak szybko udaje im się nawiązać porozumienie.

– W sensie film. Uwielbia stare kino.

– *Thelma i Louise*, *Forrest Gump* to stare kino? Poważnie? A czym są w takim razie dla niej Chaplin czy Kurosawa? Lepiej nie odpowiadaj, bo zacznę zbierać na trumnę.

Rebeka wzdycha z udawaną rezygnacją i dociska pedał gazu. Niespodziewane zaproszenie na imprezę urodzinową, nawet jeśli chodzi o dwunastoletnią dziewczynkę, sprawia, że ten dzień nabiera kolorów. Czuje się ożywiona jak za dawnych lat. Wreszcie odwiedzi Annę, pozna Bartka, Helenkę i Matyldę. Wyjmuje z uchwytu kubek i potrząsa nim lekko, by zebrać ze ścianek ostatnie krople matchy.

– Wracam właśnie ze spotkania z klientami. Dwóch facetów, wspólników.

– Tak? – Anna uprzejmie słucha, ale jest rozkojarzona i Rebeka żałuje, że się nie rozłączyły.

– Mówię o tym – odkasłuje, by pozbyć się chrypy – bo ostatnio rozmawialiśmy o ścieraniu się odmiennych wizji. Kupili podupadający hostel w centrum Poznania i planują go przerobić na butikowy hotel, ale jednego kręci bizantyjski przepych, sztukateria na sufitach, plusz na ścianach, dywany, w których człowiek może zgubić stopy, i żyrandole jak baldachimy z winogron. Drugi optuje za minimalistycznym klimatem Wschodu, zainspirowany tegoroczną wyprawą do Tajlandii.

– Nie mam pojęcia, jak w takiej sytuacji powinien wyglądać kompromis – śmieje się Anna, a za chwilę odsuwa telefon od ust i napomina jedno z dzieci, pewnie to młodsze. – Przepraszam, ale muszę kończyć. Na pewno sobie poradzisz.

Rebeka nie mówi, że w ciągu długich miesięcy, które spędziła na chlaniu, straciła wszystko, na co wcześniej tak ciężko pracowała. Nie da się utrzymać firmy, gdy przestaje

się odbierać telefony czy odpisywać na maile. Część projektów przechwyciła konkurencja, inne zawaliła, jej telefon przestał dzwonić, a komputer zarósł kurzem.

Napomina się też, by ostrożniej postępować z Anną, nie rozgadywać się tak, bo nie chce jej spłoszyć.

Dla niej to nowy grunt, *terra incognita*. Nigdy nie miała przyjaciółki, dzieciaki na podwórku za nią nie przepadały. Najczęściej bawiła się sama, bo ojciec ignorował jej prośby o pieska czy kotka. Podczas samotnych zabaw odgrywała scenki, w których sprawowała jakąś formę kontroli nad wyimaginowanymi dziećmi. Była na przemian surową nauczycielką, zdenerwowaną panią bibliotekarką lub wredną pielęgniarką dla swoich milczących lalek i misiów.

Po powrocie do domu przebiera się w luźne dresowe spodnie i bluzkę na ramiączkach, a potem zagląda do Jowity, która leży na wznak i słucha ukochanych kompozycji Mahlera. Tym razem w oryginalnych aranżacjach. Rebeka zaraziła się od niej miłością do tego kompozytora.

– Nie śpisz?

Jowi ma zamknięte oczy, ale jej powieki drgają, więc albo drzemie, albo medytuje. Ma na sobie czarne legginsy i obcisły T-shirt, przez co wydaje się jeszcze szczuplejsza, eteryczna.

– Dostałam dziś zaproszenie na przyjęcie urodzinowe dwunastolatki. Chyba moje pierwsze. Życie bywa zaskakujące, prawda?

Jedyną odpowiedzią jest niedbały ruch ręki, kiedy Jowita poprawia jasną chustkę zawiązaną na głowie w turban. Gdy opowiadała jej o czakrach, wytłumaczyła, jak ważna jest ta siódma, która tkwi na samym czubku głowy, jak fioletowa czapeczka biskupia. Mówiła, że trzeba ją chronić, bo odpowiada za połączenie energetyczne człowieka ze wszechświatem, ale Rebeka pomyślała wtedy, że chodzi o coś innego. Turban uziemiał Jowitę, żeby całkiem nie odleciała.

– Zastanawiam się, co jej sprezentować – mówi dalej Rebeka. – Podobno obejrzała ostatnio *Forresta Gumpa* i film bardzo jej się spodobał. Dziwny gust jak na dwunastolatkę, nie? Spodziewałabym się czegoś bardziej w rodzaju wampirów i demonów.

Klatka piersiowa Jowity porusza się miarowo w górę i w dół, a niezrażona jej milczeniem Rebeka siada w fotelu obok i podciąga kolana pod brodę.

– Pamiętasz najbardziej znany tekst z tego filmu? Mam na myśli *Forresta Gumpa*. Wampiry i demony najczęściej po prostu wyją, krwawią czy uprawiają seks. „Życie jest jak pudełko czekoladek”, pamiętasz? – Patrzy, jak Jowi przekręca się zwinnie na brzuch. Na nosie ma kilka słonecznych piegów po zajęciach na świeżym powietrzu. Rano ćwiczą razem w ogrodzie, jeśli tylko pogoda na to pozwala.

– *Forrest Gump* nie był ostatecznie złym filmem. Zaliczyłabym go do dziesiątki tych, które warto obejrzeć. Może sprezentuję jej ścieżkę dźwiękową? Chyba wszystkie dorastające dzieciaki lubią słuchać muzyki? Zaraz, kto tam śpiewał... Dylan? – Rebeka

uruchamia wyszukiwarke w telefonie, ale patrzy na Jowite, jakby liczyła na to, że zna na pamięć i wymieni wszystkich wykonawców.

Jowita nie ma jednak takiego zamiaru. Wyciąga przed siebie długie ręce, o których czasem żartuje, że są jak złodziejskie, i z gracją odchyła tułów w pozycji kobry. Oczy ma nadal przymknięte, a ciało napięte jak struna. Jest obrażona? Zazdrosna?

– Mam. Bob Dylan, Jimi Hendrix, The Mamas & the Papas, Beach Boys, The Doors, Aretha Franklin...

Rebeka milknie, gdy coś z impetem uderza w okno.

– Kolejna jaskółka?

Wie, co Jowita powie za chwilę, bo to jej standardowy tekst, a mimo to przesywa ją dreszcz, gdy słyszy: „Biedne ptaki mają parcie na szkło”.

Jowita otwiera oczy. Jak zwykle wygląda świeżo, jakby się obudziła z regenerującej drzemki. Według niej słowo „stres” należy wyrzucić ze słownika, ponieważ nad umysłem można zapanować tak samo jak nad ciałem. Kiedy wkroczyła w życie Rebeki z energią lecącą na ratunek Mary Poppins, na początku nie było mowy o jodze. Sączyła jej do ucha afirmacje, a Rebeka miała ochotę rzucić w nią czymś ciężkim, bo jak dorosły, inteligentny człowiek może powtarzać coś w kółko w nadziei, że słowo stanie się ciałem? Jaki sens ma programowanie umysłu, jeśli przypomina on stary komputer, do którego ktoś wrzucił granat.

Rebeka płakała początkowo ze śmiechu przy „Pozwalam sobie na doskonałe zdrowie” i niemal się opluła, powtarzając: „Zdrowie jest naturalnym stanem mojego ciała i umysłu”. Serio? To gdzieś komuś kiedykolwiek pomogło? Gdyby ironia mogła zabijać, Jowita umarłaby wiele razy. Ona jednak pozostawała niewzruszona, jakby niejednokrotnie słyszała te argumenty i nie robiły one na niej żadnego wrażenia.

Słuchając jej ciepłego głosu, Rebeka często zasypiała, ale jakoś proste i naiwne teksty afirmacji weszły jej w krew. Przestała się w nich doszukiwać drugiego dna. Wystarczył jej uśmiech Jowi, który przekonywał, że wszystko będzie dobrze. Jej spokojny głos przypominał Rebecę głos mamy, choć kiedy ta umarła, dziewczynka miała zaledwie dziewięć lat i ojciec zawsze się dziwił, jak może go pamiętać.

Jowi składa ręce na wysokości serca i przeświecła Rebeke spojrzeniem. Zdaje się wiedzieć o niej wszystko, a i tak zachowuje spokój. Nawet śmierć kolejnego ptaka nie wyprowadziła jej z równowagi.

REBEKA

Rebeka wybiera okrężną drogę, bo wyjechała z domu za wcześnie i ma teraz zapas czasu, a nie chce się pojawić na przyjęciu przed innymi gośćmi. Obudziła się dziś w środku nocy i z podekscytowania nie mogła już zasnąć. Nad ranem patrzyła, jak Jowita chodzi bosą po mokrej trawie, przytulając do siebie parujący kubek, i nuci mantry. Powinna była do niej dołączyć, jak codziennie w ciągu ostatnich trzech lat, ale w jej głowie krążyło zbyt wiele myśli i nie potrafiłaby się skupić na wspólnej praktyce.

Przejeżdżając przez wieś, mijają dzieci w powiewających na wietrze śnieżnobiałych albach, zmierzające do drewnianego kościoła. Z daleka wyglądają jak bóstwa otoczone szpalerem dorosłych wyznawców z kwiatami w rękach. Oddalona od reszty starsza kobieta we wściekle różowej garsonce pali papierosa i rozmawia przez telefon. Jest majowa niedziela, nic więc dziwnego, że wszędzie odbywają się komunie, a Rebecę na ten widok przypomina się jej własna.

Miała sukienkę do kolan, choć marzyła o długiej, i opaskę zamiast wianka, na który umówiła się z mamą, bo pewnego zimowego poranka wszystkie umowy z mamą przestały obowiązywać. Sprawę komunii przejął ojciec i zajął się tym po swojemu. Miało być łatwo i tanio. Szybko. Nie zdążyła jeszcze wyjść z kościoła, a w podkolanówkach puściły gumki i skarpetki zwinęły się jej wokół kostek, a jako najgrubsza dziewczynka w klasie wolała nie zwracać na siebie dodatkowo uwagi. „Każdy nosi swój krzyż”, powiedział jej ojciec.

W nowiutkich rękawiczkach ze sztywnej koronki swędziały ją ręce, a gdy je zdjęła, dziewczynka obok powiedziała coś o wstrętnych czerwonych bąblach Grubej Beki i Rebeka włożyła je z powrotem.

Teraz sięga do torby na siedzeniu pasażera, by się upewnić, że nie zapomniała prezentu dla Matyldy. Po dość jednostronnej konsultacji z Jowitą nagrała dla dziewczynki ścieżkę dźwiękową z *Forresta Gumpa* i dołożyła płytę Creedence Clearwater Revival. Jest na niej utwór *Fortunate Son* z tej części *Gumpa*, która toczy się w Wietnamie, i choć nie jest pewna, czy Matylda będzie miała na czym ją odtworzyć, to uznała, że płyta nadaje się na podarunek. Jest nowa, jeszcze w folii. Wczoraj wieczorem starannie ją opakowała, by wyrzucić dobre pierwsze wrażenie. Użyła w tym celu próbki młodzieżowej tapety w oldschoolowy wzór winylowych płyt. Ma jeszcze na szczęście trochę materiałów z czasów, gdy faktycznie zajmowała się projektowaniem wnętrz.

Rebeka szuka miejsca w cieniu i parkuje pod wybujałym krzewem czarnego bzu. Dom położony jest daleko za wsią, na uboczu, i faktycznie jest bardzo zaniedbany, ale wynagradza to jego przedwojenny urok. Stary sad przenosi w czasie. Pod obdrapanym

tynkiem widać gdzieniegdzie zdrową czerwoną cegłę, a płot okalający ogród cały jest popękany i omszały. Zaraz za nim wyrasta las, od frontu natomiast, po drugiej stronie gruntowej drogi, ciągną się pola rzepaku. Właśnie kwitnie i w powietrzu unosi się jego intensywny oleisto-miodowy zapach. Zza płotu dobiegają odgłosy przyjęcia w toku.

– Spóźniłam się? – pyta Annę, która pojawia się na ścieżce, jakby przez cały czas na nią czekała.

– Ależ skąd, to dziewczynki tak hałasują. Nie mogły się doczekać twojego przyjazdu, a Bartek też bardzo chce cię poznać. – Anna puszcza ją przodem, podczas gdy sama próbuje wyplątać z niebieskiego tiulu gałązkę róży zwieszającej się nad furtką.

Ma na sobie falbaniastą sukienkę, którą Rebeka znalazła w piątek w jej torbie. W worku wyglądała kiczowato, jak łaszek małej dziewczynki, ale na Annie leży świetnie i podkreśla jej kobiece kształty. Rebeka, wysoka i szczupła, w lnianej tunice i prostych białych spodniach, czuje się przy niej jak figura geometryczna.

– Tak, wiem, tiulowa kiecka to zły wybór na przyjęcie w zapuszczonym ogrodzie, który litościwi nazywają zaczarowanym, ale podobno wyglądam w niej jak Elsa. Nie znasz Elsy? Szczęściara z ciebie. To dziewczyna z *Krainy lodu* z supermocami Królowej Śniegu. Naprawdę nie widziałas tej bajki? My zostaliśmy fanami numer jeden w Polsce, a kto wie, czy nie na świecie. Fanami, a w zasadzie zakładnikami. – Anna mruga do Rebeki, która poprawia pod pachą prezent.

Mała podbiega do nich jak na sygnał. Ma na sobie obcisły różowy trykot i spódniczkę baleriny, a pod pachą trzyma lalkę z długim blond warkoczem, która wygląda jak współczesna wersja Roszpunkki. Nie do końca Barbie, ale jednak. Witając się z nią, Rebeka kuca, tak by ich oczy znalazły się na tym samym poziomie, bo czytała gdzieś, że w ten sposób powinno się nawiązywać kontakt z dziećmi.

– Po raz pierwszy zostałam zaproszona na urodziny dwunastolatki. – Po przywitaniu się z Helenką wręcza Annie butelkę wina. Był to jej ulubiony riesling w czasach, gdy wciągała wino jak przez słomkę.

– I pomyślałaś, że riesling będzie jej smakował? – Ciemne oczy Anny iskrzą.

Jest wesoła i rozluźniona. W niczym nie przypomina przygnębionej kobiety, która w piątek podwiozła ją do Gruszczyzna, ani tej onieśmielonej, która pojawiła się wczoraj w jej domu. Ramiona i dekolt ma zaróżowione od słońca, pachnie ziołowymi przyprawami i Rebeka czuje ssanie w żołądku. Przypomina sobie, że nie jadła nic od wczorajszego obiadu.

Anna prowadzi ją przez staroświecki ogród z liliowym bzem i kolorowym groszkiem pnącym się po płocie. Przy starej wiśni, w którą swoje macki wczepiła glicynia o poskręcanym pniu, stoi drewniana szopa z dobudowaną wiatą, a pod nią ustawiono stół i krzesła. Na środku stołu bieli się bukiet konwalii, od których jest biało między wysokimi świerkami na tyłach ogrodu.

– No a ten prezencik – Helenka staje na palcach, nie spuszczać wzroku z kolorowej paczki – jest dla Mati, prawda? Moje urodzinki są w lutym, wiesz? – dodaje szeptem. Robi przy tym słodką minę i od razu widać, że kiedyś będzie łamać serca. – Mama mnie dziś zawiozła, żebym mogła obejrzeć swoje przedszkole. W oknie, na samym dole, wisi mój obrazek. Byłam chora i się smęciłam.

– Smuciłam – poprawia ją Anna jak automat.

– Smuciłam się, że już go tam nie ma.

– Twojego obrazka?

Dziewczynka patrzy na Rebeke ze zdziwieniem.

– Mojego przedszkola.

– Nie poświęcaj jej zbyt dużo uwagi, bo cię zje – szepcze jej do ucha Anna.

– Nieładnie, mamusiu, nieładnie. Nie mówi się na ucho. Masz dzieci? – zwraca się Helenka do Rebeki.

– Helena! – beszta ją Anna.

– Dlaczego, niech pyta. Jak to mówią? Pan nam nie pobłogosławił.

– Nie przesadzałbym z tym błogosławieństwem – odzywa się głos z głębi ogrodu.

Mocno zbudowany i szeroko uśmiechnięty mężczyzna wyciera ręce w fartuch do kolan gestem mechanika samochodowego. Pod spodem ma sprany T-shirt Deep Purple z napisem „Poznań 1991”. Rebeka nie tak wyobrażała sobie nauczyciela chemii w podstawówce. Bartek jest wysoki, barczysty i ma przeplatane siwizną przydługie włosy w stylu wilka morskiego. Wydaje się dużo starszy od Anny, szczerze mówiąc, bliżej mu wiekiem do Rebeki.

– Ta flaszeczka będzie bezpieczniejsza przy mnie. – Bierze wino z rąk Anny, udając podpitego. – No nareszcie. Gość, który myśli nie tylko o dzieciach. Bachorom się teraz wydaje, że rządzą światem. – Mruga do ubranej na czarno dziewczynki, która poświęciła swojemu wyglądowi sporo czasu jak na kogoś, kto chce uchodzić za abnegata.

– No i to jest właśnie Matylda. – Helenka niechętnie wskazuje ją Rebecę palcem.

Dwunastolatka ma sympatyczną okrągłą twarz pod prosto obciętą, przydługą grzywką. Skośne oczy podkreśliła czarną kredką, a napis na jej koszulce głosi *Nie pamiętam, kiedy czułam się taka rześka*.

– Thelma czy Louise? – pyta Rebeka, wskazując cytat.

Zdaje sobie sprawę, że próbuje jej się podlizać, a dzieciaki w tym wieku wyczuwają to na kilometr, ale dziewczynka kiwa poważnie głową.

– Thelma. Jaki fajny papier. – Odwija prezent z precyzją, by nie uszkodzić ani kawałka tapety. – No i płyta, super!

– Nawet nie wiem, czy masz na czym tego posłuchać. CD to coś oldschoolowego, prawda?

– Ma w pokoju odtwarzacz CD – rzuca Bartek, a Matylda przewraca oczami.

– Mam też język.

– Ale nie tak długi jak mój. – Helenka ślini brodę koniuszkiem języka i odwraca się w stronę Rebeki, by jej pokaz nie poszedł na marne. – Widziałaś?

– Powinnaś dawać występy.

– Weź jej nie zachęcaj, bo raz-dwa ustawi nam tu cyrkowy namiot i zacznie sprzedawać bilety – śmieje się Anna i zaczyna nakrywać do stołu. Wygląda na to, że Rebeka jest pierwszym gościem.

– *Fortunate Son!* To z *Forresta Gumpa*, prawda? – Matylda przegląda w skupieniu spis utworów na płycie. – Zna pani *Forresta Gumpa*? Kto się pani podobał najbardziej? W sensie, jaka postać?

Ona zastanawia się przez chwilę. Nie powie, że Forrest ani nawet że Jenny, choć za sprawą tej roli polubiła Robin Wright.

– Chyba porucznik Dan Taylor.

– No jasne! Zarośnięty Gary Sinise na wózku inwalidzkim i jego obłędna bandana, po prostu mega! Mega! – Dziewczynka uśmiecha się tak szczerze, że jej rysy stają się na powrót dziecinne.

Jest w niej coś, co przypomina Rebecę ją samą w tym wieku. Nie chodzi tylko o to, że jest duża, pulchna i ubiera się na czarno, ale też jak się czerwieni, kiedy się jej poświęca uwagę. Rebecę zajęło dużo czasu, by zrozumieć, że ludzie w miasteczku, w którym dorastała, gapili się na nią nie ze względu na nadwagę, tylko „tę historię z jej matką”.

– Na śmierć zapomniałam o galaretkę – mówi Anna, kiedy Rebeka idzie za nią do kuchni. Otwiera i zamyka lodówkę.

Choć na dworze jest jasno, to w kuchni świeci się światło, bo jest tu tylko jedno niewielkie okno. W całym domu jest ponuro ze względu na małe okna i ciemną boazerię, która pokrywa ściany i sufity. Gdyby zawiesić poroża jelenia i ustawić skórzane sofy, dom z powodzeniem mógłby służyć za plan filmu porno z lat siedemdziesiątych.

– Helenka uwielbia galaretkę i obiecałam jej, że zrobię. – Anna pospiesznie wsypuje różowy proszek z dwóch opakowań do salaterki, którą napełnia wrzątkiem.

– Nagroda pocieszenia?

– Mała potrafi być naprawdę upierdliwa. Wiesz, jakie są dzieci.

Rebeka przytakuje, choć tak naprawdę nie ma o tym pojęcia. To znaczy o tym, jakie są własne dzieci. Docierają do nich piski Helenki i głos nowej osoby, która najwyraźniej pojawiła się w ogrodzie.

– Jest i Daria, siostra Bartka – mówi Anna, zerkając przez otwarte drzwi, a z jej tonu trudno wywnioskować, czy przyjazd przyszłej szwagierki martwi ją czy cieszy.

Po uporaniu się z galaretką wyjmuje z lodówki półmisek z sałatką z kurczakiem i polewa ją ziołowym sosem. Rebeka czuje zapach mięsa i nagle zdaje sobie sprawę, jak dawno go nie jadła. Miałaby ochotę wbić zęby w pieczonego kurczaka i przegryźć ścięgna.

W ogrodzie Daria energicznie ściska jej rękę. Jest bardzo młoda, chyba jeszcze nie skończyła trzydziestu lat, co by znaczyło, że urodziła Matyldę jako nastolatka. Nie

wygląda dobrze. Jest drobna i bardzo chuda, a jej oczy błyszczą, ale to niezdrowy blask. Rebeka rozpoznałaby w niej matkę Matyldy nawet bez podpowiedzi. Nie chodzi zresztą o czarną grzywkę i podobnie skośne oczy, lecz o upodobanie do gadających T-shirtów. Koszulka opięta na jej niewielkim biuście głosi: *Doskonałość to nie tylko samokontrola*. Za to strój córki nie wzbudza w niej entuzjazmu.

– *Thelma i Louise*? Naprawdę? Z drugiej strony lepsze to od *Rain Mana*, którego wielbiłaś jeszcze zimą. Wkurzał mnie Tom Cruise w tym filmie, choć jeśli mam być szczerą, to Cruise wkurza mnie w każdym filmie. Ten jego zwyczaj ustawiania się do kamery, by wyglądać na pełnowymiarowego faceta...

Matylda drapie suchą skórę na ramieniu, zostawiając na niej białe kreski, i uśmiecha się niepewnie do matki, a potem omiata spojrzeniem Rebece.

Daria kogoś Rebece przypomina, to irytujące, jak słowo na końcu języka. Prawie to widzi, ale prawie to za mało. Wreszcie wyświeśla jej się biurko w kształcie nerki i drobna brunetka w białym fartuchu po drugiej stronie. Z jej ust płynęły takie zwroty jak: „naprawdę mi przykro”, „wygaszanie pracy jajników”, „wyczerpana rezerwa, ale proszę się nie poddawać”. „Trzeba mieć nadzieję”. Jej oczy były rozbiegane, jakby w tym samym czasie powinna się znajdować w innym miejscu i zajmować się ważniejszymi sprawami.

Podawała Rebece pudełko chusteczek, mylnie biorąc jej katar za łzy, bo nie wiedziała, że ma do czynienia z kobietą z kamienia. Nawet gdyby zdarzało jej się płakać, to nie ryczałaby w tamtym gabinecie. Była zbyt zaskoczona faktem, że jej układ rozrodczy po latach cholernego próżnowania na pigułce antykoncepcyjnej udał się na przedwczesną emeryturę.

Po sałatce z kurczakiem i kawie, którą też odstawiła dawno temu, Rebeka czuje się nabuzowana. Dotyka policzków, są gorące. Może to coś więcej niż podekscytowanie? Rozchorowała się?

– Podobno wyjeżdżasz do Niemiec? – Nachyla się ku Darii. Siedzą obok siebie przy stole. Tak jakoś wyszło.

– Zgadza się. Dostałam tam bardzo dobrą pracę. Do września chcę się urządzić i wtedy zabiorę do siebie Matyldę.

Chyba poruszyła niezręczny temat, bo na dźwięk imienia bratanicy spojrzenia Anny i Bartka krzyżują się nad stołem.

Rebeka zaczyna mówić o berlińskich muzeach, które często odwiedzała z Konradem. Opowiada o stylu Bauhaus i swoim ulubionym Dworcu Hamburgskim.

– Matylda cię polubiła – mówi Anna, gdy wnoszą talerzyki po torcie do kuchni.

Wyjmuje z lodówki stężalą już galaretkę i włącza ekspres na kolejną kawę, a Rebeka ustawia na tacy filiżanki.

– Tak sądzisz?

– Miło jej, że okazujesz Darii zainteresowanie, bo między jej matką i Bartkiem często iskrzy. To typowy starszy brat, który traktuje młodszą siostrę jak córkę. Wkurza go jej

luźne podejście do mężczyzn i związków. Zaszła w ciążę z Matyldą, jak miała szesnaście lat, po drodze były też narkotyki, a i teraz...

Rebeka chętnie wysłuchałaby tej historii do końca, ale w kuchni pojawia się rozochociona Helenka i woła je na „karamburi”, w które będą grać w ogrodzie. Gdy szybko odgaduje przygotowane z myślą o niej hasło „Śpiąca Królewna”, Rebeka wymyka się do toalety. W kącie ciemnej i wilgotnej łazienki stoi piecyk akumulacyjny, a wanna pod paskiem płytek w mdłym odcieniu zieleni pamięta czasy demoludów. Na podłodze leży cienka warstwa startego linoleum w ceratowy wzór. Zdjęcie przyklejone do ramy lustro przedstawia kontrastową, piękną łazienkę z umywalką w drewnianej beczce i miedzianą wanną.

Rebeka przygląda się projektowi. Wie, że mogłaby pomóc Annie i Bartkowi w takiej realizacji. Na podłodze położyłaby patchworkowy gres, a na jednej ze ścian fototapetę. Niektórzy ich nie lubią, kojarząc z kiczowatymi widoczkami sprzed lat, ale teraz to zupełnie inna jakość. Mogłoby tu się znaleźć na przykład zdjęcie kręconych dębowych schodów.

Rebeka zaczyna mimowolnie myśleć obrazami i ma w głowie trzy wersje tej łazienki, zanim skończy myć ręce. Opcja standard, ekonomiczna, a trzecia de luxe dla czystej frajdy. Powinni też pomyśleć o ogrzewaniu podłogowym i zainwestować w pompę ciepła i fotowoltaikę, szczególnie teraz, gdy można załatwić dotację. Piec kaflowy czy koza, owszem, dla przyjemności, ale stary dom o grubych ścianach na pewno trudno dogrzać zimą. „Co ty, do cholery, wyprawiasz?”, Rebeka przybliżyła twarz do lustro i chłapie się zimną wodą.

Włosy puściła dziś luźno, przekładając je falą przez jedno ramię i podpinając nad karkiem miedzianymi spinkami. Poprawia złoty kolczyk w prawym uchu, bo odstaje pod dziwnym kątem, i wyciera lustro z wodnych plam kawałkiem papieru toaletowego. W świetle migocze listek koniczyny na jej srebrnym pierścionku. Jest dziecienny, ale to jedyna pamiątka, która została jej po mamie.

Powinna już wracać, bo długo jej nie było, lecz schodząc w dół, zatrzymuje się na podeście, by przyjrzeć się schodom. Na zewnątrz rozlega się kolejna salwa śmiechu i Rebeka przejeżdża ręką po poręczy. Wystarczyłoby zedrzeć okropną brązową farbę olejną i odkryć naturalny rysunek drewna. Gdy słyszy dobiegające z góry monotonne odgłosy, w pierwszej chwili myśli, że ktoś zostawił włączone radio, ale rozpoznaje nosowy głos Bartka. Chyba rozmawia przez telefon. Nasłuchuje, jednak nie może rozróżnić poszczególnych słów. Gdy podłoga zaczyna nad nią skrzypieć, rusza szybkim krokiem do kuchni i mocuje się z zatrzaśniętymi drzwiami. Narzeczony Anny wyrasta tuż za nią z komórką przyklejoną do ucha.

– No więc? – pyta Bartek bez uśmiechu, chowając aparat do kieszeni.

Robi jej się gorąco, gdy odkręca kran i podstawia szklankę. Rebeka jest przerażona. Co takiego zrobiła czy powiedziała?

– Co o tym sądzisz? Spychacz, jedyńka i budować od nowa? Za to wodę mamy znakomitą, z własnego ujęcia, chcesz spróbować?

Rebeka kręci głową, śledząc jego szybko przesuwaną się grdykę i poruszające się wraz z nią kępki niedokładnie ogolonych włosków. Czuje się przy nim nieswojo.

– To dom z potencjałem.

– Chyba wiem, co to oznacza. Remont będzie nas kosztował majątek?

– Remont zawsze może kosztować majątek, ale nie musi, szczególnie jeśli macie czas i chęci.

– Przedemną dwa miesiące wakacji. Nie wiem, czy Ania wspominała, jestem belfrem. No i podobno mam tylko jedną lewą rękę. Tak przynajmniej mówił mój dziadek.

Na dowód napina bicepsy. Jego przedramiona są opalone i muskularne, choć nie wygląda na faceta, który regularnie pakuje na siłowni. Raczej nie stroni od pracy fizycznej.

– Właściwie to dziadek wychowywał mnie i Darię. Babcia zmarła dawno temu.

– A rodzice?

– Jak to mówią na fejsie? To skomplikowane. – Bartek wreszcie się uśmiecha i wskazuje jej ręką schody. – Chciałabyś obejrzeć resztę domu?

Rebeka przytakuje, a gdy docierają do półpiętra, przeciąga dłonią po boazerii.

– To paskudztwo oczywiście zedrę, choć sam pomagałem je kłaść, pedantyczny był z dziadka sukinkot... Wybacz. Powiedzmy, że lubił majsterkować. W szopie nadal trzymam jego stare narzędzia.

Ona ponownie maca drewno.

– Jest w dobrym stanie, może wystarczy pomalować na biało? Zależy, na jaką koncepcję postawicie.

– Chyba żadna z nich nie obejmuje pozostawienia boazerii. – Bartek pierwszy wchodzi na piętro i otwiera z rozmachem drzwi po lewej stronie do oszczędnie umeblowanego pokoju. Pod oknem stoi biurko z laptopem, a łóżko przykryte jest kapą we wzór jesiennych liści. Na półce leży kilka książek, raczej nic ambitnego, jak można sądzić po kolorowych okładkach.

– Tu pracuje Ania – mówi, ale nie wyjaśnia, czym jego narzeczona się zajmuje. – A tu jest sypialnia – otwiera drzwi do pokoju z masywnym łóżkiem i wiszącym na przeciwległej ścianie wielkim obrazem *Zwiastowanie*. Rebeka nieraz widziała, jak ludzie rąbali takie wyra na opał.

– Tego się nie pozbywajcie.

– Masz na myśli obraz? – Bartek mruga do niej. – Babcia była bardzo religijna.

– A dziadek nie?

– Dziadek wyznawał inną religię. – Ucina i dodaje z pojednawczym uśmiechem: – Ale po śmierci babci niczego tu nie ruszył. No więc teraz rozumiesz. Potrzebny jest nam totalny reset, jak mawiają dzieciaki.

Gdy przechodzą do ostatniego pokoju, Rebeka opiera się plecami o parapet, kontemplując wąskie pomieszczenie wypełnione kolorowymi lalkami i pluszakami. Bez trudu rozpoznaje łóżko Matyldy, bo na poszwie kołdry jest wydrukowany plakat z *Thelmy i Louise*. W pozostałej części pomieszczenia dominują motywy z *Krainy lodu*. Bartek staje obok niej i prostuje przed sobą długie nogi.

– Skąd właściwie znasz Anię? – zwraca się do niej, dotykając czubkiem buta nogi łóżka.
– Tak pytam. Ona nie ma tu zbyt wielu znajomych, a jeśli nawet, to ja ich nie znam.

– To dość zabawna historia, poznałyśmy się w piątek w Galerii Malta. Anna była tak miła, że podwiozła mnie do domu. Miałam... Cóż, miałam problem z samochodem. Choć jeśli mam być szczerą, to raczej z mężem. Coś mu wypadło i zostawił mnie tam samą, bez samochodu. Przez pomyłkę zabrałam jej torbę z zakupami.

– A tak, coś wspominała – przytakuje skwapliwie Bartek, choć Rebeka jest pewna, że słyszy o tym po raz pierwszy.

W ogrodzie rozlega się wołanie i gdy odwracają się do szyby, widzą Annę z ręką uniesioną w geście tonącego rozbitka. Wokół niej biega Helenka, która po kilku porcjach tortu zrobiła się hiperaktywna i teraz udaje samolot, wydając z siebie furkoczące dźwięki. Robi coraz szersze kółka na trawie, aż w końcu wpada w objęcia starszej kobiety, która weszła właśnie przez furtkę do ogrodu i poprawia rzadkie żółtawe włosy rozwiane przez wiatr. Bartek wyjaśnia, że to sąsiadka ze wsi, która miała się pojawić na przyjęciu wraz z mężem.

– Co się stało? – pyta, przytulając Annę, gdy schodzą na dół.

Sąsiadka, którą widzieli z góry, siedzi przy kuchennym stole, a jej oczy okolone siatką zmarszczek przypominają dwie rybki pływające w butelce mętnej wody.

– Hugo zaginął – mówi kobieta, upewniając się wcześniej, że dzieci zostały w ogrodzie.
– To nasz pies, mieszkamy w wiosce – zwraca się do Rebeki. – Mówiłam właśnie Ani, że nie wrócił na noc. Wczoraj też go nie było, ale żeśmy z Darkiem nawet nie zauważyli. Pudło włączył i szybkośmy posnęli. Często gad samopas ganiał ścieżką, hen, tam, do jeziora. – Pokazuje pola rzepaku za oknem. – Ale wraca. Zawsze wraca.

– Nikt go we wsi nie widział? Pytaliście? – Bartek marszczy brwi.

– Nikt. Darek auto wziął i jeździ po okolicy, wszędzie go woła, szuka. Nic. Jak kamień w wodę, sobaki nie ma. – Kobieta wzrusza ramionami.

– Często zabierałam tego psiaka z Helenką na spacer. – Głos Anny łamie się po wyjściu sąsiadki, a Bartek jeszcze raz ją przytula i mówi stanowczym tonem, w którym słychać belferskie nuty:

– Nie powiemy dziewczynkom, pamiętaj. Na wypadek gdyby psu naprawdę coś się stało. Choć trzeba być dobrej myśli.

Anna przytakuje, a Rebeka odwraca wzrok, bo nie zgadza się z takim podejściem. Dzieci, których nie traktuje się protekcjonalnie, wyrastają przecież na ludzi. Czy ona nie jest tego doskonałym przykładem? Ma swoją wersję przysłowia „Czego Jaś się nie

nauczył, tego Jan nie będzie umiał”. Brzmi „Emocja, której Jaś nie przeżył, całkowicie sparaliżuje Jana”. Konrad powiedział jej kiedyś, że jest okrutna. Ona? Ona jest okrutna? A to dopiero zabawne.

– Słyszałem, że w okolicy pojawiła się wataha wilków, a one nie lubią bezpańskich psów. Powinni go lepiej pilnować – zrzędzi Bartek.

Po wizycie sąsiadki nastrój siada, a Helenka, choć przecież o niczym nie wie, jest coraz bardziej zmęczona i płaczliwa. Dochodzi osiemnasta, gdy Rebeka postanawia się pożegnać, i jak na znak Daria też podnosi się z miejsca, a Bartek ją prosi, żeby nie przedłużała pożegnania z Matyldą. Zdaje się, że przerabiają ten scenariusz nie pierwszy raz.

Rebeka zostaje sama z Darią przy furtce, gdy Anna mówi, żeby chwilę poczekały, i wraca po coś do kuchni.

– Ach, ten dom... – mówi Daria i Rebeka podąża za jej wzrokiem. – Wolałabym, żeby Bartek go sprzedał. Albo zburzył. Tak by było jeszcze lepiej.

Owszem, tynk jest odrapany, gdzieniegdzie odpada całymi płatami. Ale budynek pokryty pędami glicynii i liśćmi czarnego bzu wygląda malowniczo. Fundamenty są zdrowe, no i był przez te wszystkie lata ogrzewany. To ważne, murów nie przeżarła wilgoć. Rebeka jednak wie, że nie każdy umie spojrzeć w ten sposób i to dlatego wielu klientów woli kupować nowe od remontowania starego.

– Zobaczysz, po remoncie będzie tu pięknie – mówi Rebeka i szykuje się już, by roztoczyć przed Darią optymistyczną wizję, ale kobieta pociera chude ramiona bez przekonania.

Odwracają się do drogi, by spojrzeć na punto, które wyłania się właśnie zza zakrętu. Słońce gaśnie nad płonącymi na żółto polami rzepaku i odbija się w masce samochodu, z którego wysiada starszy mężczyzna.

– To Darek. Ten od Hugo – wyjaśnia cichym głosem Anna, która wróciła właśnie do furtki ze starannie zapakowanym kawałkiem tortu dla każdej z nich.

Na jej widok mężczyzna kręci ze smutkiem głową.

ANNA

Wreszcie nadszedł poniedziałek. Rozkoszuję się ciszą, którą zakłócają tylko rozcwierkane wróble i zachrypnięty kogut gdzieś daleko we wsi. Bartek zabrał ze sobą dziewczynki i nie muszę nawet sprawdzać grafiku przyczepionego magnesem do drzwi lodówki, by wiedzieć, że wrócą dziś późno. Podstawówka Matyldy jest po drugiej stronie Poznania i będą się przedzierać przez miasto w godzinie korków. Mam ochotę jak głupia zakrzyknąć: hip, hip, hurra!

Mogłabym odebrać Helenkę wcześniej z przedszkola, ale mała uparła się, by pojechać z Bartkiem po Matyldę, a mi to jest na rękę. Siądę wreszcie w spokoju do pracy. Goni mnie termin oddania korekty książki – bo w ten właśnie sposób zarabiam obecnie na życie. Poprawiam romanse dla kobiet, wydawane przez niewielką oficynę, na której czele stoi, o dziwo, mężczyzna. Niektóre z nich sam pisze pod żeńskim pseudonimem. Nie oznacza to obcowania z literaturą wysokich lotów, zarobki zresztą są na tym samym poziomie, ale i tak uważam, że mi się poszczęściło. Potrzebowałam pieniędzy, gdy pięć lat temu moje życie uległo zmianie o sto osiemdziesiąt stopni, a nie mogłam już wrócić do tego, co robiłam wcześniej. Wręcz przeciwnie. Chciałam się schować i zdalna praca mi to umożliwiała.

Wcześniej uważałam, że każda zmiana jest dobra, a wychodzenie z własnej strefy komfortu to podstawa rozwoju, ale dziś nie jestem już tego taka pewna. Dotykam brzucha czułym gestem, który wchodzi mi szybko w nawyk, staram się więc pilnować, kiedy obok jest Bartek. Powiem mu. Oczywiście, że mu powiem, ale przez kilka dni chcę pobyć sam na sam z naszym dzieckiem. Niech jeszcze przez chwilę będzie tylko moje.

Zaglądam do pokoju dziewczynek, w którym widać ślady porannego pośpiechu, czuć słodkawy zapach dziecięcego potu i brzoskwiniowego antyperspirantu Matyldy. Albo siostrzenica Bartka wyjątkowo często się nim pryska, albo ja już nie pamiętam, jak to jest, gdy się zaczyna dojrzewać. Mam tylko trzydzieści lat, a czasem czuję się tak stara i zmęczona życiem... Może to kwestia doświadczeń?

Bałwan i Anna z *Krainy lodu* leżą w nogach łóżka Helenki, bo Elbę zabrała ze sobą do przedszkola i ta kwestia od kilku miesięcy nie podlega negocjacji. Jej wychowawczyni nie ma zresztą nic przeciwko temu. Podkreśla, że dzieci mogą przynosić swoje ulubione zabawki. Wyglądam poduszkę Matyldy i ze zdziwieniem znajduję pod nią szeleszczące opakowanie po chipsach. Daria poprosiła mnie wczoraj, żebym nie pozwalała jej wydawać kieszonkowego na niezdrowe przekąski, ale nie jestem przekonana, czy to dobra droga. Wydaje mi się, że im bardziej będziemy jej czegoś zabraniać, tym bardziej obsesyjnie

będzie tego pragnąć. Czy nie tak to działa? Czy nie to zgubiło Romea i Julię? Daria powinna to chyba najlepiej wiedzieć, znam od Bartka przynajmniej część jej historii z narkotykami. To dlatego tak często potrzebowała jego pomocy, gdy Matylda była mała.

Zostawiam opakowanie chipsów tam, gdzie je znalazłam, i siadam na łóżku Mati, gdzieś pośrodku maski samochodu prowadzonego przez Susan Sarandon. Jestem ostatnią osobą, która powinna komukolwiek doradzać na temat diety, bo moje ciało zmieniło się w ciągu ostatnich paru lat do tego stopnia, że momentami wydaje mi się obce. Żyję w cudzym ciele, tak jak niektórzy twierdzą, że żyją cudzym życiem, a ono ma zarówno potrzeby, jak i ograniczenia, do których nie przywykłam.

Ściskam tłuszczak na ramieniu, który zastąpił mój wcześniej ładnie wyrzeźbiony triceps, i zastanawiam się, czy Bartek by mnie poznał na starych zdjęciach. Owszem, opowiadaliśmy sobie o przeszłości, ale pokazywałam mu tylko jej starannie wyselekcjonowane fragmenty, pomijając wszystko, co niewygodne, jak muzyk, który opuszcza niewyćwiczone pasaże. Widział moje słotaśne foty z dzieciństwa, słuchał opowieści o wyjazdach w góry z paczką licealnych przyjaciół i o odejściu ojca, ale tam stawiałam kropkę.

Gdy się poznaliśmy trzy lata temu nad zamrzniętym jeziorem, miałam już kilkanaście nadprogramowych kilogramów, a obok mnie dreptała niepewnie Helenka, w której Bartek zakochał się od pierwszego wejrzenia. Żartujemy sobie, że najpierw w niej, a dopiero potem we mnie. Maleńka ściskała moją rękę ze wzrokiem wbitym w grudy śniegu, z których obiecałam jej ulepić bałwana. Być może z tamtej chwili na zamrzniętym jeziorze wzięła się jej obecna miłość do Elsy i reszty bohaterów *Krainy lodu*. W przeciwieństwie do mnie moja córka kocha zimę.

Włączam ekspres do kawy i wychodzę do ogrodu, który po nocnej ulewie wydaje się jeszcze bardziej dziki i nieposkromiony. Wypłukana deszczem zieleń jest świeża, a chlorofil buzuje w nowych pędach i liściach jak hormony nastolatka. Czuję mrowienie w podbrzuszu, niespodziewaną falę pożądania, która rozlewa się po moim ciele od ud aż po twardniejące sutki. To coś nowego. Gdy byłam w ciąży z Helenką, seks był ostatnią rzeczą, o której myślałam.

Przez długi czas moje kontakty z Bartkiem były poprawne, ale i dość formalne, jak to między kobietą z dzieckiem, która wynajmuje część domu, i mężczyzną, który co miesiąc dostaje od niej czynsz. Gdy spędziliśmy razem pierwszą noc, moje ciało milczało. Już po wszystkim przytuliłam się do niego z ulgą, którą wzięłam omyłkowo za wyraz oddania. Prawda jest taka, że seks nadal nie odgrywa dużej roli w naszym związku i szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy kochaliśmy się po raz ostatni. Możliwe, że właśnie wtedy, gdy... Dotykam w zamyśleniu brzucha i tym bardziej zadziwia mnie nagły ogień, który obudził krew w moich żyłach.

Odsuwam krzesła i sięgam po miotłę. Przypominam sobie wczorajszą wizytę sąsiadów i przywołuję obraz Hugo, który trzy lata temu z impetem wleciał na pomost i zaczął

szczekać, jakbyśmy były z Helenką zabłąkanymi owieczkami, a on owczarkiem, który próbuje je zagnać z powrotem do stada. Kończył się właśnie luty i słońce zniknęło za lasem, niemal białe, jak na przeświecionej kliszy.

Znałam to jezioro, przyjeżdżałam tu nieraz kąpać się z paczką przyjaciół jako nastolatka. Wiedziałam, że za pomostem zaczyna się głębina, a mimo to szłam po lodzie dalej. Przekroczyłam punkt, w którym bałam się, że łódź może się załamać pod naszymi stopami.

Helenka trzymała mnie za rękę, wydając z siebie podekscytowane popiskiwanie, a jej oddech ulatywał w kłębkach ciepłej mgły. Wyobraziłam sobie, jak łódź pod nami pęka i pochłania nas lodowata woda, jak po chwili bezładnej szamotaniny znikamy bez śladu. Wbiłam wzrok w rozbielony horyzont i chciałam... Sama nie wiem. Było tak, jakbym na chwilę odpłynęła na jawie. Ocknęłam się dopiero wtedy, gdy usłyszałam ujadanie psa, a z lasu wyszedł wysoki mężczyzna i zaczął machać rękami.

– Co pani tam robi? Proszę nie iść dalej! Hugo, psiakrew! – wrzasnął na psa, który wrócił z pomostu na plażę i ujadął, biegając w tę i z powrotem wzdłuż brzegu. – Tam łódź jest cienki, po co ryzykować! Proszę wracać.

Pies przewrócił małą i polizął jej policzki, gdy dotarliśmy na brzeg. Helenka była zachwycona, a mężczyzna, który mocniej naciągnął na uszy wełnianą czapkę, naprawdę na mnie zły.

– Co pani strzeliło do głowy?

– Chciałam... – Spojrzałam w jego szaroniebieskie oczy i poczułam się tak, jakby mnie znał. Widział nie tylko to, że weszłam z małym dzieckiem na zamrożone jezioro. Widział całe moje dotychczasowe życie.

– Chyba już tu panią spotkałem – powiedział łagodniejszym tonem. – Mieszka pani niedaleko?

– Nie, ale przyjeżdżam nad to jezioro od lat. Ostatnio z Helenką. Nie orientuje się pan, czy w pobliżu nie ma jakiegoś taniego pokoju do wynajęcia? Nie jestem wybredna. Nie potrzebuję dużo do szczęścia.

Zbieram piach na szufelkę. Nie usłyszałam skrzypienia furtki, więc podskakuję, gdy za moimi plecami rozlega się „dzień dobry” sąsiadki.

– Nie chciałam cię, Aniu, wystraszyć. – Jej rozczochrana blond głowa wychyla się zza krzaka czarnego bzu. – Talerz odnoszę z podziękowaniem za tort. Wmusiłam w Darka kawałek, choć odganiał mnie jak muchę, wiesz, tak tego psiaka przeżywa, że hej.

Jej piersi kotłują się pod bluzką, gdy ciężko sapie. Podsuwam jej krzesło.

– Nie rób sobie kłopotu. Widzę przecież, że sprzątasz.

– Czas na przerwę. Napije się pani czegoś?

– Idę. Też mam robotę, wiesz, jak to jest, wiecznie coś.

Siada jednak zmęczona spacerem – nie jeździ punto, nie ma prawa jazdy – i wyciąga przed siebie spuchnięte stopy, na które lekarze podobno nie potrafią nic poradzić. Wsunięte w płócienne buty przypominają wyrosnięte bochenki w foremkach do wypieków.

Jakaś zielarka powiedziała jej ponoć, że to schorzenie wywołane przez psychikę i oznacza lęk przed przyszłością, strach przed pójściem naprzód, ale ona nie za bardzo wie, co z tą informacją począć. Żartujemy czasem z Bartkiem, że może powinna zrobić prawo jazdy. To byłby dopiero krok w przyszłość.

– A mnie to się zdaje, że naszemu psu ktoś celowo krzywdę zrobił, porwał go czy potracił – mówi w końcu kobieta.

– Ale kto by psa porywał? No i po co? Na pewno się jeszcze znajdzie.

– Wczoraj może jeszcze była nadzieja, ale dziś? Nigdy aż tak daleko nie biegał, żeby po żarło nie wrócić. Gorąco się znowu zrobiło, psiamać. – Sąsiadka wyciera spocone czoło wierzchem dłoni. – Sama widzisz, Aniu, mnie też tylko ten kundel w głowie. – Wzrusza ramionami. – Nie chcę już żadnych bydła, bo się człowiek tylko przywiązuje. Gorzej niż z dziećmi, dzieci przynajmniej nie odchodzą przed tobą, o ile się Panu Bogu coś nie popierdoli. Wybacz, ale czasem trzeba przekląć. Lżej się robi.

Przypominam sobie piątkowy wieczór, gdy odwiozłam Rebekę do Gruszczyzna i wracałam do domu, a tuż za zakrętem coś przeleciało mi przed maską. Wzięłam to wtedy za dzikie zwierzę, uciekającego lisa. Czy to możliwe, że to był Hugo i jednak go potraciłam? Teraz ja zacznę się pocić.

– No ale komu by ten pies przeszkadzał? – powtarzam z uporem i zmiatam ze stołu liść glicynii, który utkwiał w szczelinie.

– A żebyś wiedziała, że przeszkadzał. Młoda jesteś, nie znasz jeszcze ludzi. Nie tak dobrze jak ja. Miastowych się trochę do nas sprowadziło, budują wielkie domy i wszystkiego się boją. Zwierząt też się boją, jeśli nie siedzą w klatkach, jak w zoo. Myślę, żeby ogłoszenie jakieś dać, nagrodę zaproponować. Pomożesz? Pewnie macie w domu drukarkę?

– Oczywiście, wydrukuję.

– A zdjęcie Hugo masz?

– Niejedno. Wybiorę coś z telefonu.

Sąsiadka patrzy na mnie z wyczekiwaniem, jakby spodziewała się natychmiastowego działania.

– Do schronisk podzwonię – mówię.

– A po co do schronisk?

– Może ktoś go złapał, bo myślał, że bezpański, i odwiózł? Sama pani mówi, że trochę miastowych sprowadziło się w te okolice. Oni mogą myśleć, że jak pies bez obroży, to niczyj.

– No to faktycznie – przyznaje sąsiadka i podnosi się z trudem z krzesła. – Dzwon, ale ogłoszenia i tak wydrukuj. Trzy się przydadzą – wylicza. – Jedno powiesi się przy spożywczaku, drugie w gablocie koło kościoła i trzecie na przystanku autobusowym.

– Wydrukuję kilka więcej, to się powiesi w innych wioskach.

Sąsiadka już za furtką kiwa głową i obrzuca werandę krytycznym spojrzeniem.

– Dobrze, że się za remont bierzecie, bo ten dom ponury był zawsze jak trumna. Lisia Chata... Bardziej Lisia Nora, jakby mnie kto o zdanie pytał. Jak to mówią, jaki pan, taki kram. – Wzrusza ramionami. – Nie żeby Bartek. – Reflektuje się szybko. – O starego mi chodzi.

– Dziadek Bartka? Znała go pani?

– No, o tyle, o ile. Ponurak był z niego i dziwak. A jak mu Jadźka, w sensie – żona, zmarła, to całkiem mu ochota do życia przeszła. Ciągnął jakby z rozpędu, z obowiązku jakiegoś. Współczułam mu, że się jeszcze wnukami musi zająć. W sensie, że Bartkiem i Darią – dodaje. Chyba nie uważa mnie za zbyt rozgarniętą. – Innego by dzieciaki rozweseliły, ale jego wcale, taki typ. Ja się zbyt wiele po chłopach nie spodziewam, mój Darek też do wesołków nie należy, ale Ludwik, dziadek twojego Bartka, to był smętny jak wrzód na dupie w deszczowy dzień. – Sąsiadka macha pulchną ręką i otwiera furtkę. – Co to ja jeszcze chciałam... A na plakacie to jednak o żadnej nagrodzie nie pisz. No bo po co? Jak kto co wie, to się przecież zgłosi. Numer telefonu tylko podaj, nie zapomnij.

– Do pani męża też?

– Tylko mój. Nie wiem, na co w ogóle Darkowi komórka, głuchy jak ten, kurwa, pień. No trzeba, czasem trzeba se przekląć. Idę już. – Szura w miejscu butami, jakby brała rozbieg. – Wiesz, jak to u mnie jest. Robota, ciągle robota.

Kiedy ją tracę z oczu, zaczynam płakać, i nie wiem już sama, czy chodzi o Hugo, czy to z powodu hormonów, nad którymi staram się zapanować. Kończę sprzątanie, odtwarzając sobie w głowie piątkowy powrót do domu i miejsce, w którym przez drogę przebiegło mi tamto zwierzę. To było tuż za zakrętem, ale jeszcze przed krzyżem. Wiem, bo potem spojrzałam na wstążki. Cokolwiek to było, staram się uspokoić, umknęło mi spod kół w ostatniej chwili. Gdyby było inaczej, próbuję sobie wytłumaczyć, poczułabym przecież uderzenie. W gruncie rzeczy nie jestem jednak pewna. Jechałam wtedy bardzo szybko.

Idę do pokoju, w którym Bartek urządził mi miejsce do pracy, i przygotowuję tekst ogłoszenia o zaginięciu psa, z dużym zdjęciem Hugo. Drukuję je w dwudziestu egzemplarzach, a po namyśle dodrukowuję jeszcze dziesięć. Wracam do pracy nad korektą „odpadu”, jak czasem nazywamy w wydawnictwie proste i niedbałe pod względem językowym czy fabularnym teksty książek z półnagim facetem na okładce. Kiedyś były produkowane na apce Watsapp, a za sprawą popularności wśród nastolatek wdarły się siłą do już i tak kulejącego mainstreamu. Co tu dużo mówić, nasz szef próbuje je kopiować, bo zazdrości zysków, a nieudolne kopiowanie odpadu kończy się zwykle mieszanką dziwnych wywodów starszego faceta z napadowymi scenami seksu. Czasem kasę, którą za to dostaję, nazywam krwawą, jakbym się przyczyniała do mordowania literatury. Z drugiej jednak strony nie zapomniałam, że to ta krwawa kasa pozwoliła mi się zaszyć i przetrwać w najgorszych dniach. Dziś jednak nie mogę się skupić.

Dzień jest słoneczny i mamy, o dziwo, dobry zasięg, który często w Lisiej Chacie zanika, dzwonię więc do matki. Wczoraj nie przyjechała na urodziny Matyldy, wymówiła się

migreną, i choć podejrzewam, że była to jedynie kolejna wymówka, by nie wychodzić z domu, to zaczynam się martwić. Może Bartek ma rację? Nie chcę zacząć jej traktować jak chłopca z bajki, który dla żartu wołał „wilk”, napawając się wywoływaną paniką, aż w końcu wszyscy zaczęli go ignorować, nawet wtedy, gdy naprawdę pojawił się wilk.

Jak się czujesz, mamo? Wszystko w porządku? Zatrzymuję palec nad ekranem telefonu, ale w końcu wysyłam wiadomość. Matka zwykle szybko odpowiada, jak nastolatka z komórką przyszytą do ręki, ale tym razem mija pół godziny, a mój telefon milczy. Dzwonię jeszcze raz, ona jednak nie odbiera, niechętnie zamykam więc laptop i wsiadam do samochodu.

REBEKA

Rebeka pochyla się nad projektem, nucąc cicho do symfonii Mahlera. Epickie kompozycje rozbrzmiewające w głośnikach przypominają jej dobrze skrojony płaszcz na śliskiej czarnej podszewce. Muzyka wybrzmiewa w uszach długo po wyłączeniu, a gdy znika na dobre, pozostawia po sobie niepokój.

Puszcza płytę bardzo głośno, bo pomieszczenie za garażem, gdzie zaprojektowała i urządziła domowe biuro, zostało profesjonalnie wygłuszone. Zresztą nawet gdyby tak nie było, to teren wokół domu zapewnia wystarczająco dużo prywatności. Po prawej wprowadził się wprawdzie ten facet z psem, ale rzadko bywa w domu – jego wielki bunkier służy mu tylko za sypialnię. Pracuje gdzieś w Poznaniu i pojawia się jedynie wieczorami, czasem wczesnym rankiem, kiedy wyprowadza na spacer swojego rottweilera.

Druga symfonia Mahlera jest rewelacyjna, ale dreszcz spełnienia przychodzi dopiero wtedy, gdy rozpoczyna się piąta. Rebeka wpatruje się z zadowoleniem w ekran komputera i podoba jej się sposób, w jaki wszystko wreszcie zaczyna do siebie pasować. Tworzy osobne foldery dla szczegółowych planów, które pozostają jeszcze w sferze wyobraźni, ale już niebawem je urzeczywistni.

Projekt, nad którym ostatnio pracuje w sekrecie, jest przeznaczony dla Anny i Bartka. Może im go podaruje jako prezent przedślubny? Podobno po zakończonym remoncie planują się pobrać, właśnie w tym starym domu nazywanym Lisią Chatą, od lisów, których dużo żyje w lesie. Jowita uczyła ją mantry wdzięczności, ale jaki sens mają mantry, jeśli nie można ich wcielić w życie?

Rebeka sadowi się wygodniej na nowym krześle, które umożliwia jej także pozycję klęczącą i jest zbawienne dla kręgosłupa. Sygnowana lampa nabiurkowa pochodzi z oryginalnej serii Kaiser Idell, zaprojektowanej przez Christiana Della, i należy do jej ulubionych. Metalowy korpus doskonale współgra z grafitową ścianą – ta harmonia ułatwia wejście w stan skupienia. Rebeka aż za dobrze pamięta, jak niewiele brakowało, by to wszystko utracić. Agentka nieruchomości umówiła już pierwszych klientów zainteresowanych kupnem domu, ale na przeszkodzie stał jego zapuszczony stan, który odzwierciedlał jej własny. Z miesiąca na miesiąc dom wydzielał coraz dotkliwszą woń zaniechania.

Muzyka w głośnikach cichnie, gdy na ekranie komputera pojawia się wiadomość od Anny. To odpowiedź na jej zaproszenie, bo Rebeka postanowiła się zrewanżować i zaprosiła do siebie Annę z Bartkiem i dziewczynkami. Korzystając z okazji, chce im zaproponować sprawdzoną ekipę remontową, która wyceni prace poniżej stawek

rynkowych, i zaoferuje zniżki w hurtowniach. O projekcie nie będzie im mówić, jeszcze nie dziś. Nie chce spłoszyć Anny. Nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki i choć działa po omacku, to wie, że nie powinna okazywać, jak bardzo jej zależy. To trochę jak zabawa z kotem.

Ojciec nie pozwolił jej nigdy przygarnąć psa czy kota, ale w Westernowym Miasteczku, do którego się przeprowadzili, gdy zdała do siódmej klasy, było ich dużo. Ojciec dostał tam pracę jako złota rączka, a ona czyściła klatki w minizoo. Praca przy zwierzętach jej odpowiadała, a później pojawił się Konrad i stali się nierozłączni. Zawsze myślała, że będzie miała jeszcze dużo okazji, by zaprzyjaźnić się z kobietami. Pozna matki kolegów i koleżanek swoich dzieci, żony kumpli męża. Tak się jednak nie stało.

– To bardzo ważne, by mieć codzienne rytuały, bo one zapewniają poczucie bezpieczeństwa – mawiała Jowita, gdy chodziły boso po trawie, łapiąc żywy kontakt z Ziemią. Mówiła to za każdym razem, gdy Rebeka zdejmowała skarpetki. Ich ruchy były ze sobą zsynchronizowane. – Takie drobne są najbardziej kojące. Wiesz, że istnieje szwedzkie słowo na słuchanie ptaków o świcie? *Gögotta*.

– Chciałabym wrócić do rytuału picia wina – szepnęła w odpowiedzi Rebeka, zanurzając stopy w trawie mokrej od rosy. – Zawsze lubiłam pierwszy łyk wina po długim dniu. Nie przesadzaj, Jowi. Po prostu się poślizgnęłam, obojczyk się zrosł i czuję ból w tym miejscu już tylko na zmianę pogody. Szczerze? Ten dom jest dla nas zbyt duży. Konrad też to powtarzał.

Rebeka myśli o wszystkim, co przez ostatnie trzy lata Jowita sączyła jej do ucha i w co prawie uwierzyła. Na przykład w teorię wielkiego sekretu, tego z książki Rhondy Byrne, która podobno sprzedaje się w milionach egzemplarzy jak jakaś cholerna Biblia. Przez jakiś czas powtarzała za Jowitą, że dobro przyciąga dobro, a miłość łączy do miłości. Wyobrażała sobie, że jej mózg jest wieżą transmisyjną, a pozytywne myśli płyną falami na wymarzonej częstotliwości, do której wystarczy się dostroić, aby otrzymać WSZYSTKO, czego się zapragnie. Tyle że to nie jest prawdą.

Życie psuje się czasem jak owoc, od środka, i nikt nie ma na to wpływu. Po prostu tak się dzieje. Niektórzy nie mają udanego życia i nic się z tym nie da zrobić. Nie pomoże śpiewanie *Om shanti, shanti, shanti* każdego dnia. Niektóre dusze nigdy nie zaznają spokoju.

– Co mamy przywieźć? – Głos Anny w słuchawce jest dźwięczny i wesoły, kiedy Rebeka wybiera jej numer.

– Siebie, Bartka i dziewczynki.

– Jesteś pewna, że twój mąż lubi dzieci?

– Oczywiście. Byłby rozczarowany, gdybyście nie wzięli ich ze sobą.

– A twoja siostra?

– Moja siostra? – powtarza Rebeka, czując przez moment pustkę w głowie. – Och, ona uwielbia dzieciaki, ale Jowi się nie przejmuj, bo nie jestem pewna, czy do nas dołączy.

Może mieć na tę sobotę inne plany, za nią nie nadążysz.

Po skończonej rozmowie Rebeka rozgląda się po domu, starając się wyobrazić sobie w nim Annę, Bartka, Helenkę i Matyldę. Wchodzi po schodach i staje przed drzwiami, które tak długo pozostawały zamknięte, że nie jest pewna, czy zamek nie zarósł i da się otworzyć. Widzi w nim dziuplę w drzewie pokrytą rudym mchem i dziwi ją, że klucz nadal pasuje, chrobocze w zamku. Naciska kławkę, ale nie wchodzi jeszcze do środka, tylko wdycha duszny zapach. Jest jednocześnie słony i słodki, jak mieszanka karmelu i krwi.

ANNA

Od trzech nocy nie zmrzyłam oka, przez cały weekend miałam parszywą migrenę, nic tylko mroczone i zygzaki, cholerne mroczone i zygzaki. – Głos matki jest słaby, gdy maluje w powietrzu ręką literę zet, a wygląda to tak, jakby kogoś błogosławiła. – Największemu wrogowi nie życzę – dodaje z emfazą, ale przynajmniej nie łapie się już za serce w teatralnym geście.

Stawiam na stole dwa kubki z herbatą i wracam do przeglądania zdjęć w jej telefonie, który wylądował przed moim nosem, gdy tylko weszłam do mieszkania. Okazuje się, że w nocy kliknęła w coś przez przypadek i zablokowała mój numer, nic więc dziwnego, że nie odbierała, gdy do niej dzwoniłam, i nie odpisała na SMS. Bez problemu weszłam na klatkę schodową, bo znam kod do domofonu, ten sam od wielu lat, ale i tak odstałam swoje na wycieraczkę. Matka nie zareagowała na dźwięk dzwonka i otworzyła dopiero wtedy, gdy zaczęłam łomotać w drzwi.

Przerzucam palcem kolejne zdjęcia z rosnącym przerażeniem, bo z nią jest naprawdę coś nie tak. Czy nadal bierze leki na nerwicę, które lekarz przepisał jej po rozstaniu z ojcem? Wiem, że jeśli zapytam ją wprost, nie dowiem się prawdy. Moja matka jest mistrzynią konfabulacji i czasem mam wrażenie, że bawi ją tworzenie alternatywnych światów, jakby była autorką fantasy.

Jedna z fotografii przedstawia półbuty matki w przedpokoju, a następna jest niemal identyczna, tylko buty zostały sfotografowane pod innym kątem. Pozostałe zdjęcia prezentują się podobnie i to, co przeglądam, jest cholernie nudnym, podwojonym, a czasem potrojonym katalogiem znajdujących się w jej mieszkaniu mebli i sprzętów.

– Jak możesz tego nie dostrzegać? – Matka oskarżycielsko wbija palec w zdjęcie sztuczków ułożonych w kuchennej szufladzie, nad którym właśnie się pochyliłam. Dochodzi czternasta, a ona nadal jest w tęczowym szlafroku. Jeszcze się nawet nie umyła i nie ubrała, a jej twarz bez grama makijażu wydaje mi się stara i zapadnięta.

– Tu! Tylko spójrz! Na to, a teraz na tamto. Naprawdę tego nie widzisz? Mój but jest przesunięty. Dalej, przewiń palcem w prawo i sama porównaj.

Zaczyna to przypominać dziecięcą zabawę w „znajdź dziesięć różnic”. Wersja rozszerzona dla obłąkanych. W co ja wdepnęłam? I pomyśleć, że mogłam popchnąć w tym czasie arkusz testu do korekty i dowiedzieć się, czy Amanda i Nikodem wreszcie się pocałowali, czy nadal tylko serca im wałą i zaciskają się żołądki, gdy umawiają się na to wszystko, co ze sobą robią, gdy w końcu to zrobią.

– Mamo, twój but po prostu się ześlizgnął, ustawiłaś ich za dużo na półce. Schowaj do szafki te, których nie nosisz na co dzień. No proszę, pomyśl racjonalnie. Po co, na litość boską, ktoś miałby się zakradać do twojego mieszkania i myszkować w butach czy szufladzie ze sztućcami?

– Mów, co chcesz, ja wiem swoje. – Matka wzdycha i wydziera mi z ręki telefon. Przegląda pozostałe zdjęcia, które szybko migają na wyświetlaczu. Zdaje się, że ten proceder fotografowania zawartości mieszkania trwa od jakiegoś czasu i tylko wcześniej się z tym kryła.

– No a to?

Komórka ponownie ląduje przed moim nosem i tym razem widzę zdjęcie walizki w kwiatki w moim starym pokoju, w którym matka niewiele zmieniła, odkąd się wyprowadziłam. Na pierwszej fotce walizka przylega do ściany, a na drugiej faktycznie wyraźnie od niej odstaje.

– Też obłąd? – pyta triumfalnie, a ja odsuwam jej rękę z telefonem sprzed swojego nosa. Zaczynam mieć tego dość.

– Owszem, walizka jest w odrobinę innej pozycji, ale sama dobrze wiesz, że martwe przedmioty nigdy nie pozostają całkowicie martwe. Wystarczy, że kleпка w podłodze się wygnie czy mocniej dmuchnie wiatr.

Ostatnie zdanie wypowiadam bez przekonania, bo przecież ona nie otwiera okien w mieszkaniu, odkąd wyprowadził się ojciec. Jakby się bała, że wiatr coś jeszcze wywieje poza nim. Muszę jednak spróbować ją uspokoić, bo widzę, że znowu zaczyna się nakręcać.

– Wiesz co, mamo, zaparzę nam jeszcze herbaty. Masz może tę melisę z lawendą, którą przywiozłam ci w piątek? Chwaliłaś, że smaczna.

– W każdym razie nie możesz się dziwić, że zmieniłam zamek w drzwiach – mówi matka, podając mi opakowanie, a potem staje w drzwiach kuchni z rękoma w kieszeniach szlafroka i patrzy, jak napełniam wodą czajnik. – Dziś rano, gdy tylko wstałam, wezwałam ślusarza.

No tak. To dlatego nie mogłam otworzyć drzwi swoim starym kluczem. Patrę w jej przekrwione, podkrążone oczy.

– Nie sądzisz, że powinniśmy to zgłosić na policji? – pyta, a mnie na to hasło cierpnie skóra. Policja? Powinniśmy? My? Jeszcze chwila i pociągnie mnie w swoje neurozy.

– Ale co zgłosić? Nie ma przecież żadnych śladów włamania, a już na pewno nie teraz, gdy zmieniłaś zamek. Nic przecież nie zginęło, prawda? Wszystko, co masz, to zdjęcia przedmiotów, które sama mogłaś przecież poprzesuwać.

– Co?!

Unoszę w górę obie ręce.

– Mówię tylko to, co usłyszałybyś od policjantów.

– Nie jestem tego taka pewna. – Matka potrząsa głową, ale z wyraźnie mniejszym przekonaniem. Chyba do niej dotarło, że za bardzo się dziś rano pospieszyła, wzywając

ślusarza i zacierając ewentualne ślady. – Sama widzisz na zdjęciach, że ktoś tu był i przeglądał nasze rzeczy. Myślę, że powinnaś dokładnie sprawdzić swój pokój.

Matka wciąż go tak nazywa, choć ja od dawna nie czuję więzi ani z pokojem, w którym dorastałam, ani z tym mieszkaniem, które traktuję jak przedłużenie matki. To coś w rodzaju jej wypchanego na łokciach tęczowego szlafroka.

– Mamo – wyjmuję z pudełka dwie torebki ekspresowej herbaty i zalewam je wrzątkiem – policja ściga prawdziwych przestępców, psychopatów, rabusiów. Nie mają czasu na przesunięte o milimetr kwiaty doniczkowe czy walizki odstające od ściany. – Przybieram jak najspokojniejszy ton. – Słuchaj, nie uważasz, że byłoby dobrze, gdybyś umówiła się na wizytę kontrolną do doktor Kunickiej? Nic wielkiego, po prostu porozmawiacie.

Twarz matki od razu się napina.

– Mam zapas leków. Chcesz zobaczyć? – Wraca z łazienki z fiolką tabletek i nią grzechocze. – A teraz zajrysz do swojego pokoju i sprawdzisz. Dobrze?

Stara się brzmieć spokojnie i rzeczowo, jak zawsze, gdy mnie szantażuje.

– Oczywiście, zaraz to zrobię. Obiecuję też, że gdy tylko skończymy z Bartkiem remont, zabiorę stąd wreszcie wszystkie swoje rzeczy i ciuchy. Urządzisz ten pokój tak, jak będziesz chciała. Może przeznaczysz go dla gości?

– A kogo niby miałabym gościć? Ty nigdy nie chcesz zostać na noc.

No tak, no właśnie, niestety, myślę, ale nic nie mówię, bo wreszcie udało mi się ją uspokoić. Sprawdzam godzinę, dochodzi piętnasta i powinnam przyspieszyć, jeśli mam dotrzeć do domu przed powrotem Bartka i dziewczynek. Stukam swoim kubkiem o jej kubek i uśmiecham się pojednawczo, a potem biorę kilka łyków gorącej herbaty.

Obiecałam jej, więc idę do swojego starego pokoju, który wygląda tak samo jak zawsze. Łóżko jest przykryte kocem w depresyjną beżowo-brązową kratę, a obok stoi szafa, w której nadal trzymam trochę ciuchów, nie wiem po co, bo od dawna są na mnie za małe i nie sądzę, bym kiedykolwiek miała wrócić do rozmiaru trzydzieści cztery. Dalej widzę stary sekretarzyk, jedyny ładny mebel w tym pokoju, i regał z książkami. Na ścianie wisi mój ulubiony obraz. Po remoncie chętnie zabiorę sekretarzyk, obraz i książki, a ciuchy wystawię w worku albo oddam do punktu zbiórki.

Matka na szczęście zostawiła mnie samą, nie stoi nade mną i nie gdera, ale czuję, że czeka z napięciem na mój desperacki krzyk, że tak, cholera jasna, coś zginęło i musimy to natychmiast zgłosić policji! Wszystko jest jednak na swoim miejscu. Inna sprawa, że nie trzymam tu nic cennego, nawet ten nieszczęsny kolczyk, jeden od pary, który mi pozostał, spoczywa już na dnie jeziora. Zaręczynowy pierścionek od Bartka tkwi jak zawsze na moim serdecznym palcu.

Patrzę na walizkę w kwiatki. Rodzice kupili mi ją na szkolną wycieczkę do Malagi w maturalnej klasie. Ostatni wspólny prezent od nich, później były już tylko hojne podarunki od ojca i zjadliwe komentarze od matki. Nie pamiętam już, jak to się stało, że moja klasa wybrała się do Hiszpanii, chyba nasz wychowawca romansował z nauczycielką

hiszpańskiego. Stare dobre czasy. Liceum, wypady nad jezioro rowerami, zgrana paczka przyjaciół, licealna wycieczka.

Kiedy z niej wróciłam, ojciec już wyprowadził się do kobiety, która mieszkała na drugim końcu naszego osiedla, a dwa lata później zmarł w jej łóżku na zawał. Właśnie z tym moja matka miała największy problem. Poradziłyby sobie z nagłym wdowieństwem, stawiałyby też mężnie czoło kobiecie z drugiego końca Polski, ale dwa lata ojca z inną kobietą po drugiej stronie osiedla zmieniły jej życie w piekło. Tak to przynajmniej przedstawia do dziś, ubarwiając historię dodatkowymi drobiazgami. Słyszałam już wersję, w której tamta kobieta codziennie wrzucała jej do skrzynki liściki pełne satysfakcji. Widziałam tę ostatnią miłość mojego ojca, pulchną, w potarganych blond włosach i z piegami na dekolcie, i jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Wyjmuję walizkę w kwiatki z za szafy i kładę ją na łóżku. Obmacuję materiał i boczne schowki, otwieram zamki siateczkowych kieszeni na bieliznę. Jest pusta, nie licząc spranej niebieskiej frotki i zapomnianej pary skarpetek w sowy. Właśnie to sprawia, że wreszcie zaczynam się niepokoić.

REBEKA

W sobotę Rebeka wstaje wcześniej rano i dokładnie sprząta dom. Myje lustro i podłogi, przynosi nawet z garażu drabinkę, by omieść z pajęczyn każdy kąt. Zwraca uwagę na trudno dostępne miejsca przy listwach przypodłogowych i nóżki mebli, wokół których lubi się zbierać kurz.

Sekretarzyk w pokoju gościnnym jest otwarty, a jego miękkie kształty i bogate zdobienia nie pasują do nowoczesnego wnętrza. To tak samo egzotyczny gość w jej domu jak Jowita. Rebeka przeciera mebel ściereczką z dodatkiem wosku i starannie czyści półki z fioletowymi świeczkami i mosiężną kadzielniczką. Ten ołtarzyk do medytacji można przykryć blatem i zamknąć na klucz. Odkurza też wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu Edwarda Hoppera, na którym niemłoda już kobieta wpatruje się w otwarte okno. Scena jest intymna i za każdym razem łapie ją za serce. To obecnie pokój Jowi, więc zamyka go na klucz.

Staje przed drzwiami do sąsiedniego pokoju i zagryzając wargę, wchodzi do środka. Była tu już wczoraj, ale wtedy tylko chwilę stała i szybko uciekła. Dziś siada w bujanym fotelu naprzeciwko półki z pluszakami i pustego akwarium. Patrzy na kolorowe zabawki ściśnięte jedna obok drugiej, ale jej wzrok ucieka do pustego kąta. Próbuje uchwycić wspomnienie, śliskie jak ostatnia rybka, która pływała w akwarium, dopóki ktoś (Konrad?) nie zgniół jej w palcach.

Twarz Konrada wykrzywiona złością, w połowie mroczna, w połowie oświetlona przez lampę. Zapach talku i jego pot pachnący L'Occitane. Czasem jej się wydaje, że hektolitry wina, które w siebie wlała, zatopiły część mózgu odpowiedzialną za pamięć. Czy oni wtedy rozmawiali? O czym? On na nią krzyczał?

Wychodzi z pokoju i ten też zamyka na klucz, bo nie chce, by przez przypadek trafiła tu któraś z dziewczynek. Dzieci są chyba z natury ciekawskie.

Ona sama wróciła kiedyś wcześniej ze szkoły z tępym bólem brzucha i zajrzała do pokoju ojca, z którego dobiegały dziwne odgłosy. Miała dwanaście lat i pielęgniarka odesłała ją do domu ze starterem w postaci tabletki przeciwbólowej i kilku podpasek. Przez uchylone drzwi do pokoju zobaczyła blade pośladki ojca, a pod nimi kobietę, która nie przestawała jęczeć. Jej piersi podskakiwały, a ojciec nie przestawał dyszeć, gdy odwrócił do Rebeki czerwoną, nabrzmiąłą twarz. Doskonale znała tę twarz. Twarz z zabawy w „masowanie tatusia”. Miała nadzieję, że to ostatni raz, kiedy ją ogląda.

Rok później wyjechali pięćdziesiąt kilometrów na zachód, do Westernowego Miasteczka, a tam pierwsze pocałunki z Konradem były jak miód z octem, bo za każdym razem miała

przed oczami podskakujące piersi tamtej kobiety i blade pośladki ojca.

Rebeka przeciągle wzdycha i przejeżdża palcami po wnętrzu ud. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo tęskni za Konradem, ale nie powinna dać się ponieść emocjom, nie teraz. To dlatego oddała do pralni wszystkie jego ubrania, by pozbyć się z garderoby cholernego zapachu L'Occitane. Musi się skupić na projekcie dla Anny, który jest teraz najważniejszy, a jej umysł powinien pracować jak żyleta.

O szesnastej, gdy na podjeździe pojawia się mazda, ogród zalewa słońce, jest jednak dużo chłodniej niż tydzień temu, gdy widziały się na urodzinach Matyldy. Po zakończeniu porządków Rebeka wzięła prysznic, po czym włożyła białe spodnie i jedwabną bluzkę, ale teraz dochodzi do wniosku, że strój jest zbyt formalny, i przebiera się w luźny zielony kombinezon. Gdy na zewnątrz słyszy entuzjastyczne pokrzykiwania Helenki, poprawia w lustrze fryzurę i schodzi na dół.

– To naprawdę twój dom?

Dziewczynka trzyma pod pachą nieodłączną Elbę, którą dziś ubrała jak do ślubu. Lalkę spowija biały tiul ozdobiony błyszczącymi dżetami, a na głowie ma srebrną tiarę.

– Myśli, że trafiła do katedry. – Anna uśmiecha się, wyjmując z samochodu pakunek z logo cukierni. – Ja i Matylda zresztą też. Muszę przyznać, że za drugim razem wasz dom robi równie imponujące wrażenie. Bartek przeprosza, ale dziś rano zaczął zdzierać stare tapety i wkręcił się w remont. Chyba mu się wydaje, że upora się z tym w jeden weekend.

– Wujek zakasał rękawy – wtrąca Matylda i zrzuca trampki, demonstrując bożonarodzeniowe skarpetki w renifery. Jej wzrok ucieka ku półkom z płytami. Spora część kolekcji przywożonej przez Konrada z różnych stref bezcłowych na międzynarodowych lotniskach pozostaje zafoliowana.

– Jeśli chcesz czegoś posłuchać, to proszę bardzo. – Rebeka włącza odtwarzacz i lampy wzmacniacza zaczynają się jarzyć bursztynowym blaskiem.

Helenka przez cały czas miętoli z onieśmieleniem sukienkę Elsy.

– To naprawdę twój dom? Cały jest twój? Ciociuuu?

Ta „ciocia” jest dla Rebeki czymś nowym i nawet przyjemnym. Kuca i puszcza z uśmiechem oko do dziewczynki.

– Cóż, nie tylko mój. Wiesz, jest jeszcze mój mąż.

– A twoja siostra? Mama mówiła, że mieszka tu jeszcze twoja siostra.

Anna kręci głową i wrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, że na tego dzieciaka to nawet ona nie ma siły i Rebeka musi z nią sobie radzić sama, ale spokojnie, wszystkie chwytły dozwolone. Ma dziś na sobie džinsy i T-shirt pod koszulą w ciemnoróżową kratkę. Rebeka cieszy się, że się przebrała.

– Zgadza się, ale dziś jej tu niestety nie ma.

– Aha. – Dziewczynka patrzy na nią z wyężeniem, jakby próbowała dodać do siebie dwie bardzo duże liczby. – A jak ona wygląda, ciociu? Tak jak ty?

– Helena, wystarczy już – napomina ją Anna. – Idź do ogrodu. Zobacz, jakie ciocia ma ładne kwiatki. To piękne drzewo tam, na samym środku, nazywa się magnolia. Widzisz?

– A pieska masz, ciociu? – Dziewczynka ciągnie za kłamekę od drzwi na taras i od razu wpada w popłoch. – Nie mogę otworzyć!

– To przesuwne drzwi. Spójrz, chwyta się tutaj i ciągnie w tę stronę, o tak. – Rebeka czuje truskawkowy zapach jej gumy do żucia. – Nie mam pieska, za to czasem przychodzi kotek.

– Malutki?

– Duży, ale daje się pogłaskać.

– Może to jest, ciociu, Buka, bo do nas też przychodziła, ale przestała. Szary ten kotek?

– Biały, z rudą łatką.

– No, to nie ten. To inny kotek – wzdycha Helenka, wychodząc do ogrodu. – Może to jej braciszek?

Rebeka wyjmuje z lodówki przygotowany wcześniej dzbanek mrożonej herbaty i kolorowe przekąski. To głównie własnej roboty humus i młoda marchewka, pierwsze truskawki z pola, ale kupiła też torcik na bazie oreo i przygotowała galaretki z myślą o Helence.

– Nie byłam pewna, jaka jest jej ulubiona, i wybrałam trzy różne smaki.

– Och, nie powinnaś sobie robić kłopotu, dziewczyny zjedzą, co podasz – mówi Anna.

– To żaden kłopot. Lubię gości, a dawno tu nikogo nie było. Kiedyś często zapraszaliśmy ludzi, ale teraz Konrad...

– Szkoda, że go dziś nie poznamy.

– Cóż, niedługo ja sama przestanę go poznawać. Ty za to będziesz miała Bartka w domu przez całe dwa miesiące.

– Od nadmiaru też głowa boli – rzuca Anna i wybuchają śmiechem, po czym Rebeka podaje jej durszlak i truskawki.

– Umyjesz? Mam nadzieję, że nie masz uczulenia?

– Nie mam, ze szkoda dla was, bo uwielbiam truskawki i potrafię zjeść kilogram za jednym razem.

Tak, wiem, chce powiedzieć Rebeka, ale w ostatniej chwili gryzie się w język. Nie może sobie pozwolić nawet na moment dekoncentracji. Patrzy, jak Anna szybko i sprawnie obiera owoce z szypulek.

– Jak długo jesteś z Bartkiem?

– Poznaliśmy się w lutym trzy lata temu.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Powiedzmy. Zawsze lubiłam Puszczę Zielonką i w szkole średniej często jeździliśmy do Tuczna rowerami nad jezioro. Jak się urodziła Helenka, za ostatnie oszczędności kupiłam używaną mazdę. Pakowałam wózek do samochodu i zabierałam ją tam na długie

spaceru. Wolałam to niż miasto i matki w piaskownicach, rozmawiające przez telefon z matkami w innych piaskownicach. Podczas jednego z tych spacerów poznałam Bartka.

– Twój kotek, ciociu, nadal się nie pojawił. – Helenka jest wyraźnie rozczarowana, gdy dołączają do niej w ogrodzie. Siedzi przy szklanym stole i bawi się Elsą. – Może jest u tej samej rodzinki co Hugo i Buka?

– A może Hugo pożarł Bukę i kota Rebeki! – Z domu dociera do nich prześmiewczy głos Matyldy i mała jest bliska płaczu, na szczęście możliwość wyboru między trzema galaretkami szybko poprawia jej nastrój.

– U ciebie też tak było? – pyta Anna i Rebeka patrzy na nią zdezorientowana.

– No wiesz. Ty i twoja siostra.

– Ach, no tak. Oczywiście. Doprowadzałyśmy mamę do szału. Może dlatego tak młodo zmarła. – Rebeka się uśmiecha i nalewa herbaty do wysokich szklanek. Do każdej włożyła wcześniej kilka listków mięty i plaster cytryny. Wyciera ręką krople, które spadają na stół.

– Twoja mama nie żyje? Przykro mi.

– To było tak dawno temu... Nie przejmuj się. Teraz to już tylko wyblakłe wspomnienie. Miałam dziewięć lat i gdyby nie zdjęcia, zapomniałabym, jak wyglądała. – Rebeka sięga po papierowy ręcznik. – Jako dziecko fantazjowałam, że nie umarła, tylko zakochała się we Francuzie i uciekła.

– We Francuzie? – Anna unosi wysoko brwi.

– Przeczytałam właśnie *Trzech muszkieterów* i wymyślony kochanek matki był niczym d'Artagnan. Trochę mój mąż i trochę mój ojciec, ale inny niż prawdziwy.

Matylda zdecydowała się wreszcie na płytę i Rebeka rozpoznaje ścieżkę dźwiękową z filmu Almodóvara. Z salonu płyną pierwsze dźwięki *Mi Niña Lola*.

– Co się stało z Buką?

– Nie przychodzi od kilku dni, ale to w końcu kot i może „wybrał mniej uczęszczaną drogę”.

– Frost? – pyta Rebeka, a Anna patrzy na nią z uznaniem.

– Zawsze lubiłam ten wiersz.

– Ja też.

Przez chwilę milczą.

– Pies sąsiadów nadal się nie znalazł?

– Nie, i choć rozwiesiliśmy kilkanaście ogłoszeń, to zadzwoniła tylko gospodyni księdza. Tak, tak. Wyobraź sobie, że u nas na wsi wciąż funkcjonuje taka osoba. Widziała go po południu w tamten piątek. Był jeszcze cały, zdrowy i ganiał po wsi. Nie powiem, że nas to nie martwi. Najpierw zaginął Hugo, teraz Buka.

– Może się nie znam, ale zwierzaki czasem znikają, prawda? – Rebeka patrzy na Helenkę, która sadza Elsę na gałęzi magnolii.

– Koty tak, ale pies? Nikt już chyba nie wierzy, że Hugo się znajdzie, a na pewno nie nasza sąsiadka. Wiesz, ona uważa, że ktoś to zrobił specjalnie.

- Porwał psa?
- Porwał, otrul czy potrącił.

Słońce przykrywa chmura i na twarz Anny też wpełza mrok. Jest na niej teraz tyle samo światła co ciemności. Helenki nie ma już przy drzewie, pewnie poszła do Matyldy, do środka.

- Ten Darek i jego żona... mają jakichś wrogów? – pyta Rebeka.
- Nie sądzę. Dlaczego chcesz wiedzieć?
- Ludzie są bardziej podejrzliwi, kiedy w ich otoczeniu jest ktoś, kto mógłby im źle życzyć. Może stąd jej przypuszczenia?
- Cóż, zdaje się, że przypadek mojej matki zadaje kłam twojej teorii. Jest cholernie podejrzliwa, a nie ma żadnych wrogów. Za to ma nerwicę, która się nasila, odkąd odszedł mój ojciec.

- Odszedł, w sensie zmarł?
- Odszedł w sensie najpierw do innej kobiety, a potem w zaświaty. W dodatku w jej łóżku, czego matka nie może przeżyć do tej pory.

Rebeka chce zapytać o coś jeszcze, ale pojawia się zdyszana Helenka z białym kotem w objęciach. Tłusty zwierzak jest tak zdziwiony, że nie od razu wyslizguje jej się z rąk.

- To ten, ciociu? Widziałaś? Mamo? Ciociu? Miałam go! Naprawdę go trzymałam! – Dziewczynka nie posiada się ze szczęścia.

Anna przewraca oczami, ale w gruncie rzeczy uznaje córkę za uroczą. To widać. Powiedziała wcześniej, że Helenka jest ulubienicą przedszkolank, i łatwo to sobie wyobrazić, bo ma dużo wdzięku. Karmel i krew. Rebeka czuje, jak gęsta roślina rozrasta się w jej płucach i nie pozwala oddychać. Nie powinna była siadać w bujanym fotelu, stać przy oknie, wachać, a nawet otwierać drzwi do tamtego pokoju. To był błąd. Przypomina sobie dzień, kiedy w drzwiach stanął policjant. Był bardzo młody, miał jeszcze ślady trądziku na brodzie i drżały mu ręce. Zwróciła na to uwagę.

- Twój Konrad zawsze tak dużo wyjeżdżał? Ma w sobie coś z Wallenroda?
- Kto wie, kim się staje, gdy wychodzi z domu. Może przedstawia się jako Walter Alf, ale to ja bardziej przypominam Aldonę Pustelnicę.
- Ty naprawdę pamiętasz jeszcze fabułę *Wallenroda*? – zachwyca się znowu Anna. – Chyba zbierałaś w szkole same piątki.
- Cóż, u nas na prowincji nie było innych rozrywek. – Rebeka do niej mruga. – A u was?
- Szczerze? Byłam przeciętną uczennicą, ale zawsze lubiałam czytać. Można powiedzieć, że przydaje mi się to teraz w pracy.
- Jesteś bibliotekarką?
- Korektorką.
- To naprawdę niezwykle. Jesteś pierwszą korektorką, jaką poznałam. – Rebeka patrzy na nią z niekłamany podziwem.

– Może dlatego, że żadnej z nas nie stać na twoje usługi. A tak poważnie, to nic w tym niezwykłego, pracuję w postprodukcji w dziale kobiecej pornografii.

– A co to takiego?

– Romans. – Anna się uśmiecha. – Nazywamy to w wydawnictwie pornografią dla kobiet, bo w taki sam sposób, w jaki pornografia buduje komiksowy wizerunek kobiety z wielkimi piersiami, romans buduje w oczach kobiety przerysowany wizerunek faceta i relacji z nim.

– On zawsze jest przystojny, mądry i bogaty?

– Dodaj jeszcze „hojnie obdarzony” i „wie, gdzie i jak to wetknąć”.

Za domem rozlega się rozpaczliwy krzyk Helenki i obie zrywają się z miejsca. W głowie Rebeki rozgrywa się kilka scenariuszy naraz, ale żaden nie wydaje się prawdopodobny. To przecież niemożliwe, by mała otworzyła drzwi do pokoju zamkniętego na klucz. Poza tym krzyk dobiega zza domu. Rebeka pozwala Annie się wyprzedzić i gdy dociera na miejsce, dziewczynka kryje już buzię w szyi matki. Obok stoi Matylda, której oczy ledwo widać spod grzywki.

– Nic się nie stało. Po prostu znalazła martwego ptaka. – Siostrzenica Bartka wskazuje brodą leżące w krzakach ciało jaskółki, a Rebeka opieprza się w myślach za kolejne niedopatrzenie. Kot musiał wywlec martwego ptaka na ścieżkę i jaskółka leży tam teraz przedarta na pół.

– Koty polują na ptaki, to normalne – mówi Matylda, chcąc uspokoić małą, ale trafia jak kulą w płot.

– Więc koty są paskudne – mówi Helenka zduszonym głosem, przytulając się mocniej do Anny.

– Nie są. To po prostu drapieżniki i taką mają naturę.

– Nie szkoda ci ptaszka?

– Szkoda, ale... – Matylda umieszcza palce wskazujące przy napisie na swojej czarnej koszulce, *Shit happens*, a Helenka zanosi się rozpaczliwym płaczem.

– Wyprawimy ptaszкови pogrzeb, dobrze? – proponuje Rebeka i nie czekając na odpowiedź, idzie do kuchni po puszkę po herbacie. Wykłada ją kilkoma warstwami papierowego ręcznika.

Helenka powtarza po niej kilka ceremonialnych słów i pomaga włożyć prowizoryczną trumnę z ptakiem do dołka pod krzewem jaśminowca. Słońce, które pokazało się na chwilę, znowu chowa się za chmurami i w ogrodzie robi się ponuro. Pogodny nastrój gdzieś się ulotnił i gdy zaczyna mżyć, przenoszą się do domu. W środku Helenka zaczyna jęczeć, że zapodziała gdzieś Elbę, bez której „po prostu umrze”, więc ostatnie pół godziny wizyty spędzają na bezowocnych poszukiwaniach.

Rebeka tak bardzo się starała, żeby wszystko wypadło idealnie, a tymczasem gdy wyjeżdżają, ma wrażenie, że Anna patrzy na nią z wyrzutem. Uśmiecha się sztucznie nad kierownicy, podczas gdy Helenka na tylnym siedzeniu nie przestaje marudzić, a Matylda

chowa twarz pod czapką z daszkiem i wciska w uszy słuchawki. Rebeka jeszcze raz obiecuje, że poszuka lalki i da znać, gdy tylko ją znajdzie, bo to przecież niemożliwe, by zabawka tak po prostu zniknęła.

ANNA

Remont, zamiast kroczyć powoli i rozwijać się organicznie, rozpełzł się po całym domu jak podłożony ogień. Zarzewia są liczne i nie da się ich już ugasić. Bartek podpisał umowę z ekipą Jarka, którą nam poleciła Rebeka, i sam też, jak to słusznie określiła Matylda, zakasał rękawy. Po kilku tygodniach z coraz większym trudem rozpoznaję Lisią Chatę, wybebeszoną, rozłożoną na czynniki pierwsze.

Odkąd tu zamieszkałam trzy lata temu, myślałam niezmiennie o tej przestrzeni jako o domu dziadków Bartka. Za to teraz, gdy wynieśliśmy na zewnątrz meble, dywany, książki i obrazy, łącznie ze straszącym mnie po nocach *Zwiastowaniem*, a to, co zostało, zasłoniliśmy folią ochronną, dom stał się jakiś obcy. Wiem, że to się zmieni, gdy na powrót go umeblujemy, i wyobrażam sobie tutaj rzeczy, które trzymam w mieszkaniu matki. Zabiorę tylko te najbardziej pasujące.

Mój stary samsung, który zniknął z walizki w kwiatki, nadal się nie znalazł, ale coś mi mówi, że to sprawa matki. Pewnie go gdzieś przełożyła, wołę jednak nie pytać, bo wydałoby się, że zaginął, a wtedy ona znowu wpadnie w panikę i każe mi wzywać policję.

Przypominam sobie, co tam było. Szczerze mówiąc, wszystko, co też mogłoby wylądować na dnie jeziora z tamtym kolczykiem. Piosenka Molly Nilsson i SMS-owa korespondencja z facetem, którego nazywałyśmy Wikingiem. Poznałam go w klubie przy Galerii Malta, w którym prowadziłam zajęcia, i to on umówił się ze mną na randkę szóstego maja, a później zwyczajnie zatkał mi usta szmatą i mnie zgwałcił. Czasem podobno trudno odróżnić, co już jest gwałtem, a co tylko jego zapowiedzią. Cóż, nie dane mi były takie dylematy.

Obiecałam sobie, że przestanę się truć myślami o Wikingu, więc może to dobrze, że telefon zniknął. Powinnam go była sama wyrzucić dawno temu. Teraz najważniejsi są Bartek, Helenka i nowe dziecko, które za kilka miesięcy przyjdzie na świat.

Odkąd Bartek dowiedział się o mojej ciąży, wstąpiła w niego nowa energia. Zawsze był pracowity, ale teraz się zawziął, jakby chciał zrównać stary budynek z ziemią, a potem własnymi rękami postawić go od nowa. Jego działania polegają głównie na demolce, ale widzę, że sprawia mu to dużo frajdy. Łazienka opierała mu się najdłużej, by ostatecznie również zamienić się w gruzowisko, i od wczoraj zmuszeni jesteśmy korzystać z toi toia ustawionego obok starej szopy. Udrapowana na przenośnej toalecie gałąź glicynii wcale nie sprawia, że ja i dziewczynki znajdujemy w tym doświadczeniu większą przyjemność. Co gorsza, już teraz zaczynam czuć wzmożone parcie na pęcherz i budzę się każdej nocy.

Nie mam zamiaru chodzić po ciemku do toi toia, sikam więc pod pierwszym lepszym krzakiem.

– Jesteś, mamusiu, jak Hugo – mówi Helenka, gdy żartujemy z Bartkiem przy śniadaniu z moich nowych zwyczajów toaletowych. – A podnosisz nóżkę? Jak piesek?

Moja córka nadal często wspomina psa sąsiadów, choć ogłoszenia rozwieszone w okolicy dawno już zamokły lub porwał je wiatr i nikt tak naprawdę nie wierzy, że Hugo się odnajdzie. Ja też nie, choć bywa, że ulegam złudzeniom. Podczas samotnych spacerów nad jezioro, gdzie uciekam od kurzu i hałasu z tekstem do korekty i paczką kolorowych flamastrów, wydaje mi się czasem, że widzę, jak wynurza się spomiędzy trzciny i otrzepuje się z wody.

Teraz też tu jestem, na gminnej plaży, gdzie są drewniane stoły i wygodnie mi się pracuje. W przeciwieństwie do naszego domu, zamienionego w pole bitwy, tu jest cicho i spokojnie. Uśmiecham się, gdy promienie słońca nakłuwają nade mną liście drzew. Potrzebuję tego spokoju szczególnie teraz. To początek piątego miesiąca i mój ciążowy brzusek jest już widoczny pod letnią sukienką.

Niedługo zaczną się wakacje i nie da się tu wytrzymać, gdy z Poznania zaczną zjeżdżać tłumy ludzi z kakofonią muzyki i tonami śmieci, ale na razie jest pusto i czysto. Cicho. Rzucam patyk daleko w jezioro, płosząc łabędzie, które unoszą się na wodzie jak książęta w lektykach, i myślę o Wikingu, który od dawna nie żyje.

W lokalnych wiadomościach ukazało się kilka wzmianek na temat mężczyzny, który utopił się w stawie. Jego śmierć zaklasyfikowano jako samobójczą i szybko zastąpiły ją w lokalnych mediach świeże newsy. Dziecko wypadło z dziesiątego piętra na Wildzie, dwie osoby zatruty się kupionymi na targowisku grzybami, w mieszkaniu na Dębcu wybuchł gaz. Nikt z policji nie przesłuchał ani mnie, ani Natalii czy innych dziewczyn z klubu. Nikt nie zapytał o SMS-y, których nawet nie usunęłam ze starej komórki z piosenką Molly Nilsson. Teraz ten telefon zniknął z mojej walizki. Ktoś go zabrał? Może mama, by uprawdopodobnić swoją historię o dziwnym włamaniu?

Nikt nigdy nie zapytał, co takiego robił ten mężczyzna, zanim popełnił samobójstwo.

Przypomina mi się światło gasnące na frędzlach mchu, ślad wymiocin na jasnej bluzce i kolczyk zgubiony w trawie.

– Na co umarł mój tatuś? – pyta czasem Helenka. Jej nosek robi się wtedy jeszcze bardziej spiczasty. Ma wąskie czerwone usta i jest podobna do skrzata.

– Po prostu. Zachorował i umarł, czasem tak się zdarza, kochanie.

Nie chcę, by kiedykolwiek poznała prawdę o swoim ojcu czy o tym, co mi zrobił. Znałam go z klubu, podobał mi się od dawna, więc zgodziłam się z nim umówić. Po skończonych zajęciach przebrałam się w nowe ciuchy kupione specjalnie na tę okazję. Dżinsy jak druga skóra, błękitna bluzka „chłopka”, czapka z daszkiem. Na nos założyłam okulary przeciwsłoneczne i zabrałam ze sobą dżinsową ramoneskę, bo wieczory bywały chłodne, a nie wiedziałam, dokąd się wybierzemy. Co sobie wyobrażałam? Cóż, myślałam,

że najpierw pójdziemy na spacer, a potem zaprosi mnie do dobrej restauracji – lubił robić wrażenie.

Miejsce, które zaproponował, było odludne, ale nie włączyło mi się żadne światełko ostrzegawcze, pomyślałam tylko, że będziemy mieli dzięki temu więcej prywatności. Moja intuicja spała, za to motyle w brzuchu grasowały, a życie nabierało właśnie nieznanego mi wcześniej wyrazistego smaku. Słuchałam namiętnie Molly Nilsson, która krzyczała w moich słuchawkach, jak to jest być młodym w starych miejscach i że poza naszymi młodymi twarzami nie mamy, no nie mamy, po prostu nie mamy nic więcej! Po tamtym wieczorze Molly Nilsson zniknęła z mojego życia. Już nawet nie pytała w refrenie, czy było warto. Czy naprawdę było warto.

Muszę przestać wracać do tych wspomnień, bo znowu dopada mnie znajome klucie pod żebrami. Tym razem jest tak intensywne, że aż zapiera mi dech. Czy z dzieckiem wszystko w porządku? Mam nadzieję, że to tylko nerwoból i za chwilę przejdzie. Wdech, wydech, wdech, wydech, no, dalej tam, już dość.

Stresowałam się przez całą ciążę z Helenką i mała była potem niespokojna i nerwowa. Miewała napady bolesnej kolki, płakała, gdy tylko traciła mnie z oczu. Na szczęście to już przeszłość. Zrobiłam wszystko, by pozbyć się tamtej dwudziestoparoletniej dziewczyny. Zrobiłam dużo więcej, niż tylko pozwoliłam, by płynął czas.

Najwyższa pora pożegnać się też z moją skamieliną krążącą w cyberprzestrzeni, sfosylizowaną przez YouTube. Czerpałam z niej spore zyski, ale trudno. Wracam do domu, gdzie jest zasięg, dziś nawet niezły, i sprawnie usuwam konto. Na koniec muszę jeszcze tylko potwierdzić swoją decyzję, bo platforma daje mi szansę, by zmienić zdanie. Cały twój kanał i jego zawartość przestanie istnieć. Jesteś pewna? Tak, jestem pewna.

REBEKA

Jowita stoi boso na środku kuchni. Sieka i wrzuca do blendera składniki na zielony koktajl, a jej włosy opadają na plecy jasną falą. „Koktajl mocy”, jak zawsze wypowiada te dwa słowa z uśmiechem, ale dziś Rebeka słyszy tam cudzośłów. Coś jest nie tak. Nawet niebo w oknie za plecami Jowity wydaje się jakieś inne, błękit jest chłodny, zmrożony.

Rebeka wyjmuje z lodówki awokado i sprawnie obiera stwardniałą skórę, by wyłuskać oślizgłą pestkę. Przyspiesza, by jej ruchy zsynchronizowały się w pełni z tempem Jowity. Szatkuje buraczkę i marchewkę i ta czynność automatycznie przypomina jej o niedzielnych porankach, które celebrowali z Konradem dawno temu. W weekendy często jadali niespieszne śniadania w jednej z ulubionych knajpek, bo odkąd jej mąż zaczął zarabiać naprawdę duże pieniądze, lubił być obsługiwany. Za to nie znosił służalczości. Ganił w niej wszelkie odruchy, by być miłą wobec kelnerów, i tłumaczył, że wynika to z jej bezsensownego poczucia winy. Należeli do klasy uprzywilejowanej. Czy ona tego nie rozumiała? Na Boga, po co być uprzywilejowanym, jeśli ma się to wiązać ze stałą potrzebą wymierzania sobie kary?

Byli ładną parą. Nie. Nie wtedy, gdy się poznali, dawno temu w Westernowym Miasteczku, pod okiem jej ojca, który przypominał nie tyle szeryfa tego dziwnego ośrodka, ile miejscowego wykidajkę. Zaczęli zwracać na siebie uwagę, kiedy Rebeka wyszczupłała, a Konrad się wzbogacił i zaczął się dobrze ubierać pod okiem właścicieli sklepów z włoską odzieżą dla mężczyzn. Wydawał u nich tyle pieniędzy, że był zapraszany na zamknięte pokazy mody i afterparty dla najlepszych klientów. Oboje wysocy, on blondyn o skandynawskiej urodzie, ona szczupła, z pięknymi włosami, które wtedy miały kasztanowy odcień. Dzieciaki z podstawówki nie rozpoznałyby w niej Grubej Beki, której nie chciała nawet własna matka. W innym wypadku chyba nie odeszłyby tam, skąd się nie wraca.

Pewnej zimowej nocy, gdy Rebeka i ojciec jeszcze spali, a na polach leżał świeży śnieg, matka powiesiła się w łazience. Ten jeden jedyny raz nie powiedziała ani ojcu, ani jej, dokąd się wybiera.

– Jakiego życia chcesz dla siebie? – pyta Jowita tak samo jak wtedy, gdy pojawiła się tutaj po raz pierwszy, spiesząc jej na ratunek niczym Mary Poppins czy raczej Alladyn z latającym dywanem, bo zamiast parasola pod pachą trzymała zwiniętą w rulon matę do jogi. – Musisz sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie. Jakiego życia dla siebie chcesz?

Jej głos brzmi autorytatywnie, jest denerwująco pewna siebie jak na tak młody wiek. W powietrzu wisi napięcie, można by je kroić nożem. Jedna z nich jest dziś bliska wybuchu. Tylko która? Rebeka nie jest pewna. Czy to ona generuje napięcie, czy ono się jej tylko udziela? Coś jest inaczej niż zwykle, choć wykonują te same czynności i padają te same słowa.

Uruchamia blender i staje przy nim w pozycji drzewa, naśladować Jowitę. W szklanym dzbanku wiruje czerwona breja i urządzenie wydaje z siebie ostatni charczący dźwięk, kiedy kawałki niezmielonych warzyw odskakują od pokrywki.

Rebeka przypomina sobie majowy dzień, gdy na progu tego domu pojawił się młody policjant. Prezentował jej różne przedmioty należące do Konrada jak stewardesa, która unosi w górę kamizelkę ratunkową z gwizdkiem i maskę tlenową z przezroczystymi rurkami. Te rzeczy wydały jej się tak samo bezużyteczne. Przedmioty, które nikogo nie uratują w razie prawdziwej katastrofy.

Głos policjanta też brzmiał sztucznie, jakby wcześniej go nagrał i odtwarzał z taśmy: „Może lepiej będzie, jeśli pani usiądzie. Czy przynieść pani szklanę wody? Czy jest ktoś jeszcze, kogo mógłbym powiadomić?”

Kobieta skupia się na trzymanej w dłoniach szklance, by odpędzić wspomnienie, wypija posłusznie swój koktajl i dołącza do Jowity na macie, a tam przez godzinę intensywnie wzmacniają ciało, aż płynie z nich pot, a na koniec medytują w oparach palonej białej szaławii. Według Jowi szaławia wypędza nieproszone byty i złą energię, za to zaprasza wysokie wibracje. Wszystko jest tak samo jak dawniej, a jednak inaczej, myśli znowu Rebeka. Ma poczucie kresu, schyłku, wyczerpania formuły. Leżą naprzeciwko siebie w pozycji *supta baddha konasana*, niczym dwie boginie ze złączonymi stopami i rozwartymi kolanami opadającymi na zewnątrz. Jedna jest lustrzanym odbiciem drugiej.

Jeszcze trzy lata temu Rebeka nie знаła nazw asan i nie miała żadnego pojęcia o czakrach. Traktowała jogę i wszystko, co z nią związane, jak nieszkodliwe oszołomstwo przedstawicieli klasy średniej, którzy szukają nowej religii w miejsce tej, która im się znudziła czy się skompromitowała. Teraz za to układa się posłusznie w kolejnej pozycji zaproponowanej przez Jowi i próbuje się rozluźnić.

– Pamiętaj, że zablokowana trzecia czakra to chaos emocjonalny, nerwowość, brak spokoju wewnętrznego – mówi Jowita, jakby wyczuła, że mięśnie Rebeki są dziś napięte jak postronki, a myśli się płaczą. – Weź głęboki wdech i poprowadź go do podstawy kręgosłupa. Zwizualizuj sobie jaskrawe, białe światło i wprowadź je do punktu pomiędzy pępkiem a mostkiem. Wstrzymaj na chwilę oddech i zobacz, jak to światło zmienia kolor z białego na żółty. Tylko spójrz, jest teraz ciepłe jak płomień świecy. Widzisz je? Czujesz jego energię?

Rebeka się stara, ale jedyne światło, jakie dziś widzi, to czerwono-niebieskie migające światło radiowozu, którym przyjechał tamten policjant podobny do stewardesy. „Wiem, że to trudne, ale proszę odpowiedzieć. Czy pani mąż cierpiał na depresję? Przepraszam, ale

musimy o to zapytać. Czy brał jakieś leki?” To pytanie nie różniło się zbytnio od tych zadawanych przez dzieciaki na podwórku niemal trzydzieści lat wcześniej. „Czy twoja mama była chora? Ona naprawdę się powiesiła? W łazience?”

Ich zdziwienie było zrozumiałe, bo na osiedlu nikt nie zabijał się na jeden raz. Wódka, bieda, pieskie żarcie, kiepska telewizja, prochy, papierochy. Wszyscy robili to na raty.

Jowita wstaje i wychodzi, jakby znikła z kadru, a Rebeka udaje, że śpi, a później zasypia naprawdę, bo budzi ją dopiero stuknięcie w szybę. To jaskółka uderza z impetem w okno, ale udaje jej się odlecieć. Jowita tym razem nie powtarza swojego wyświechtanego tekstu o parciu na szkło. Ona naprawdę zniknęła i Rebeka wpadłaby w panikę, gdyby nie to, że się przygotowała i wie, że pokój gościnny już niedługo zyska nowego lokatora. Rozumie, że nie bez powodu właśnie teraz odnalazła Annę. Nie dzieje się nic, co nie powinno. Tak miało być. Umarła królowa, niech żyje królowa!

Porządkuje pokój gościnny i przenosi rzeczy do oranżerii, której nie zdążyli urządzić z Konradem, i jedyne, co tam kwitnie od lat, to dawno nieużywana siłownia. W środku jest zawsze ciemno, bo rolety zewnętrzne od lat pozostają zamknięte. Zasapana dźwiga sekretarzyk i wraca po karton z książkami. Jest tam *Potęga świadomej intencji* Esther i Jerry’ego Hicksów, *Mieć czy być* Ericha Fromma, *Cud uważności* Thich Nhat Hanha, *Wspomnienia, sny, myśli* Junga, *Sekret* Rhondy Byrne i z tuzin innych pozycji. Wiele z nich to ładnie wydane albumy poświęcone jodze, pracy nad duchem i ciałem. Gdy zasapana kończy pracę, pokój gościnny jest pusty, jakby nikt go nie używał. Stoi w nim tylko łóżko z nocnym stolikiem i biurko pod oknem, a na ścianie wisi jeden z najchętniej kopiowanych obrazów Hoppera. Jego też zdejmuje ze ściany i znosi na dół, do oranżerii. Później wybiera numer Jarka, szefa ekipy, którego Bartek i Anna zdecydowali się za jej namową zatrudnić przy remoncie w Lisiej Chacie, i przekazuje mu szczegółowe instrukcje.

ANNA

Lato dopiero się zaczęło, a Bartek jest już opalony, jakby wrócił z wakacji na Malediwach. Ciemny zarost ma dłuższy niż kiedykolwiek. To jeszcze nie pełna broda, ale niewiele jej brakuje. Ekipa Jarka otworzyła kilka frontów prac w środku, a ojciec mojego dziecka zaatakował dom z zewnątrz, gdy tylko skończył w środku zdzierać boazerię i tapety. Od rana zrzuca karcherem stare warstwy tynku; szare połacie odłóżą od ścian i spadają na trawę jak strupy. Na mój widok Bartek schodzi z rusztowania.

– Po prostu nie mówiłeś, że zabierzesz się do wszystkich prac naraz – mówię cicho, obracając pierścionek na palcu. Czyżbym wierzyła, że ma magiczną moc, by zabrać mnie daleko stąd?

Dom i ogród przypominają teraz oblężoną twierdzę, a mnie coraz trudniej jest w ten sposób funkcjonować. Gdyby chociaż Matylda i Helenka wyjechały na jakieś kolonie... Przypominam sobie słowa Rebeki, że pary często się rozstają, zanim dokończą remont czy budowę, i teraz potrafię to sobie wyobrazić. Kłócimy się ostatnio dzień w dzień, w dodatku nie potrafimy w żaden sposób rozładować napięcia. Seks od początku nie sprawiał mi przyjemności, a teraz praktycznie nie istnieje. Nie rozmawiamy ze sobą, z nikim się nie spotykamy. Zmęczony Bartek bierze wieczorem prysznic i wczługuje się do łóżka, po czym śpi jak kamień, a ja leżę godzinami na poduszce, myśląc o sprawach, które mnie irytują. Gdy wszystkie już wymienię i musiałabym zacząć od początku, szukam tych bardziej globalnych, jak ludzka bezmyślność i śmiecenie w lesie.

– Byłoby dobrze, gdybym mogła się gdzieś wynieść z dziewczynkami na najbliższe tygodnie, kiedy będzie tu najwięcej gruzu i pyłu – stękam teraz, gdy Bartek schodzi z rusztowania, odkłada karcher na bok i podchodzi bliżej.

Zdejmuje kaptur swojej starej żeglarskiej kurtki, która chroni go przed zimną wodą wypuszczaną pod ciśnieniem z urządzenia. Nic nie mówi, ale widzę, że jest przeciwny.

– Przecież my tu wszyscy zwariujemy, szczególnie teraz, kiedy szkoła i przedszkole są zamknięte.

– Ale gdzie się wyniesiecie? Nie stać nas na wakacyjny wyjazd, bo remont pochłania każdy grosz. Sama przecież wiesz. Do mieszkania twojej mamy na Lecha?

Nie wyobrażam sobie tego. Nawet gdyby nie ostatnie ekscesy matki, kompulsywne fotografowanie zawartości mieszkania i wymiana zamka, zamieszkanie tam z Helenką i Matyldą nie wchodzi w grę. Spędziłam z nią rok po urodzeniu Helenki i wiem, jak by to wyglądało. Na oczach dziewczynek rozgrywałybyśmy bitwy o każdy mokry ręcznik, buty rozrzucone w przedpokoju, piski Helenki czy otwarte okno. Przede wszystkim o otwarte

okno. Odkąd odszedł ojciec, a minęło przecież jedenaście lat, matka panikuje na widok najwęższej nawet szczeliny, przez którą coś mogłoby się ulotnić. Chyba chce w ten sposób zadbać o to, by już nigdy nie zostać porzuconą. Proszę bardzo, kurz i zaduch pozostaną jej wiernie na wieki.

– Ach, więc to tak – powiedziała pięć lat temu, gdy przyjechałam z porodówki z niemowlęciem zawiniętym w różowy rożek.

– Wygląda na to, że tak. – Wręczyłam jej dziecko i zesłam na parter po walizkę i torbę z rzeczami małej.

To miało być rozwiązanie tymczasowe, na kilka tygodni, ale konflikty, codzienna walka, która matce dodawała animuszu, ze mnie wysysały energię. Z biegiem dni stawałam się coraz bardziej apatyczna i nie potrafiłam podjąć nawet najprostszej decyzji. Wszystko stało się skomplikowane. Nie, nie mogę tam wrócić. Nawet dwa tygodnie to byłoby o czternaście dni za długo.

– No więc? – powtarza pytanie Bartek. – Może do twojej matki? To by ewentualnie działało, mieszka w końcu nie tak daleko.

– Nie ma takiej opcji. Mówimy o kobiecie, która przestała piec ciasta, bo boi się, że jej piekarnik wybuchnie. Wiesz, jak bardzo jest znerwicowana, a ja nie chciałabym jej narażać na dodatkowy stres.

– Jej?

– No dobra. Siebie i dzieci. Ale mam rozwiązanie – zawieszam głos. – Pomyślałam o Rebecce.

– Rebecce? – Bartek kręci ze zdumieniem głową. – Sam nie wiem, przecież znacie się od niedawna. Nie uważasz, że po prostu zwalisz się jej na głowę? W dodatku z dziećmi, a wiesz, jacy są ludzie, którzy nie mają dzieci.

Patrzę na niego pod słońce, mrużąc oczy, i mam nadzieję, że nie domyśli się, że propozycja wyszła od Rebeki. Nie ma pojęcia, jak bardzo się zbliżyliśmy w ostatnich tygodniach, i nie zrozumie, że ona szybko stała się dla mnie kimś więcej niż zwykłą nieznajomą, którą na początku maja podwiozłam do domu. Podziwiam ją, dużo jej zawdzięczamy i nie będę ukrywać, bardzo ją polubiłam.

– Nie uważasz, że to przesada? – Bartek skubie włoski na brodzie. – Mówimy przecież o czymś więcej niż namiary na solidną i niedrogą ekipę czy porady dotyczące aranżacji wnętrza.

– Jej mąż często wyjeżdża zawodowo i nie ma go nawet po kilka miesięcy, a ona siedzi sama w tym wielkim domu. Nie sądzisz, że nasze towarzystwo sprawiłoby jej przyjemność? Świetnie się dogaduje nie tylko z Helenką, ale i z Matyldą. Mati się to przyda, chodzi ostatnio jakaś osowiała. Pewnie tęskni za matką.

– Ładna mi matka – zaczyna Bartek, ale gromię go wzrokiem. Wie, że nie lubię, kiedy krytykuje swoją siostrę, bo przecież żadne z nich nie miało łatwego dzieciństwa i powinien

być dla Darii bardziej wyrozumiały. Wierzę, że tym razem uda jej się stanąć na nogi, naprawdę znalazła pracę w Berlinie i ściągnie do siebie Matyldę.

– Sam nie wiem. Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł. Może po prostu przeniesiecie się do pokoju dzieci, a my zostawimy go na sam koniec? Potraktujemy go jako izolatkę, w której schowasz się przed tym szaleństwem.

– A kuchnia, łazienka, instalacje? Załatwianie się w plastikowym kontenerze i mycie się lodowatą wodą ze studni to z pewnością wielka frajda, ale ja marzę o wannie. Spodziewam się dziecka, zauważyłeś to? – Spoglądam w stronę rosnącego brzucha.

Nie chciałam grać tą kartą i jestem na niego wściekła. Czuję się umniejszona, jakbym utrudniała mu życie „babską” fizjologią, do której nie należy przykładać zbyt dużej wagi, tak samo jak do miesięczek.

– To piąty miesiąc, lekarz zaleca odpoczynek i spokój, a ty...

– Ja tu nie leżę. – W głosie Bartka też słyszę irytację i zmęczenie. Jeszcze chwila i znowu paskudnie się pokłócimy. Jedno z nas trzaśnie drzwiami, które już tylko cudem tkwią osadzone w futrynie.

Bartek chce jednak jak najszybciej wrócić do pracy, macha więc niecierpliwie ręką, wspina się z powrotem na rusztowanie i włącza karcher. W plastikowym kapturze naciągniętym na czapkę z daszkiem wygląda jak gigantyczny owad. Wyobrażam sobie karalucha, bo w tym momencie naprawdę go nie lubię. Dlaczego się sprzeciwia? Tak naprawdę nie polubił Rebeki i tylko korzysta z jej kontaktów i rabatów? To byłoby wredne. Wcale nie musiałam go pytać o zdanie, myślę ze wściekłością. Mogłam mu po prostu zakomunikować swoją decyzję.

Tej nocy śpię płytko, a za każdym razem, gdy się budzę, słyszę monotony dźwięk, jakby ćma obijała się o klosz lampy. Leżę tak kwadrans, a może i trzy, bo w nocy czas płynie w swoim tempie, i liczę na to, że zasnę. Ciemność za oknem szarzeje, potem przechodzi w fioletowawy brzask, a ja nadal leżę z otwartymi oczami. Pochrapywanie zmęczonego Bartka rozbudza mnie jeszcze bardziej i sięgam po komórkę. Dochodzi czwarta nad ranem.

Wychodzę do ogrodu z pełnym pęcherzem, przysięgając sobie, że nigdy więcej, i omiatam latarką zarośla. Gdy kucam pod krzakiem czarnego bzu, którego pełno rośnie po drugiej stronie ogrodzenia, ale i po naszej stronie, pod płotem słyszę szelest. Rozpędzonemu tętnu towarzyszy paralizujące wspomnienie tamtego wieczoru, porwanych majtek, krwi i wymiocin. Wiem, że to niemożliwe, by ten facet tu był, a jednak znowu czuję tamten zapach i strach pełznący wzdłuż kręgosłupa. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Wypatruję w ciemnościach męskiej twarzy. Jego twarzy.

Coś szura w zaroślach, jakby gałąź prześlizgnęła się po ortalionie, a potem słyszę kaszel starego człowieka. Sztywnymi rękoma podciągam spodnie i kieruję tam snop światła. Z zarośli wyskakuje rudy lis i spłoszony znika wśród drzew. Oddycham z ulgą, ale nie opuszczam jeszcze latarki.

ANNA

Siedzę naprzeciwko Rebeki w kawiarni Stempel niedaleko katedry na Śródcie i z minuty na minutę jestem coraz bardziej świadoma kontrastu w naszym wyglądzie. Kelnerka chyba też, bo rzuca nam zaciekawione spojrzenia znad sterty menu w bordowych okładkach.

Rebeka ma na sobie jedwabną sukienkę z krótkim rękawem, jej fryzura jest nienaganna, a ja chowam pod stołem nogi w rozciągniętych dresach i zakurzonych adidasach. Najchętniej wsadziłabym tam też głowę. Przed wyjściem z samochodu poprawiłam palcami fryzurę w lusterku, ale niewiele dało się zrobić. Jasny odrost rozdziela ciemne fale mierzeją, po której Mojżesz przeprowadziłby swój lud nawet bez boskiej ingerencji. Nie planowałam tego, lecz wygląda na to, że wracam do naturalnego blondu, z którym pożegnałam się sześć lat temu.

Spóźniłam się na nasze spotkanie, bo do późnej nocy kończyłam redakcję nowej książki właściciela wydawnictwa, z którego dostaję zlecenia. Awansowałam na redaktorę, ponieważ po ostatniej korekcie wytknęłam nie tylko błędy językowe, lecz także logiczne, i zaproponowałam kilka rozwiązań narracyjnych, na które ten dziwaczny facet (nigdy nie poznałam go osobiście) przystał z zaskakującą skwapliwością. Wykonuję teraz pracę, o której marzyłam, idąc na polonistykę. Wprawdzie nie myślałam wtedy o romansach z niższej półki, ale ostatecznie nigdy nie ukończyłam studiów, a ten wydawca przyjął mnie bez dyplomu.

Uparł się, by jego nowa książka trafiła właśnie do mnie, co powinno mi schlebiać, lecz w ostatnich tygodniach moje warunki pracy zdecydowanie się pogorszyły. W ciągu dnia dom opanowuje hałaśliwa ekipa Jarka i niemniej hałaśliwa, a w dodatku kapryśna Helenka, więc do pracy mogę się zabierać dopiero wieczorem, gdy mała wreszcie zaśnie. Odsypianie w dzień odpada, co oznacza, że od rana do nocy jadę jak zombie na deficycie, a krótkie godziny snu wypełniają koszmary, których nad ranem nie pamiętam. Wstaję sztywna, złana potem i zastanawiam się, czy to wpływ hormonów, czy raczej nowych lęków, gdy odkryłam, że z mieszkania matki zniknął mój stary aparat telefoniczny. Wciąż nie wierzę w wersję o włamaniu, podczas gdy matka spała, bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że grzebała w moich rzeczach i gdzieś go przełożyła. Może nawet sama to zrobiła. Nie jestem już pewna.

W jednej kwestii nie mam wątpliwości. Dom Bartka, w którym kilka lat temu znalazłam bezpieczną przystań, odarty z tynków, boazerii i pozbawiony mebli zaczął mnie przerażać, jakby remont otworzył w nim coś, co dawno temu zostało uspione. Pół czuwam, pół śnię, słuchając nowych dla mnie dźwięków, oddechu starych murów i pojękiwania

w dachówkach. Od czas do czasu pojawia się szczekanie przypominające suchy kaszel, to samo, które słyszałam ostatnio w nocy, opróżniając pęcherz pod krzakiem czarnego bzu, ale Bartek mnie uspokaja, że to tylko lisy, których przecież nie brakuje w Puszczy Zielonce. Podchodzą pod Lisią Chatę, ośmielone remontem, jakby i one chciały się teraz upomnieć o swoją przeszłość.

Z naszej sypialni zniknęły stare obrazy, także i ten ze sceną zwiastowania, ale nie pytam Bartka, co z nim zrobił. Staroświeckie malowidło od początku mnie przerażało i nie miałabym nic przeciwko temu, by po remoncie nie wróciło na ścianę. Od kilku dni żyjemy na kartonach i marzę o gorącej kąpieli, bo Jarek zajął się wymianą instalacji i do dyspozycji została nam tylko studnia. Mój narzeczony parska i prycha jak koń, polewając się lodowatą wodą z wiadra. Wrzeszczy przy tym „Geronimo!” i wykrzykuje, że woda z własnego ujęcia jest najsmaczniejsza i najzdrowsza, ale ja nie podzielam jego entuzjazmu. Patrząc z tęsknotą na krzyżyki namalowane przez Jarka na ścianach. To w tych miejscach będziemy mieli nowe kranie. Nadal nie mogę uwierzyć, że dzięki pomysłowi Rebeki udało się wygospodarować drugą łazienkę na piętrze. To wprawdzie kłitka w miejscu dawnej komórki, w której dziadkowie Bartka przechowywali miotły, mopy i wiadra, ale pomieści małą kabinę prysznicową i drugą toaletę.

– Przepraszam za spóźnienie – uśmiecham się do Rebeki, wygładzając ręką zmierzwiłone włosy. – Próbowałam zrobić się na bóstwo, ale jak widzisz, znowu nie wyszło. Za dużo ludzi na metr kwadratowy, za mało gorącej wody. Nie chcę narzekać, naprawdę – mityguję się, widząc jej skonsternowaną minę. – Jarek i jego ludzie są świetni, jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Zostawiam dla siebie informację, że dziś ekipa zabrała się do powiększania otworów okiennych i Jarek stwierdził sadystycznie, że od jutra powinniśmy się przenieść na parter, bo na piętrze będzie duło jak na Kasprowym. Patrząc na Rebeke, czując się chronicznie wręcz niewyspana i niedomyta, ale nawet umierająca nie potrafiłabym jej odmówić. Wczoraj odebraliśmy dostawę luksusowych płytek łazienkowych, tak pięknych, że najchętniej nosiłabym jedną w torebce, a pokryliśmy jedynie koszt transportu. Z dostawy zrezygnował jeden z jej majątnych klientów, który w ostatniej chwili zmienił koncepcję.

Na tej samej zasadzie tydzień temu dotarła do nas duża dostawa desek z litego drewna na podłogi. Poza tym Jarek nisko wycenił robociznę, więc Rebeka już oszczędziła nam mnóstwo pieniędzy, stresu i czasu. Chciałabym powiedzieć, że ta kobieta jest warta każdej złotówki, ale przecież jej nie płacimy. Rozumiem za to wreszcie, na czym polega praca architekta wnętrz i dlaczego opłaca się go zatrudnić.

Rebeka przywołuje gestem kelnerkę, która przestała się nam przyglądać i ustawia szklanki za barem, jednocześnie pomrukując do telefonu.

– Wybrałaś coś? – pyta, wskazując kartę, a jej miedziane loki lśnią jak na obrazach Rossettiego. – To ja cię wyciągnęłam dziś z domu, więc zapraszam.

Posłusznie wracam wzrokiem do studiowania menu.

– Ciasto z bezą wygląda apetycznie, do tego kawa z mlekiem, tylko błagam, niech mi nie każą wybierać z jakim. – Zamykam kartę, głośno wzdychając. – Jestem taka padnięta. Mogłabym spać w każdej pozycji i o każdej porze.

– To piąty miesiąc, prawda? Nic dziwnego. Do tego remont, hałas, bałagan. Nadal masz mdłości?

– Już nie, minęły. Obstawiam, że niedługo pojawi się zgaga. Taki harmonogram atrakcji ciążowych miałam z Helenką. A ty? Nie będziesz nic jadła? – Wolę zmienić temat, bo nie czuję się komfortowo, rozmawiając z Rebeką o swojej ciąży. Nie wiem, czy ona i Konrad nie mają dzieci z wyboru, czy też nie mogą ich mieć, a nie chciałabym jej sprawić przykrości.

Rebeka nachyla się ku mnie nad stolikiem.

– Tak naprawdę już jadłam, bo dotarłam tu godzinę wcześniej, by spotkać się z właścicielem i zrobić zdjęcia. Szykuje się potencjalne zlecenie i dlatego zaproponowałam tę kawiarnię. Zanim przyjechałaś, omówiliśmy sobie układ funkcjonalny.

Rozglądam się ze zdziwieniem, bo lokal wydaje mi się nieprawdopodobnie wręcz funkcjonalny w porównaniu z wypatroszoną Lisią Chatą, którą zostawiłam za sobą.

– Nie bardzo rozumiem. Klientom Stempla brakuje złotych klamek?

Rebeka kiwa z uśmiechem głową.

– Właściciel chce przerobić zaplecze, by zyskać miejsce na kilka dodatkowych stolików, a przy okazji nadać całości konkretny look. To konieczne, jeśli chce dotrzymać kroku konkurencji. W dzisiejszych czasach nie wystarczy już dobra lokalizacja. Klienci oczekują wartości dodanej.

Raz jeszcze omiatam kawiarnię wzrokiem i dopiero teraz dostrzegam, że faktycznie, krzesła i stoły są nijakie, jak w szkolnej stołówce, a pod sufitem wiszą serduszka w kratę, zapewne jeszcze od walentynek, i kilka starych stempli będących marnym alibi dla nazwy lokalu.

– Otóż to. – Rebeka podąża za moim wzrokiem. – Właściciel stracił do tego biznesu serce. Widziałam to już nie raz. Ludzie ekscytują się na początku, a potem myślą, że samo będzie się kręcić. Niestety, to tak nie działa.

– Czy to oznacza, że skończyłaś już pracę nad hotelem dla tamtych dwóch facetów? – Przypominam sobie jej opowieść o wspólnikach, którzy mieli odmienne wizje butikowego hotelu.

– Och, oby. Chciałabym, ale to grubszy temat, a klienci nadal spierają się o drobiazgi. Stwierdziłam, że ten lokal będzie miłym przerywnikiem.

Nieudolnie tłumię kolejne ziewnięcie, nie przesadzam, jestem tak zmęczona, że mogłabym nawet tutaj oprzeć czoło na poduszczyk z dłoni i zasnąć.

– Przepraszam, kiepsko ostatnio sypiam. O czym chciałaś dziś ze mną porozmawiać?

Wkładam do ust kawałek bezy, którą kelnerka postawiła przede mną na stole. Ciasto przyjemnie ciągnie się na języku. Może i wystrój jest przestarzały, a stolików za mało, ale

wypieki mają znakomite.

– Pamiętasz moją propozycję? Rozmawiałaś z Bartkiem?

Kiwam głową.

– Ten pomysł niezbyt mu się podoba. Nie zrozum go źle. On po prostu nie chce robić ci kłopotu, podobnie jak ja.

– Byłam u was wczoraj, gdy zabrałaś dziewczynki nad jezioro. Bartek ci nie przekazał? Musiałam omówić z Jarkiem kilka spraw. W każdym razie... Aniu, nie bierz tego do siebie, ale tak się nie da mieszkać. To plac budowy, niebezpieczny dla ciebie i dzieci.

Robi mi się przykro. Wyobrażam sobie białą i cichą przestrzeń w domu Rebeki i Konrada, wielkie wiszące lampy, ich komfortową łazienkę z gorącą wodą, wywoskowane podłogi i czyste wielkie okna. Czuję, że za chwilę się rozplacę. Wiem, że Rebeka ma rację, a ja jestem beznadziejną matką dla Helenki i cicią dla Matyldy. Funduję im życie w syfie.

– No a twoja praca? – Patrzę jej w oczy. – Prowadzisz biuro w domu, a to oznacza, że potrzebujesz spokoju i skupienia. Dojrzewająca dziewczynka i paplająca pięciolatka na pewno w tym nie pomogą. To dwa żywioły, a każdy z nich ma siłę letniej burzy nad jeziorem.

– Uwielbiam letnie burze. Szczególnie nad jeziorem. – Rebeka się uśmiecha. – Poza tym moje biuro jest odizolowane od reszty domu i wytłumione, zadbaliśmy o to z Konradem na samym początku. No i hej, przecież nie zapraszam was na zawsze, a za dwa tygodnie większość najbrudniejszych robót będzie skończona. Tyle chyba damy radę ze sobą wytrzymać, prawda?

Wiem, że dziewczynki będą zachwycone i potraktują pobyt u tej nowej, „ekskluzywnej cici” (cytat z Matyldy) jak najlepsze wakacje.

– A twój mąż i siostra? Nie będziemy wam przeszkadzać?

Dalej szukam wymówek chyba tylko przez wzgląd na dobre wychowanie. Myślami pławię się już w ciepłej wodzie i przyrządzam posiłek dla dzieci przy dużym i czystym stole.

– Konrad znowu wyjechał w sprawach zawodowych, a Jowi zmieniła plany. Jej plany wiecznie się zmieniają, ta dziewczyna ma ADHD.

Po powrocie z kawiarni patrzę z odrazą na hałdy gruzu, pod którymi ginie nasz zarośnięty ogród. Okna u góry zostały już wyjęte i wygląda to okropnie. Oczodoły, ziejące i ciemne jak wulkany. Krzywię się na myśl o mamie, która oszalałaby na ten widok. Dom, do którego łatwo wtargnąć, bo już nikt i nic nie broni do niego dostępu.

Wzdrygam się na widok Bartka i batalii, która mnie czeka.

– Noce są ciepłe, bez okien na pewno nie zmarzniemy – tłumaczy narzeczony. – Ale zasłonię oczywiście dyktą, żeby komary nas nie zjadły. Za to tylko sobie wyobraź efekt końcowy, to będzie całkiem inny dom i nikt już nie waży się go nazwać Lisią Chatą.

Chce mnie objąć w talii, ale się odsuwam.

– Dlaczego nie lubisz tej nazwy?

Bartek wzrusza ramionami.

– Nie lubię i już. No więc? Zostaniecie ze mną?

Kręcę głową.

– Umówiłam się już z Rebeką. To dla niej naprawdę żaden problem. Nie lubisz jej, prawda?

Patrzę, jak Bartek podnosi ze ścieżki duży kawałek gruzu i wrzuca do przepełnionego kontenera.

– Ależ skąd – mówi, otrzepując ręce. – Po prostu nie chcę, byśmy mieli wobec niej jeszcze większy dług wdzięczności.

Nadymam się.

– Spróbuj na to spojrzeć inaczej. Nie istnieje coś takiego jak bezinteresowny uczynek. Ona i Konrad nie mają dzieci, więc towarzystwo dziewczynek z pewnością sprawi jej przyjemność.

– Myślisz, że istnieją aż tak zbzikowani ludzie?

– Aż tak samotni.

Z domu dobiegają okrzyki Helenki, która wtóruje piosence *Chcę uwierzyć snom* z drugiej części *Krainy lodu*. Trudno policzyć, ile razy obejrzała obie części filmu, ale na pewno nie starczyłoby palców u rąk i nóg. Podstawia wymyślone słowa, co w innej sytuacji by mnie rozbawiło, ale dziś czuję się zniechęcona, patrząc na nią i na Matyldę. Siedzą z tłustymi włosami w osłoniętych folią fotelach, odgradzone od siebie murem z kartonów. Ich plecy wyginają się w pałąk nad tabletami, co nadaje im wygląd żywych lamp podłączonych do sieci.

– Popatrz, mamusiu! Popaaaaatrz! – Helenka zmusza mnie, bym po raz setny obejrzała fragment, w którym bałwanek Olaf krzyczy: „Uwaga, pupa mi leci!”, i irytuje ją, że przestało mnie to bawić. Za to Matylda kiwa mi niedbale głową na powitanie. W uszach ma słuchawki i wpatruje się w ekran, na którym Tom Hanks z długimi włosami i dzikim spojrzeniem, które wielu recenzentów weźmie za przejaw autentyczności u „wiejskiego głupka”, przemierza bezkresne szosy Ameryki. *Forrest Gump* wciąż górą.

– Jesteśmy głodne – zgłasza Helenka, chwytając się sugestywnie za brzuch i zerkając z nadzieją na mój kącik, szumnie zwany kuchennym. Składa się z kuchenki podłączonej do butli gazowej i deski do prasowania, z której zrobiłam blat do przygotowywania posiłków i bar, przy którym szybko wrzucamy w siebie to, co jest do zjedzenia. Na celebrowanie śniadań czy obiadów nie pozwalają nam warunki.

Sięgam po telefon.

REBEKA

Jest senne lipcowe popołudnie i po niebie snują się chmury ułożone w jeden z milionów niepowtarzalnych wzorów. Rebeka jest zadowolona, że zabrała się do przygotowań z wyprzedzeniem, bo nie chce żadnych wpadek, jak wtedy, gdy Helenka znalazła pod krzewem martwą jaskółkę i na całym popołudniu położył się cień ceremonii pogrzebowej. Na szczęście mała przestała też pytać o ulubioną lalkę. Anna podobno zaproponowała jej zakup nowej, ale dziewczynka wcale jej nie chciała, czym zaimponowała Rebecce. Przywiązuje się, potrafi być lojalna, zamiast bezdusznie domagać się co chwilę nowych zabawek.

Idzie do pokoju gościnnego z łazienką *en suite*, którą przygotowała dla Anny kilka dni temu, i próbuje go ocenić oczami gościa. Jest tu okrągła wanna i kabina prysznicowa, położyła też kilka białych miękkich ręczników na półce z mlecznego szkła i zawiesiła na haczyku nowy puchaty szlafrok w rozmiarze M, który powinien pasować. Rebeka często wymienia ręczniki, pościel i ubrania na nowe. Nie wie już, jaka była kiedyś, zanim poznała Konrada. Może niechlujna jak jej ojciec? Za to dla męża zaciągnięte nitki, wyświecone szwy czy wyblakłe tkaniny były zawsze świadectwem braku kontroli. Nie lubił śladów zużycia.

Rebeka wyjmuje z szuflady kostkę mydła na wagę. Zdejmuje szary papier i pomieszczenie wypełnia się od razu subtelnym zapachem kokosa i kwiatu tahiti. Obok ustawia szampon i kilka świec z tej samej linii zapachowej. Patrzy na ścianę w pokoju, która po zdjęciu obrazu Hoppera i powieszeniu go w oranżerii wydaje się pusta, a po chwili wraca z grafiką przedstawiającą japońskie lisy, bardziej pasującą do tego minimalistycznego wnętrza. Anna mieszka w domu nazywanym Lisią Chatą, więc na pewno lubi te zwierzęta.

Pokój obok, przeznaczony dla dziewczynek, też jest już gotowy. Rebeka otwiera teraz na oścież okna i drzwi, by wpuścić jak najwięcej świeżego powietrza, bo nadal czuje ciężki zapach karmelu i krwi. Zostawiła kolorowe pluszowe zabawki na półkach, ale wyniosła do garażu puste akwarium i spakowała je do kartonu stojącego obok plastikowych pudeł, w których wcześniej umieściła pozostałe rzeczy z tego pomieszczenia. Wygładza ręką pościel na górnym i dolnym łóżku piętusa, przywiezionego kilka dni temu przez kuriera, i przynosi z ogrodu gałązkę jaśminu do wazonika w kształcie słonia.

Puls jej przyspiesza, gdy wspomnienie wybucha pod powieką jak przytrzaśnięty owad. Twarz Konrada wykrzywiona złością: „I tak nie byłabyś dobrą matką!”. Rozsypany talk, zapach jego śliskiej koszuli, gęsta ciemność akwarium i ta ostatnia rybka goniąca swój

cień. Rebeka mruga gwałtownie, zaciskając palce, jakby chciała wytrząsnąć obraz i zgnieść go w dłoni.

Najpierw słyszy samochód parkujący na podjeździe, a zaraz potem podekscytowane krzyki Helenki, która zawisa jej na szyi jak małpka i szepcze z wdziękiem, że strasznie, po prostu okropnie się cieszy na te wakacje, bo u nich w domku wieje wiaterek, jest brudno i pan Jarek wrzeszczy.

– Obiecuję. Nie wprowadzamy się do was na zawsze. – Anna z zażenowanym uśmiechem wyjmuje z bagażnika kolejną wypchaną po brzegi walizkę.

Dziewczynki są zachwycone, gdy Rebeka prowadzi je do przygotowanego na górze pokoju, który podobno jest cały dla nich.

– Ale jak ty to wszystko zrobiłaś? Kiedy? – Podekscytowana Anna przesuwa z zachwytem ręką po pościeli z wizerunkiem Elsy i bałwanka.

Matylda sunie palcem po grzbietach książek ustawionych na półkach. Na jednej z nich, zawieszanej nisko nad dywanem, w zasięgu rąk Helenki, znajdują się dziecięce książeczki, łącznie z przygodami bohaterów *Krainy lodu*, ale też pięknie ilustrowane *Baśnie Andersena* i *Kubuś Puchatek*. Na drugiej – ułożone alfabetycznie powieści dla młodzieży, ale i leksykon filmowy, nowy, w twardej oprawie, najwyraźniej umieszczony tu przez Rebeke z myślą o starszej dziewczynce.

– Znajdzie się jeszcze miejsce dla Elsy? – pyta Anna, wyjmując z torby nową lalkę. Jest podobna do zaginionej.

Rebecce ta nowa Elsa wydaje się okazalsza, większa, z dłuższym blond warkoczem, jednak Helenka nie tuli jej w ramionach, jak to robiła z poprzednią.

– Może tu? – proponuje Rebeka, mrugając do Anny, i wyjmuje z szafki miękki niebieski kocyk, który rozpościera na niewielkim stoliku obok piętrowego łóżka.

– Może. – Mała ledwie obdarza spojrzeniem miejsce dla nowej lalki i pozwala, by to jej matka ułożyła Elsę na kocu i przykryła.

– Myślę, że będzie jej tu bardzo dobrze. – Anna przemawia tonem „do idioty”, jakim ludzie zwracają się czasem do dzieci, chcąc sobie zaskarbić ich przychyłność, ale to nie działa.

Helenka ignoruje nową lalkę i podchodzi do Matyldy. Zagląda jej przez ramię, podczas gdy dziewczynka wertuje leksykon.

– Nie lubi jej. – Anna wzdycha cicho, głaszcząc warkocz Elsy, jakby to były włoski jej córki nękaney przez dzieciaki w przedszkolu, a Rebeka nie komentuje. Myśli tylko, że Anna głupio zrobiła, biegnąc od razu do sklepu po zamiennik.

Wbrew temu, co się obecnie uważa, dzieci potrzebują doznawać różnych emocji. Także utraty.

Gdy wieczorem dziewczynki idą wreszcie do łóżek, Rebeka i Anna wychodzą na patio. Wieczór jest ciepły i spokojny. Tylko w oddali raz po raz odzywa się rottweiler. Sąsiad nie wypuszcza go samopas, więc pewnie zabrał go właśnie na spacer.

– Chciałam ci jeszcze raz podziękować. Dawno nie czułam się taka... czysta. – Anna wybucha śmiechem, przytrzymując turban na umytych włosach. – A dziewczyny są zachwycone. Helenka powiedziała mi, że czuje się jak królewna w pałacu. Matylda nie jest tak wylewna, ale też długo pławiła się pod prysznicem, a teraz przekopuje się przez leksykon.

– Drobiazg. Nikt mnie nie nazwał nigdy ciocią. To miłe.

– Twoja siostra nie ma dzieci?

– Jowi? Nie ten typ.

– Też tak o sobie myślałam. Nie ten typ. A tu proszę, jedno swoje, drugie pożyczone i kolejne w drodze. – Anna zdejmuje turban i roztrzepuje palcami wilgotne włosy.

– Wydajesz się do tego stworzona. Do macierzyństwa.

– Zawsze mówili, że każda głupia może zostać matką. Sztuką jest wychować dziecko.

– Różnie z tym bywa.

Rebeka zdaje sobie sprawę, że zabrzmiało to dwuznacznie. Patrzy w gwiazdy rozrzucone nad domem jak cekiny.

– Moja matka powiesiła się w naszej łazience. Miałam wtedy dziewięć lat. Kiedy przyjechało pogotowie, a potem policja, trzymali mnie z dala od niej, w kuchni. Trzęsłam się, okno było otwarte na oścież i wszędzie śmierdziało papierochami. Pamiętam smród i zimny wiatr.

Anna zakrywa usta ręką, jakby się bała, że powie coś niewłaściwego. Przez chwilę milczą.

– Tak mi przykro, że musiałaś przejść przez coś takiego.

Rebeka macha uniesioną ręką.

– Miałam dość czasu, by się z tym uporać, ale w zasadzie nie lubię o tym mówić.

– To zrozumiałe. Zostawiła... jakiś list pożegnalny?

– Jeśli tak było, to ojciec go zabrał lub zniszczył. Kilka lat później wyprowadziliśmy się z tamtego mieszkania. Szkoda, że nie od razu.

– Domyślam się, że nie było ci łatwo. Mieszkanie pewnie przypominało o mamie?

– To nie byłoby takie złe, ale z dnia na dzień stałam się sensacją na naszym sennym osiedlu: „Córka samobójczyni, tylko u nas, wstęp wolny!”.

– Wynieśliście się daleko?

– Dość. Do Westernowego Miasteczka. Ojciec dostał tam robotę jako złota rączka.

– Westernowe Miasteczko? – Anna wpatruje się w nią, jakby nie była pewna, czy Rebeka sobie z niej nie żartuje.

– Enklawa koni i kowboi, nigdy nie byłaś? Popularny pomysł na biznes w latach dziewięćdziesiątych w całej Europie. Tę naszą osadę założył bogaty biznesmen z Warszawy, a jakiś szemrany kumpel ściągnął tam ojca do pracy. Oferowaliśmy dzieciakom jazdę na kucach, były też przejażdżki dyliżansem i fingowane napady

czerwonoskórych, biuro szeryfa, saloon, kino, fryzjer, krawiec, poczta. Wszystko to upadło kilkanaście lat temu. Dla niektórych dopiero teraz to miejsce stało się atrakcją.

– Czego tam szukają? – Anna potrząsa ze zdziwieniem głową i wilgotne włosy przesłaniają jej twarz.

– Tego co zawsze w umarłych miejscach – wrażeń spoza głównego nurtu. Przyjeżdżają współcześni nomadzi, szwendacze, fotografowie, instagramowicze, ale też gracze w geocoaching, opencaching czy munzee.

Anna rzuca jej zagubione spojrzenie.

– To rozbudowane gry terenowe, coś w rodzaju zabawy w podchody dla dorosłych.

– A ty? Czym się tam zajmowałaś?

– Sprzątałam klatki w minizoo. Karmiłam zwierzęta. Właściciel miasteczka hodował owce i kozy, lamy, pawie, strusie i kucyki. Lamy pluły, pawie wrzeszczały, a kuce bywały złośliwe, szczególnie jak się wkurzyły na dzieci. Jeden z nich ugryzł mnie w rękę. – Rebeka podwija rękaw i pokazuje bladą bliznę.

– Może twoja matka cierpiała na depresję poporodową?

– Nie sądzę. Tak jak wspomniałam, miałam dziewięć lat. Chyba że to była jakaś cholernie długa depresja.

– A siostra? To musiało się jakoś zbiec z jej urodzinami?

– Ach, no tak. – Rebeka kiwa głową zła na siebie za to niedopatrzenie. Kłamstwa wymyśla się bardzo łatwo, za to żonglowanie nimi, utrzymanie ich jednocześnie w powietrzu jest prawdziwą sztuką.

– Przykro mi – mówi Anna. – Naprawdę mi przykro.

Przez chwilę milczą, zza płotu znowu dobiega ujadanie psa i głos łajającego go właściciela. Anna wyjmując szczotkę z kieszeni białego szlafroka i zaczyna rozczesywać włosy.

– No a Hugo? – pyta Rebeka pozornie bez związku, zadowolona, że zmieniają temat. – Nadal się nie odnalazł?

– Nie, i nawet sąsiedzi przestali go szukać.

– A kot?

– Buka? Też nie wrócił.

– Może wystraszył go remont? Koty są terytorialne, a w jego domu pojawiło się dużo obcych ludzi. Jak się to wszystko skończy, na pewno się odnajdzie.

– Być może. – Anna zawija włosy w gładki koczek na czubku głowy.

– Masz bardzo ładny naturalny kolor włosów. Dlaczego je farbujesz?

– Po urodzeniu Helenki chyba potrzebowałam jakiejś odmiany. Wiesz, jak to... Przepraszam.

– Nie przepraszaj, to nie jest dla mnie temat tabu. A ojciec dziecka? Domyślam się, że nie był nim Bartek?

– To aż tak oczywiste?

– Wspominałaś, że poznałście się z Bartkiem trzy lata temu. – Rebeka się uśmiecha. Anna kręci głową.

– Racja. To prawda, nie mam z ojcem Helenki kontaktu.

Zwierzenie za zwierzenie, tak to chyba działa między przyjaciółmi, a opowieść o samobójstwie matki to wielka rzecz. Powinna dostać w barterze coś równie głębokiego. Rebeka widzi jednak, że Anna nie jest jeszcze gotowa, by rozmawiać o ojcu Helenki, i odpuszcza. To teraz cel nadrzędny. Nie spłoszyć jej.

Mówią sobie „dobranoc”, ale Rebeka nie idzie jeszcze do sypialni, bo wie, że i tak szybko nie zaśnie. Zamiast tego kieruje kroki do biura i otwiera laptop, a tam wyszukuje odpowiedni folder. Obecność Anny jest zastrzykiem inspiracji i w jej żyłach zaczyna krążyć nowa energia, gdy pochyla się nad projektem. Po godzinie wstaje, by rozprostować nogi, i zagląda do szafki zamykanej na klucz. Przechowuje tam dokumenty firmy w grubym folderze, a gdy sięga głębiej, udaje jej się namacać atlasowy materiał z naszytą koronką.

Rebeka wyjmuje „starą” Elbę i przez chwilę przygląda się przybrudzonej sukience. Poprawia diadem, który zsunął się lalce z czoła, i porusza nią tak, by na cekinach przyszytych do materiału i okruchach szkła w miniaturowym diademie rozproszyło się światło.

ANNA

Czuję się tak rozpieszczona, że łzy napływają mi do oczu. Poważnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałam ze szczęścia. W dniu oświadczyn Bartka? Chyba tak. Na pewno nie wtedy, gdy urodziła się Helenka. Tamten czas pamiętam jak przez mgłę. Kilka zmęczonych kobiet, które leżały ze mną w niewielkiej sali i każda z nich urodziła właśnie kolejne dziecko, chrapało po porodzie. Duszny i słodki zapach małej, gdy nieporadnie gryzła moją pierś, kojarzył mi się z krwią na podartych majtkach i czekałam, aż przyjdzie położna i zajmie się nią lepiej ode mnie.

Pokój gościnny, w którym ulokowała mnie Rebeka, przypomina najlepszy apartament w luksusowym hotelu. Tapicerowane łóżko king size z szufladami wygodniejszymi od naszych łóżek. Z powodzeniem moglibyśmy tu spać całą czwórką, ja i Bartek na łóżku, dziewczynki w szufladach. Odwieszam na miejsce biały ręcznik, przy którym ten, który przywiozłam w walizce, wygląda jak sprana ścierka. Jest nowy, podobnie jak szlafrok, ręcznik i dopasowane kapcie. Wszystko pasuje idealnie, Rebeka ma chyba miarę w oku.

Na półce w łazience znalazłam też delikatnie perfumowane świece, mydło i szampon, na które mnie i Bartka nie byłoby stać. Czuję nieprzyjemne ukłucie zazdrości, jakbym była ubogą krewną, przed którą Rebeka popisuje się bogactwem i luksusem, ale czym prędzej wyrzucam te myśli z głowy. Jest po prostu dobrą gospodynią i stara się, żebym się tu czuła mile widziana. To, że jest mi nieswojo, gdy ktoś okazuje mi serdeczność i jest opiekuńczy, to już mój problem.

Kiedyś lubiłam być w centrum uwagi, teraz pasuje mi pozycja w ukryciu. Wolę być korektorką, poprawiać, obserwować niż grać główną rolę. Nie chcę jeździć nawet do biura wydawnictwa, choć właściciel zapraszał mnie wielokrotnie i przypuszczam, że dla dobra współpracy będę się w końcu musiała tam wybrać.

Patrzę na zawieszoną nad łóżkiem minimalistyczną grafikę przedstawiającą lisy, które kojarzą mi się z Lisią Chatą. Czuję, że nasza obecność sprawia Rebecę przyjemność, chyba naprawdę jest samotna i spragniona towarzystwa, szczególnie teraz, gdy wyjechał nie tylko Konrad, ale i jej siostra. Pytała mnie ostatnio, czy nie boję się mieszkać w chacie za wsią, pod lasem, ale tak naprawdę to tutaj, na przedmieściach Poznania, czuje się prawdziwą izolację. Najbliższy sąsiad jest schowany za tak wysokim ogrodzeniem, że gdyby nie ujadający od czasu do czasu pies, nie wiedziałabym, że ktoś w ogóle tam mieszka. Ludzie tu chronią swoją prywatność i unikają kontaktu wzrokowego.

Schodzę na dół po szklankę wody i zapalam światło w ciemnej kuchni. Nigdzie nie widzę Rebeki, pewnie też położyła się spać. Na tablicy w kuchni nadal widnieje stara

wiadomość z dorysowanym kredą koślawym sercem. Dostrzegam w niej małżeńską intymność i robi mi się przykro, że między mną a Bartkiem nigdy nie było takich gestów. Jeśli mam być szczerą, to nie tylko zmęczenie Bartka jest przyczyną erotycznej zimy między nami. To ja od początku jestem chłodna, a ostatnio usłyszałam, że stężałam jak „cholerna Królowa Śniegu”. Okłamywałam się, myśląc, że zostawiłam daleko za sobą wydarzenia sprzed sześciu lat.

Teraz, gdy ponownie zaszłam w ciążę, wspomnienia tamtego czasu atakują mnie ze zdwojoną mocą. Źle reaguję na dotyk Bartka, choć jednocześnie tęsknię za bliskością. Wiking zostawił mnie na ziemi nieprzytomną i brudną, z podartymi majtkami, a jednak na jakimś poziomie słyszałam, jak cholerna Molly Nilsson śpiewa w moim telefonie, że *ty wiesz i ja wiem, że nigdy nie wracamy do domu*. W pewnym sensie tak właśnie się czuję. Jak dziewczyna, która nigdy nie wróciła do domu. Nikomu niepotrzebna przybłęda. Nawet z milionem zapewnień, że jest inaczej, kolec tkwi głęboko i wydziela toksyczną substancję. Przypomina mi się, jak tamtej nocy szorowałam się pod prysznicem do krwi, a na drugi dzień i tak wstałam brudna.

Sięgam po szklankę i odkręcam kran, a potem sadowię się na hokerze i przeglądam wiadomości. Wczoraj wieczorem wymieniłam z Bartkiem kilka SMS-ów, bo o dziwo w Lisiej Chacie był dobry zasięg. On zapytał o dziewczynki, a ja o postępy prac. Czytam je teraz ponownie, jakbym się spodziewała, że noc zamieniła je w coś bardziej intymnego. Nie zamieniła.

To głupie i trąci romansidłami, które poprawiam za pieniądze, ale łapię się na tym, że czekam na dyrdymały o zapachu mojej skóry i jedwabistych włosach. Nic z tego. Wiadomości są tak samo konkretne i krótkie jak wczoraj wieczorem. Dzwonię do niego, lecz nie odbiera. Dochodzi dwudziesta druga, więc na pewno już śpi, zmęczony kolejnym dniem walki z bebechami starego domu, ale i tak robi mi się smutno. Chciałabym skrócić dystans, ogrzać nasze relacje, wiem jednak, że kiedy się spotkamy, znowu będę przy nim sztywna i nieswoja. Nie lubię, gdy inni tak mówią, ale nie znam lepszego określenia na emocje, które się we mnie kłębią. Są skomplikowane.

Mam też nieodebrane połączenie od matki i choć nie mam ochoty na rozmowę, wolę oddzwonić, bo wiem, co będzie, jeśli tego nie zrobię. Przemawiam do niej spokojnie i uspokajam, że nie, płuca nie boją, a to, co czuje, to z pewnością nerwobóle i miną, gdy tylko przestanie się zamartwiać.

Opowiadam jej o pracach remontowych, sprzedając bardziej optymistyczną wersję. Nie zdradzam, że na jakiś czas przeprowadziłam się z dziewczynkami do Rebeki, bo ustaliliśmy z Bartkiem, że tak będzie lepiej. Moja mama za bardzo histeryzuje, a to, gdzie aktualnie nocujemy, nie ma żadnego wpływu na jej życie. Nigdy nas nie odwiedza i odkąd wymieniła zamki w drzwiach, w ogóle rzadko opuszcza mieszkanie. Wymusknęło jej się ostatnio, że sąsiad z naprzeciwka robi jej zakupy.

Kolejne dwa nieodebrane połączenia są od Natalii, koleżanki z dawnej pracy, o której zdążyłam zapomnieć. Pewne sprawy się nie zmieniają i widzę, że kiedy nie mogła się do mnie dodzwonić, przesłała SMS-y naszpikowane emotikonami jak rebusy.

Zastanawiam się, skąd ma mój nowy numer telefonu.

20.45 *Dzwoniła do Ciebie policja???* Z Zuzą ktoś gadał, podobno chodzi o śmierć Wikinga. Smutna buźka, zaskoczona buźka.

21.15 *Może wino machniemy jak za dawnych czasów?* Mrugająca buźka, kieliszek na smukłej nóżce, podniesiony w górę kciuk.

21.30 *Dzwoń anytime. Dziś siedzę tu aż do zamknięcia.* Zapłakana buźka, diabełek, serduszko.

Na samo słowo Wiking robi mi się niedobrze. Czuję szmatę w ustach i bolesne pulsowanie w głowie, widzę skręcone nitki mchu. Natalia odbiera po pierwszym dzwonku.

REBEKA

Rebeka patrzy na rozpromienione twarze dziewczynek i myśli, nie po raz pierwszy, że Konrad nie miał racji, gdy wrzasnął, że i tak nie byłaby dobrą matką. Kto w ogóle mówi takie rzeczy kobiecie? Zwykły cham w drogim garniturze.

– Naprawdę możemy wybrać, co tylko chcemy? – Matylda podnosi przesłoniętą grzywką twarz znad zalaminowanej płachty menu, która wygląda jak mapa świata deserów.

Siedząca obok Helenka przekrzywia głowę, podążając z wystawionym językiem za zdjęciami pucharów lodowych. Rebeka przytakuje z uśmiechem. Ta wycieczka była bardzo dobrym pomysłem.

– Oczywiście.

– A jeśli ktoś by tak chciał... no, na przykład takie coś... – Helenka dotyka lepkiem palcem zdjęcia bitej śmietany. – Coś, co jest niezdrowe.

– Tu wszystko jest zdrowe.

– Nawet lody?

– Nawet lody.

Anna skorzystała z okazji, że może zostawić z nią dziewczynki, i pojechała do miasta z kimś się spotkać, a gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Rebeka postanowiła zrobić dziewczynkom niespodziankę. Pojechała do centrum Poznania i zostawiła samochód na placu Wolności, a potem zaprowadziła je do pasażu Apollo w letnim deszczu, który po kilku upalnych dniach pada od rana niemal bez przerwy.

Gdy sama była mała, marzyła o wycieczkach niespodziankach, ale ojciec zabierał ją w same parszywe miejsca, i to bez wychodzenia z domu. Taki miał talent. Niewykluczone, że wyjechali do Westernowego Miasteczka, by szkolny psycholog nie zadawał jej tych wszystkich pytań. Ojciec wezwany do szkoły powiedział, żeby się od niej wreszcie odczepili, bo skoro jego pieprzona żona powiesiła się, gdy Rebeka miała dziewięć lat, to chyba nic dziwnego, wy nic niewarte mądrale z dyplomami, że dziewczyna ma problemy emocjonalne. A grzebanie w nich jak w kupie gówna wcale jej nie pomaga, wręcz przeciwnie.

Karmił ją parówkami, tymi w folii, która odłaziła od masy o smaku podłego mięsa i plastiku, a nocą przychodził i sęczył do ucha słowa o wielkiej tajemnicy, o łączącej ich więzi i o tym, że dwa to świetna liczba. Mamy na świecie tylko siebie. Możemy liczyć tylko na siebie. Kochasz tatusia? Powtórz. Powiedz, jak bardzo kochasz tatusia. Kiedy to się zaczęło? Po śmierci matki czy wcześniej?

– Czy już coś panie wybrały? – Niska dziewczyna z dreadami i dołeczkami w policzkach stuka długopisem w notes, wrywając ją z zamyślenia.

Ma miły uśmiech i mocny, można powiedzieć „zaangażowany” makijaż, który świadczy o tym, że spędziła dużo czasu, studiując tutoriale na YouTube. Przydymione oczy, sztuczne rzęsy i duża ilość bronzera modelującego kości policzkowe, czoło i żuchwy gryzą się z dreadami i tunelami w uszach. Ciekawe, za kogo ją bierze. Mamę dziewczynek? Ich ciocię?

Rebeka prosi Matyldę, by jako pierwsza złożyła zamówienie, i dziewczynka odgarnia z oczu gęstą grzywkę.

– To ja poproszę ciasto czekoladowe.

Domyśla się, że Matylda zerknęła na ceny, bo wybrała najtańszą pozycję w menu.

– To może domówimy do tego jeszcze lody i mus owocowy? Wiesz, często tu przychodzę i są naprawdę znakomite.

Rebeka uśmiecha się, gdy Matylda zdejmuje bluzę, ukazując koszulkę z tekstem *Czasami po prostu brakuje kamieni*. Kelnerka obojętnie prześlizguje się po nim wzrokiem, za to ona dokładnie pamięta ten moment *Forresta Gumpa*, gdy Forrest i Jenny obrzucili kamieniami to, co pozostało z jej domu rodzinnego. Działy się tam naprawdę paskudne rzeczy.

Chętnie powiedziała by Matyldzie, że przesłanie *Forresta Gumpa* to bzdura. Sukces filmu wyrósł na amerykańskiej wierze, że nawet półgłówek może osiągnąć w życiu wszystko, o ile z domu wyniesie wystarczająco dużo miłości, a kogoś, kto jak Jenny wyjdzie z niego emocjonalnie poobijany, czeka prostytutka i przedwczesna śmierć. Absurd. Wystarczy przecież spojrzeć na nią. Matka Rebeki popełniła samobójstwo, ojciec molestował ją seksualnie, a przecież dała sobie w życiu radę.

Morał płynący z *Forresta Gumpa* nie podoba jej się tak samo jak pomysł, by rozdawać medale wszystkim dzieciakom uczestniczącym w meczu, także tym przegranym, albo wręczać wszystkim prezenty na przyjęciu urodzinowym kolegi. Rebeka poprawia na palcu pierścioneł z symbolem koniczyny. Po kolejnym fiasku, jakie poniosła jej macica, Konrad miał już dość terroru owulacyjnego. „I tak nie byłabyś dobrą matką”. Nie widzi dokładnie jego twarzy, jest schowana w mroku, czuje za to wyraźnie zapach L’Occitane. W akwarium pływa rybka, w ogrodzie leżą ubłocone liście, a na biurku widać rozsypany talk. Na chwilę odpływa.

– No więc? – pyta kelnerka z niesłabnącym uśmiechem, jakby na stałe wyrzeźbionym między policzkami. Nadal tu jest.

– Do tego lody i mus z mango – mówi niepewnie Matylda, zerkając na Rebeke.

– A dla mnie ten deserek! – Helenka bez wahania wskazuje najbardziej kolorowy puchar w karcie.

– Oczywiście ten największy. – Matylda przewraca oczami.

– Córki wiedzą, co dobre – komentuje kelnerka, zabierając karty, i Rebeka wreszcie odwzajemnia jej uśmiech.

Gdy dziewczynki zajadają swoje desery, ona wyobraża sobie, że naprawdę są jej córkami. Ociera serwetką nos Helenki, biały od mleka kokosowego udającego bitą śmietanę, i poprawia kosmyk, który wysunął się z jej cienkiego warkoczyka. Anna czesze ją tak dzień w dzień, bo mała upiera się przy fryzurze „na Else”.

– Tu jest bardzo ładnie – mówi dziewczynka, gdy wreszcie ma dość, i odsuwa ruchliwy języczek od pucharku, który jest tylko odrobinę mniejszy od tego na zdjęciu w menu.

– Z jakim krajem kojarzy wam się to miejsce?

– Z Polską – odpowiada z powagą Helenka i miesza lody łyżeczką na długim trzonku. – Po prostu pyszne!

– To przecież kolory flagi brazylijskiej. – Matylda przewraca oczami, a w jej głosie słychać „ty głąbie”.

– Chciałybyście kiedyś tam pojechać, dziewczynki? Do Brazylii? – pyta Rebeka.

– Ale z mamusią, co nie? – Helenka nadal zajmuje się mieszaniem deseru. – Teraz robię zupkę lodową. Mniam. Uwielbiam zupki lodowe.

– Ja pojedę we wrześniu do Niemiec, do mojej mamy – mówi Matylda. – Będę tam chodzić do szkoły i nauczę się niemieckiego.

– No to ja też pojedę. Z tobą, Mati – przymila się Helenka.

– Ale nie z moją mamą.

– Z moją mamusią.

Rebeka patrzy na dziewczynki z niechęcią, bo rozmowa o ich mamach i mamusiach psuje jej nagle humor. Kelnerki z dredami nigdzie nie widać, podchodzi więc do baru, by poprosić o rachunek

Zastanawia się, czy zostawić napiwek, bo dziewczyna nie zrobiła nic wykraczającego poza jej obowiązki. Tak naprawdę nadal jest poirytowana rozmową o mamusiach. Zaraz, zaraz, jest poirytowana nie tylko teraz. Ostatnio w ogóle czuje się rozchwiana i zdaje sobie sprawę, jak bardzo brakuje jej ćwiczeń z Jowitą, która zniknęła z dnia na dzień. Wsuwa dwudziestkę do kieszonki etui z rachunkiem i rozjaśnia wyświetlacz telefonu. Żadnych nowych połączeń czy wiadomości. Anna najwyraźniej bezgranicznie jej ufa.

Mogłaby po prostu zabrać stąd dzieci i zniknąć. One też mają już do niej pełne zaufanie i odrobinę uwielbienia. Z Matyldą byłoby trudniej, bo jest starsza, a do tego bystra. Za to Helenka nie powinna stanowić problemu. Rebeka mogłaby z łatwością nadpisać jej pięcioletnie życie. Kompletnie nowa baza danych. Patrzy z tęsknotą na brazylijskie kolory w logo knajpy i w roztargnieniu przykłada kartę do terminala.

Łapie dziewczynki za ręce i biegną do samochodu, bo na zewnątrz znowu zaczęło padać i tym razem nie jest to letni kapuśniaczek. Deszcz tnie na ukos i smaga ich odsłonięte łydki i ramiona.

ANNA

Wysiadam z samochodu prosto w kałużę, której nie zauważyłam podczas parkowania pod restauracją Bar a Boo w pobliżu Galerii Malta. Nie widziałam Natalii od ponad sześciu lat i jej wiadomość mnie zdziwiła. Owszem, był taki czas, kiedy spotykałyśmy się po pracy na kilka kieliszków czerwonego wina, by odreagować, ale nie byłyśmy nigdy ze sobą specjalnie blisko. Kontakt się urwał, kiedy zaszłam w ciążę z Helenką i odeszłam z pracy w klubie.

Pamiętam, jak kiedyś zapytała, czy pojedę z nią na tygodniową wycieczkę do Tunezji, ale odmówiłam pod wymyślonym pretekstem. Nie wyobrażałam sobie, byśmy miały o czym ze sobą rozmawiać przez bity tydzień, i zdziwiła mnie jej propozycja. Nie chodziło nawet o to, że nie ma bliższej ode mnie koleżanki, ale że nie wyczuła tego we mnie. Gdzie indziej umieszczonego środka ciężkości, innego białka.

Siadamy przy stoliku w środku, bo w ogródku przylegającym do lokalu wszystkie ławki są mokre. Natalia wybiera margheritę z dodatkami, na którą nie mogę patrzeć, bo od początku remontu żywiliśmy się głównie marketową pizzą. Decyduję się na sałatkę grecką i zieloną herbatę jaśminową. Kątem oka notuję jej spojrzenia. Zerka na mnie z nieukrywaną ciekawością, jakby chciała ocenić spustoszenia, jakie wyrządziło we mnie macierzyństwo. Jej ocena byłaby na pewno niższa, gdybym przyjechała tu z Lisiej Chaty, a nie z komfortowego domu Rebeki i Konrada. Wczoraj pofarbowałam nawet włosy.

– Ładnie wyglądasz. Dobrze ci w ciemnych, kto by przypuszczał – mówi w końcu Natalia, wydając ostateczny werdykt.

Przez chwilę się kryguje, że tak nisko jeszcze nie upadła i nie będzie pić sama, ale zamawia kieliszek czerwonego wina.

– Gdzie teraz mieszkasz? Jezioro Stęszewskie? To w ogóle jeszcze Poznań? Brzmi, weź się nie obraż, jak Zadupiewo. Muszę mieć jakąś wizę, żeby cię tam odwiedzić? – Wyjmuje ze śmiechem sztucę z koszyka i układa równo na serwetce.

Przypomina mi się, że zawsze miała zdrowy apetyt, lecz jakimś cudem udawało jej się zachować szczupłą figurę. W klubie krążyły ploty, że tym cudem była bulimia.

– Spodobałoby ci się tam. Dom jest pięknie położony, w sercu Puszczy Zielonki, za płotem dzikie zwierzęta, mokradła, wrzosa – mówię, jakbym czytała folder reklamowy. – Ma nawet nazwę własną, jak pensjonat, Lisia Chata.

– Lisia Chata, powiadasz? – Natalia mruży oczy, jakby próbowała sobie coś przypomnieć.

– Może byłaś tam kiedyś, na przykład na grzybach?

– Ja? Na grzybach? – Dziewczyna śmieje się głośno, jak to ona, zwracając na siebie uwagę. – Hmm, jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić, a ty?

Patrzę na jej dłonie, kiedy nabija na widelec pomidorek koktajlowy. Są starannie wymanikiurowane, a paznokcie długie i różowe. Na niektórych błyszczą maleńkie dzety.

– A jezior nie cierpię, te wszystkie czarne gloniszcza, że dna nie widać, brrr... Wybacz, ale jezioro kojarzy mi się z horrorem. Zawsze wolałam basen. No wiem, co myślisz, okropna ze mnie pańcia, co zrobisz. – Wzrusza ramionami i kolejny pomidorek znika w jej ustach.

Przyglądam się jej ukradkiem. Równe i bardzo ciemne brwi wyglądają na dzieło specjalisty, podobnie zresztą jak usta, rzęsy i piersi. Wydaje się przerysowana jak wiele klientek, które przewinęły się przez nasz klub. Brunetki były wariacjami na temat Natalii Siwiec, a blondynki upodabniały się do Małgorzaty Rozenek czy Blanki Lipińskiej. Zawsze była jakaś brunetka czy blondynka na topie. Ja, rzecz jasna, miałam do czynienia z inną klientką, choć i tu zdarzały się wyjątki potwierdzające regułę.

– Wybacz, że o to pytam, ale skąd miałaś mój nowy numer telefonu?

– No jak to skąd? Zostawiłaś go przecież Zuzie w recepcji i dlatego od razu spróbowałam się z tobą skontaktować. To chyba nie problem?

Mam ochotę klepnąć się w czoło. Tamtego wieczoru, gdy poznałam Rebeke na parkingu podziemnym Galerii Malta, faktycznie najpierw zaszłam do klubu i spotkałam się z szefową. Pomyślałam, że może już czas, bym wróciła i zarobiła więcej pieniędzy, by wesprzeć nasz budżet remontowy. Ale to było, zanim jeszcze zrobiłam test ciążowy.

– Miałam nadzieję, że do nas wrócisz, wiele osób o ciebie pytało przez te lata.

Kręcę głową z uśmiechem, wskazując brzuch ukryty pod luźnym swetrem narzuconym na letnią sukienkę.

– W dodatku powody są dokładnie te same, co poprzednio. Historia lubi się powtarzać.

– No to uff, bo nie chciałam popełnić faux pas i pytać, który miesiąc, gdyby przypadkiem się okazało, że ci się przytyło – mówi Natalia, odsuwając ze śmiechem talerz. – Gratulacje! – Przytula mnie mocno, serdecznie, a przy okazji, jak to ona, wygina się seksownie, robiąc show przeznaczone dla dwóch dwudziestoparolatków, którzy wiodą za nią zahipnotyzowanym wzrokiem.

Nie sądzę, by którykolwiek z nich miał u niej szanse, wyglądają na studenciaków, ale Natalia zawsze lubiła przyciągać męskie spojrzenia.

– Nie da się ukryć, że jeszcze nie zrzuciłam dodatkowych kilogramów, które zostały mi po ciąży z Helenką.

– No co ty. Mówiłam szczerze. Świetnie wyglądasz, ciąża ci służy.

Komplement jest na wyrost, bo nadal kiepsko sypiam, a każda deficytowa godzina odkłada się w workach pod oczami, ale i tak jestem jej wdzięczna.

– A co u ciebie?

– W sensie mąż i dzieci? Bez zmian, kochana, bez zmian. Musiałabym znaleźć porządnego faceta, a to wymierający gatunek. Niewykluczone, że dorwałaś ostatniego. Przypomnij mi, czym się zajmie twój wybranek? To, zdaje się, było coś skomplikowanego.

Wątpię, żeby kiedykolwiek wiedziała. Poznałam Bartka dwa lata po odejściu z klubu.

– Uczy chemii w podstawówce.

– Ach, czyli facet, który od szmalu woli wartości. – Mruga do mnie z uśmiechem i wraca na swoje krzesło, stukocząc obcasami.

– Coś w tym stylu.

– No i dobrze – prycha Natalia. – Książkę mogłabym napisać o romansach z kasiastymi, którzy są zajęci. – Wydyma usta, a jej długie czarne włosy łapią światło bocznej lampy. – Jak twoja córka? Zuza mówi, że ma na imię Helena. Ślicznie. Pokaż jakieś zdjęcia, na pewno łamie w przedszkolu serduszka. No a teraz? Będzie siostrzyczka czy brat?

Natalia słucha moich opowieści o Helence i o remoncie Lisiej Chaty całkiem już rozluźniona po kieliszku czerwonego wina i w rewanżu obgaduje Sylwię, szefową, która nie zmieniła się ani na jotę i nadal zarządza klubem jej rękoma, rzadko pojawiając się osobiście.

– Może w końcu ją zastąpisz? Po tylu latach na pewno więcej wiesz o tym, jak klub fitness funkcjonuje na co dzień i co można by usprawnić.

– Oj nie, to nie dla mnie. – Natalia potrząsa głową. – Szczerze mówiąc, ja też niedługo będę się żegnać z Diamentem.

– Masz coś nagrane?

– Znajdę. Sześć lat w jednym miejscu to za długo. Zresztą... – Zwleka, czekając, aż kelner zabierze nasze puste talerze, i konspiracyjnie obniża głos. – Napisałam ci, że ostatnio rozpytywała u nas policja, a to mi się nie podoba.

– Rozmawiali z tobą?

– Z Zuzą. Wygrzebali sprawę tamtego naszego klienta, którego wyłowili ze stawu w okolicach Malty. Przeżywałyśmy go Wiking. Pamiętasz go?

Kręcę głową, chowając twarz w półmisku z sałatką, ale Natalia nie daje za wygraną.

– Zuza się w nim podkochiwała. Naprawdę nie pamiętasz? Przez jakiś czas było o tym głośno, mówili w lokalnych wiadomościach, pisali w sieci. Na pewno jeszcze wtedy u nas pracowałaś, bo pamiętam, że miałaś go w swojej grupie. Podobno pojawiły się nowe fakty w sprawie jego śmierci.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Widzę tylko jej pociągnięte błyszczkiem wydęte usta.

– Jakie fakty?

– Nie mam pojęcia. Ze mną nie rozmawiali, bo akurat miałam wolne, czyli to musiał być poniedziałek. Wypytywali Zuzę i podobno chcieli porozmawiać też ze mną i z tobą.

– Z nami? Dlaczego?

– Bo obie pracowałyśmy wtedy w klubie, a Wiking był naszym klientem premium. Choć co ja im niby mogę powiedzieć po tylu latach... – Natalia strząsa bransoletkę z przedramienia na nadgarstek. – Przystojniak z niego był, tyle wiem.

Kiwam niemrawo głową. Myślę o zrobionym przez matkę zdjęciu walizki w kwiatki i o moim starym telefonie, który zaginął. Może to jednak nie ona przełożyła aparat? Czy wymienione z Wikingiem SMS-y to są właśnie te nowe informacje w sprawie jego śmierci? Ale przecież policja nie włamałaby się do mieszkania matki, by wykraść komórkę. Nic z tego nie rozumiem. Natalia błędnie interpretuje mój wyraz twarzy.

– Widzę, że wreszcie go sobie przypomniałaś. No nie udawaj. Na widok jego bicepsów i olśniewającego uśmiechu też miękły ci kolana. Dla mnie był za stary, ale tobie i Zuzie Meduzie się podobał.

Dwaj studenci wypili już kilka piw i zaczynają się coraz głośniej zachowywać. Teraz oni chcą zwrócić na siebie naszą uwagę. Chyba nie widzą mojego okrągłego brzucha schowanego pod stołem.

– No w każdym razie... Zuzka mówiła wtedy, że szkoda, że akurat pan śliczny wziął się i utopił, podczas gdy klubowe grubasy mają się dobrze. A człowiekowi zawsze się wydaje, że lada chwila ten i ów zejdzie na zawał. – Jej ostatnie słowa giną w niekontrolowanym chichocie.

Ignorowani przez nas studenci płacą za piwo i wychodzą na deszcz. Jeden z nich podnosi rękę na pożegnanie. Natalia przestaje się śmiać.

– A nam się wydawało, że ten facet ma wszystko, prawda? To jak ten... No, jak mu tam, ten francuski kucharz, celebryta.

– Anthony Bourdain?

– No właśnie. Przystojny, bogaty, sławny, utalentowany, światowiec, a pewnego dnia wziął i się powiesił. Dziwne, nie?

– Zuza nie powiedziała ci nic więcej? – staram się wrócić do tematu nowych informacji w sprawie śmierci Wikinga.

– Zuza Meduza? Zrobiła się jeszcze bardziej meduzowata, odkąd zaistniała – Natalia robi w powietrzu zajaczki palcami – na Instagramie. Dała kilka postów z deską klozetową w roli okienka samolotowego i już ma się za wielką influencerkę. Czyli nikt z policji się z tobą nie kontaktował? Ze mną też nie – dodaje naburmuszona. – Powinni, bo przecież pracuję w klubie dłużej od niej. Ty i ja byłyśmy pierwsze. Szefowej nie liczę. Pozostali przychodzą i odchodzą. Klienci, trenerzy, instruktorki... Wiesz, nie chce mi się już nawet uczyć ich imion. Po co?

Patrzę na ślady deszczu na szybie. Zacina coraz mocniej, a szaruga na zewnątrz ciemnieje. Powinam wracać do domu, bo nie chcę, by Rebeka poczuła się wykorzystywana. Ugościła mnie i dzieci, ale nie jest moją darmową niańką.

Kiedy kelner przynosi rachunek, sięgam do torebki, ale Natalia szybciej przykłada kartę do terminala.

– Nie wygłupiaj się, to ja cię wyciągnęłam z tej twojej głuszy. Miło było cię zobaczyć i powspominać.

Podwożę ją na osiedle Polanki i zgodnie z jej prośbą zatrzymuję samochód pod zamkniętym o tej porze gabinetem kosmetycznym. To nad nim Natalia wynajmuje mieszkanie ze współlokatorką i wygląda na to, że zostawia tu sporą część pensji.

Kolorowe napisy na witrynie obiecują najniższe w Poznaniu ceny za zabieg przedłużania rzęs i powiększania ust kwasem hialuronowym. Patrzę, jak wycieraczki miarowo zgarniają wodę z przedniej szyby.

– Co teraz robisz? – pyta Natalia.

– Jadę do domu.

– Mam na myśli, jak zarabiasz na życie, no bo z męża chyba nie wyżyjesz, skoro uczysz w podstawówce.

Niby żartuje, jak zawsze, ale zaczyna mnie to drażnić.

– Robię korekty tekstów, no i redakcje – dodaję na wyrost, bo jedna jaskółka wiosny podobno nie czyni.

– Prace magisterskie? Książki? Powieści? No popatrz. Nie miałam pojęcia. Choć czekaj, mogłam się spodziewać. Ty zawsze coś czytałaś w przerwach między zajęciami. Da się z tego wyżyć?

Uśmiecham się tylko. Czuję zapach wina i deszczu, gdy Natalia całuje mnie w policzek i otwiera drzwi.

– Daj znać, jak policja się z tobą skontaktuje – prosi, a ja posłusznie kiwam głową, choć nie mam takiego zamiaru. W przeciwieństwie do niej mam nadzieję, że nikt nie zadzwoni, i żałuję, że zostawiłam nowy numer Zuzie.

Zawracam na końcu parkingu, a gdy ponownie mijam gabinet kosmetyczny, widzę, że Natalia nie weszła jeszcze do środka. Stoi pod daszkiem, odwrócona do mnie tyłem, z komórką przy uchu.

ANNA

WGruszczyńie już nie pada, ale ulice są mokre i śliskie od deszczu. Podjeżdżam pod ciemny dom, który na pierwszy rzut oka wydaje się pusty. Zaraz po przyjeździe dostałam od Rebeki komplet kluczy i tylko dlatego nie stoję teraz bezradnie na wycieraczce.

– Hop, hop! – wołam głupawo jak postać z *Kubusia Puchatka*, którego rano czytałam Helence, ale odpowiada mi głucha cisza.

To pewnie skutek dzisiejszego spotkania z Natalią, rozmowy o Wikingu, policji i tajemniczych nowych faktach, które pojawiły się w sprawie jego śmierci, ale zaczynam odczuwać niepokój. Narasta, gdy przemierzam salon, w którym wszystko leży schludnie na swoim miejscu, jakby nikt tu nigdy nie mieszkał. Niewygodny fotel w pepitkę na krótkich nóżkach i cała reszta sprawiają wrażenie teatralnych dekoracji.

W kuchni na szczęście jest mniej idealnie i w zlewie znajdują trzy kubki, w tym jeden z zimną herbatą i wyblakłym śladem koralowej szminki, jaką maluje się Rebeka. Na marmurowym blacie, pod tablicą z miłosnym wyznaniem Konrada, leży tablet Helenki. Dotykam przycisku i czarny monitor wraca do życia, a komputer zaczyna pompować treści. To jakaś gra, której u małej nie widziałam, ale rozpoznaję Elbę, Annę i bałwanka. Przypominam sobie reklamę w telewizji i to, jak Helenka suszyła mi głowę, żebym ją kupiła. Muszę porozmawiać z Rebeką, żeby nie ulegała każdej zachciance małej, która już i tak okręciła ją sobie wokół palca. Lubi na wszystkich wypróbować swój czar.

– Rebeka? Matyllda? Helenka? – Mój głos drży, gdy wchodzę na górę po schodach ze szkła z ażurową balustradą, które wyglądają w tym świetle jak wykute w lodzie.

Na widok pustych łóżek dziewczynek serce podchodzi mi do gardła, ale powtarzam sobie jak mantrę, że powinnam zachować spokój. Pewnie Rebeka zabrała je na spacer. W deszczu? Przysiadam na kołdrze w motywy z *Krainy lodu*, głaszcząc bezwiednie blond warkocz Elsy wijący się na poszwie.

W pokoju, który Rebeka przekazała do dyspozycji dzieci, panuje umiarkowany bałagan. Szczotka z kłębkim ciemnych włosów Matylldy leży obok jej tabletu, a komórka dziewczynki podłączona jest do kontaktu. Pewnie jak zwykle zużyła baterię do zera i dlatego nie zabrała ze sobą telefonu. Na dywaniku w kolorowe misie leżą krótkie spodenki, w których Helenka paradowała dziś od rana, i jej różowy letni top z kapturkiem. Piżamę widzę na jej otwartej walizce, z której ciuchy wysypują się kolorową tęczę. Zdaje się, że przed wyjściem Rebeka szukała dla mojej córki jej ulubionej niebieskiej sukienki wykończonej tiulem, bo nie ma jej w stosie ubrań.

Pukam do sypialni Rebeki, a gdy nikt nie odpowiada, ciągnę za kłamekę. To przestronny pokój urządzone, jak reszta domu, w bieli i kilku odcieniach szarości. W oknach wiszą srebrne zasłony, a wielkie łóżko zasłane jest pościelą w kolorze grafitu. Pod oknem stoi puste biurko, a na nim antracytowa lampa. Na ścianie przypominającej szorstki łupek wisi obraz, który w tym pokoju pełni funkcję kontrastowego akcentu, o jakim wspominała Rebeka, gdy po raz pierwszy byłam w tym domu.

To jakaś abstrakcja, a wzajemnie przenikające się geometryczne kształty przy bliższym przyjrzeniu się zamieniają się w ciała lisów. Ich przybrudzone kolory i kanciastość pysków wzmagają mój lęk. Opieram rękę o ścianę zimną jak igloo.

Za drzwiami sypialni są kolejne drzwi, ostatnie w korytarzu, i trafiam do garderoby gospodarzy. Szczerze? Ja i Bartek nie mamy wspólnie tyle ciuchów, by zapełnić choćby połowę tych szaf. Przesuwne drzwi po lewej stronie są otwarte i widzę kilkadziesiąt par kobiecych butów. Niektóre nawet nie zostały jeszcze wyjęte z pudełka. Na wieszakach wiszą wyprasowane sukienki, spodnie i koszule Rebeki. Dominują biele i szarości, choć jest też kilka czarnych. Nie widziałam jej dotąd w czerni.

Nie muszę dotykać ubrań, by wiedzieć, że wszystkie są drogie i ze szlachetnych materiałów, żadnego poliestru. Przypuszczam, że wielu z tych ciuchów Rebeka nie miała nigdy na sobie. Przytulam twarz do białego sweterka, który na mojej skórze jest ciepłą i miękką mgiełką. W ostatniej wnęce wiszą torby i torebki Rebeki. Jest ich dużo, jak na wieszaku w sklepie, i niektóre są wizytowe, a inne codzienne. Wyglądają na nienoszone, ale to również górna półka, co oznacza, że w przeciwieństwie do moich jednosezonowych produktów z sieciówek mogą je nosić pokolenia kobiet.

Pod półkami i wieszakami widzę rzędy szuflad, zapewne z bielizną. Nie otwieram ich. I tak czuję się obrzydliwie, myszkując po tym domu. Po prawej stronie też są szafy, pewnie Konrada, ale drzwi do nich są szczelnie zamknięte. Słyszę na dole jakiś dźwięk i pospiesznie kieruję się do schodów. Sprawdzam telefon. Mam tylko SMS od Natalii, która dziękuje mi za spotkanie i pisze, że *było mega i koniecznie musimy to powtórzyć!* Jasne.

Wybieram numer Rebeki, ale od razu włącza się poczta głosowa. Cóż, takie rzeczy się zdarzają, pewnie rozładował jej się telefon, a ja niepotrzebnie wpadam w panikę. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Bartka, ale przecież jeszcze nie ma powodu, bym biła na alarm. Czym ja się właściwie denerwuję? Nie powiedziałam Rebecce, że dziewczynki nie mogą opuszczać domu. Wdech, wydech, wdech, wydech, wszystko jest w porządku. Nic złego się nie dzieje.

Wychodzę do ogrodu, wołając swoje idiotyczne „hop, hop!”, ale i tu odpowiada mi cisza, nawet bardziej dojmująca, bo tam jest ciemno, powietrze przepełnia wilgoć, a gałęzie otrząsają się z deszczu. Przypominam sobie pogrzeb jaskółki zakopanej pod krzewem jaśminu i to, jak się tu nagle zrobiło ponuro. Ciężkie meble na patio, ze szkła i kamienia,

które zachwyciły mnie jeszcze dziś rano, kiedy piłyśmy tu z Rebeką mrożoną herbatę, teraz wydają mi się surowe i odarte z wdzięku.

Myślę o martwym ptaku, zaginięciu Hugo i Buki, moim starym telefonie z SMS-em Wikinga i o zdjęciach matki. Do tego policja, która chce ze mną rozmawiać. Za płotem słyszę ujadanie psa i szybko wracam do środka. Staram się odegnąć niepokój oddechem, ale on, zamiast zwalniać i aktywować układ parasympatyczny, jak na złość przyspiesza.

Strach ustępuje miejsca złości. Jestem przecież matką Helenki, a Matylda jest pod moją opieką, mam więc prawo, by się w tej sytuacji zdenerwować! Gdzie są dzieci? Dlaczego Rebeka zachowuje się tak nieodpowiedzialnie? Cholera jasna, wystarczyło przecież wysłać SMS czy napisać coś na tej głupiej ścianie pomalowanej farbą tablicową. Choćby: *Pojechałyśmy do sklepu, będziemy za godzinę!* Nie wymagam zbyt wiele. Myję brudne kubki, by zająć czymś ręce, a potem idę na górę i otwieram laptop.

Uruchamiam wyszukiwarkę i wpatruję się jałowo w ekran. Co tak naprawdę wiem o Rebecce? Czy kiedykolwiek podała mi swoje nazwisko? No tak, wizytówka. Na eleganckim kartoniku był napis *architekt wnętrz*, jej oryginalne imię, na które od razu zwróciłam uwagę, ale z całą pewnością także nazwisko. Jakubińska? Jakubowska? Kurde. Nie próbowałam go nawet zapamiętać. Rebeka Jaku...

Gdzie jest ta cholerna wizytówka? Przeszukuję torbę, opróżniam z drobiazgów i wytrzepuję nad łóżkiem, ale nigdzie jej nie ma. Musiałam ją w pośpiechu wyrzucić z paragonami. Przypominam sobie pięknie urządzonej garderobę Rebeki. Za to ja? Wieczny chaos i non stop czegoś szukam. Gdzie ona jest?

Gula, która od powrotu do domu formuje się w moim żołądku, dociera do krtani i tam utyka, a pod powiekami czuję łzy. Chryste, tego jeszcze brakowało, żebym się teraz rozryczała jak dzieciak. Sprawdzam komórkę, bo może dodałam Reбекę do kontaktów wraz z nazwiskiem, ale niestety widnieje tam tylko jej imię. Może powinnam zadzwonić do Bartka? Tylko o co go zapytam? Hej, nie wiesz przypadkiem, jak ma na nazwisko moja nowa przyjaciółka, która właśnie zniknęła z Helenką i Matyldą?

Znowu dobiega mnie z dołu jakiś dźwięk, tym razem głośniejszy, głuchy łomot, jakby upadło coś ciężkiego. Schodzę po schodach i staję na środku holu, wpatrując się w drzwi, które prowadzą do garażu. Fakt numer jeden: powinnam od razu tam zajrzeć i sprawdzić, czy zniknął mercedes Rebeki. Fakt numer dwa: za garażem znajduje się oddzielone od reszty domu biuro. Podobno jest dźwiękoszczelne, więc jeśli zamknęła się tam z dziećmi, to na pewno mnie nie słyszą.

Bingo, mercedesa nie ma. Rebeka z pewnością pojechała do sklepu i zabrała dziewczynki ze sobą. Rozglądam się po garażu i szybko identyfikuję źródło łomotu. Kilka składanych krzeseł opartych o kartony i plastikowe pojemniki osunęło się i uderzyło o kamienne płytki.

Podnoszę je i przysuwam do pozostałych krzeseł, po czym podpieram znalezionymi w kącie deskami, by znowu nie spadły. Mam już odwrócić się na pięcie, gdy coś

w wyglądzie tych desek wydaje mi się znajome. Są tam też szczebelki i dociera do mnie, że patrzę na części rozłożonego dziecięcego łóżeczka.

Otwieram pierwszy od góry plastikowy pojemnik i wyjmuję coś, co wygląda na ubranko dla dziecka. To różowe niemowlęce śpioszki, pod którymi znajduję wiele innych, ładnych i drogich. Słyszę silnik samochodu i dźwięk otwieranej bramy na zewnątrz, więc w popłochu zamykam pojemnik i odkładam go na miejsce, a drewniane części łóżeczka odnoszę do kąta, tam, gdzie je znalazłam.

Gdy samochód Rebeki wjeżdża do garażu, siedzę już w fotelu i wertuję album z podręcznego stolika. Dadaizm w sztuce nigdy nie interesował mnie mniej, ale wbijam wzrok w *Fontannę* z pisuaru Duchampa z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.

REBEKA

Po wczorajszych deszczach nie ma już ani śladu. Kolejny lipcowy dzień zaczął się słonecznie, a w powietrzu wisi afrykański upał, słupek rtęci ma dziś sięgnąć trzydziestu siedmiu stopni. Helenka tapla się w małym dmuchanym basenie, który Rebeka kupiła wczoraj z dziećmi w Lidlu w drodze powrotnej z kawiarni, a Matylda ogląda stare filmy w salonie za spuszczoneymi roletami. W rzadkich momentach, gdy mała przestaje hałasować, słychać cykanie świerszczy. Podmiejski Gruszczyn jest wyludniony. Mieszkańcy są w pracy albo dawno już wyjechali nad morze.

– Ładnie ci w nim – komentuje Rebeka, gdy Anna pojawia się na patio w jednoczęściowym zielonym kostiumie, który od niej pożyczyła. Materiał opalizuje w słońcu jak skóra węża.

Anna pociąga za materiał, by mocniej zasłonić pośladki, choć to nie ten fason. Od wczoraj jest jakaś zamyślona, nieswoja. Nie zmyliła jej pytaniami o Duchampa znad albumu o sztuce, który przeglądała, gdy Rebeka wróciła z dziećmi do domu. Coś się stało podczas tajemniczego spotkania, na które pojechała? Dostała złą wiadomość? Siedzą w słońcu i niewiele rozmawiają. Z jednej strony to wina upału, z drugiej jednak można wyczuć dystans, którego wcześniej nie było.

– Mam już dość, chowam się w cieniu. – Anna przesuwa okulary przeciwsłoneczne na czoło i przenosi leżak pod parasol, dalej od szalejącej w basenie Helenki, która udaje teraz głodnego, rozwścieczonego krokodyla i chlapie na wszystkie strony.

– Później pojedę do Lisiej Chaty zobaczyć, jak im idzie – mówi, głaszcząc pokaźny już brzuch pod opalizującą tkaniną. – Jak zwykle nie mogę się dodzwonić do Bartka, pewnie są problemy z zasięgiem. Ale nie martw się, tym razem nie zostawię ci dziewczynek na głowie. Zabiorę je ze sobą.

– Dlaczego właściwie Lisia Chata? – pyta Rebeka.

– Sama nie wiem. Ludzie z okolicy mówią tak na ten dom od lat. W Puszczy Zielonce zawsze było pełno lisów, pewnie dlatego.

Rebeka rozsmarowuje krem z filtrem na udach i łydkach. To pięćdziesiątka. Na głowę włożyła kapelusz z szerokim rondem i przypięła go do rudych pukli staroświeckimi szpilkami. Czytała niedawno powieść, której bohaterka używała szpilek do kapelusza, i od razu zapragnęła je mieć.

– Chętnie pojedę z tobą i zobaczę, jak sobie poradzili z osadzeniem nowych okien.

– Mam nadzieję, że się udało. – Anna wzdycha, po czym przynosi z kuchni ćwiartkę arbuza i ostry nożyk. Odkrawa półksiężyc i wkłada do ust, a resztę sieka sprawnie

w kostkę i serwuje na półmisku.

– A co słyhać u twojej siostry? – pyta, nie patrząc na Rebekę. Macha do Helenki, która włożyła dmuchane rękawki i próbuje teraz pływać pieskiem.

Dlaczego tak nagle pyta o Jowi?

– Brakuje mi jej.

– To chyba nic dziwnego. Często cię odwiedza?

– Jak nie ma Konrada, to często. Ale teraz, jak wspominałam, wyjechała.

– Nie lubią się? – Anna wsuwa do ust kawałek arbuza i wolno go przeżuwa, a Helenka krzyczy z basenu:

– Mamusiuuuu, ciociuuuu! Patrzajcie, jak ja pływam! Jaki to styl?

– Fatalny, rozpaczliwy – mruczy pod nosem Anna, ale bije córce brawo i Rebeka do niej dołącza, zadowolona, że nie rozmawiają już o Konradzie i Jowi.

– Wcale nie chcę jechać do domku, chcę pływać cały dzień! – Mała niechętnie wychodzi z basenu i daje się zawinąć Annie w ręcznik, wykrzykując, że właśnie zrobiono z niej burrito.

Matylda też próbuje protestować. Jej blada twarz jaśnieje w półmroku i Rebeka zdaje sobie sprawę, że dziewczynka spięła gęstą grzywkę i po raz pierwszy odsłoniła twarz. W tej fryzurze wydaje się radośniejsza niż zwykle.

– Zaczęłam właśnie oglądać trzecią część *Ojca chrzestnego*. Mogę zostać?

– Wykluczone, musisz wreszcie wyjść na powietrze, zobaczyć się ze słońcem – gdera Anna.

Mija właśnie pięć dni, odkąd przyjechała tu z dziećmi i walizkami, ale tak szybko wtopiły się w krajobraz domu, że Rebecę się wydaje, że są tu od zawsze. Dziewczynki natychmiast się zadomowiły i trudno już sobie wyobrazić tę przestrzeń bez nich. Matylda odkryła kolekcję filmów Konrada i porzuciła *Forresta Gumpa* dla *Ojca chrzestnego*. Jak zwykle nie interesują jej role kobiece, nawet rola Diane Keaton, za to namiętnie recytuje dialogi z udziałem Ala Pacino. Zdetronizował Toma Hanksa i jest obecnie jej idolem.

Wciska pauzę i odwraca się do nich z kamienną twarzą.

– „Kiedy przyjdą... przyjdą po to, co kochasz” – mówi bez mrugnięcia okiem Michael Corleone w jej wydaniu.

Jest w tej dziewczynce coś, co wydaje się Rebecę cholernie bliskie. Smutek? Dążenie do wolności? Oby tylko Matylda nie oddała własnej za garść srebrników.

Rebeka czuje ostre ukłucie melancholii, jak spod tłoka strzykawki, gdy przypomina jej się odległa noc w Westernowym Miasteczku. Zdjęła wtedy wszystkie kłódki i otworzyła zagrody, klatki i kurniki. Tarpany, kury, owce, strusie i kucyki przystanęły niepewnie, pawie wrzeszczały, a króliki zbiły się w futrzastą gromadkę. Miała wtedy szesnaście lat i palce pożółkłe od nikotyny. Papierosy i zapalniczkę chowała w słomie za klatkami królików, a choć ojciec obiecywał, że złoi jej skórę za palenie, to nie tknął jej już wtedy ani razu.

Gdy wypuściła wszystkie zwierzęta z minizoo, Konrad zaczął klaskać. Może to był przeznaczony dla niej aplauz, a może zwyczajnie chciał, by zwierzęta szybciej się rozpierzchnyły. Strusie ruszyły pierwsze, za kurami kicały króliki. Konrad był już wtedy pełnoletni i zabrał ją ze sobą tej samej nocy. Ojcu powiedział, że ma jej nie szukać, nie ścigać, nie informować policji. W innym wypadku, mruknął, „wszyscy się dowiedzą, co jej robiłeś przez te lata”. Od początku „tykał” jej ojca i tłumaczył jej, że na „pan” trzeba sobie zasłużyć.

Matylda daje się w końcu namówić i jadą we czwórkę do Lisiej Chaty. Praca jeszcze wre, gdy przyjeżdżają na miejsce, a pod płotem stoi biały van ekipy Jarka. Nowe okna na piętrze są już wstawione, a jeden z pracowników przygotowuje otwory na dole, bo ekipa montażowa ma wrócić nazajutrz. Gruz w ogrodzie został częściowo uprzątnięty i wszystko wygląda nieco lepiej, ale Jarek od razu informuje, że są opóźnienia i trochę to jeszcze potrwa, zanim z kranów popłynie woda. Nawet na zimną nie ma jeszcze szans. Anna wychodzi z Bartkiem do ogrodu i Rebeka korzysta z okazji, by porozmawiać z szefem ekipy na osobności. Idą do starej komórki na piętrze, w której udało jej się zaprojektować drugą łazienkę.

– Pieniądze się kończą, także tego, musi pani dać więcej. – Jarek przysiadł na odwróconej skrzynce na owoce. Na spodniach ma szerokie i grube nakolanniki, w których wygląda jak podstarzały rolnik.

Rebeka przykładła palec do ust i wychodzi na korytarz, by się rozejrzeć, czy nikt ich nie słyszy. Formalnie to przecież Bartek rozlicza się z Jarkiem, który wystawia faktury za materiały i usługi. Tak naprawdę to jednak Rebeka dopłaca do tego interesu i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć.

Rebeka zerka niespokojnie przez okno, ale Anna i Bartek nadal są w ogrodzie. Helenka w żółtej sukience w paski krąży wokół nich jak niespokojny owad, a Matylda przysiadła w cieniu na stosie desek przykrytych grubą folią.

Architektka sięga do torebki po przygotowany wcześniej plik banknotów obwiązany gumką.

– Ale wszystko musi iść zgodnie z planem. Ani Bartek, ani Anna nie mogą się dowiedzieć o naszej umowie. To jest bardzo dobre zlecenie i pan o tym wie.

– No okej. – Mężczyzna wprawdzie liczy banknoty i wkłada je do kieszeni. – Mi to tito w sumie. Byle kasa się zgadzała. Zapomniałbym, dotarły dziś płytki, chce pani sprawdzić?

Rebeka kiwa głową i gdy schodzą na dół, otwiera wielki karton i zdejmuje folię ochronną z górnej paczki.

To piękna ceramika hiszpańskiej marki Aparici z kolekcji Omega Gold, której cena jest adekwatna do jakości. Rebeka powiedziała Annie, że jeden z jej klientów z nich zrezygnował, ale i w tym wypadku wyłożyła pieniądze z własnej kieszeni. Może sobie na to pozwolić. Przy rozsądnym gospodarowaniu kasy Konrada starczy jej do końca świata.

Zerka ponownie przez okno. Zdaje się, że Bartek i Anna się kłóca, Helenka nadal fruwa, udając osę, ale Matylda gdzieś zniknęła. Rebeka idzie do sypialni, by wymierzyć ścianę, gdzie wcześniej wisiało kiczowate *Zwiastowanie*. Tym razem zawisnie tam stylowa winylowa tapeta na flizelinie z kolekcji inspirowanej Dalekim Wschodem. Gdyby zdradziła się na samym początku, że przygotowała dla nich projekt, uznaliby to za podejrzanę. Robi to więc stopniowo, a za każdym razem koncepcja wystroju przychodzi niby z zewnątrz. Jest zrzędzeniem ślepego losu i okazjnie zdobytych materiałów w określonym stylu, które dziwnym zbiegiem okoliczności pasują do ich domu.

– Kłóca się – mówi Matylda, pojawiając się nagle w korytarzu i opierając się o framugę drzwi.

– O kolor ścian? – żartuje Rebeka.

– Wujek chce, żebyśmy już tu wróciły, ale ciocia chyba nie chce. Ja też nie chcę. – Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Tak naprawdę chciałybyś już pewnie pojechać do mamy? – pyta Rebeka.

– Może i tak. Ale lubię być u ciebie.

– Ja też to lubię.

Matylda robi się jeszcze smutniejsza. Gdzieś z boku milknie ryk wiertarki i teraz słyhać, że Bartek i Anna się kłóca, choć nie można wyodrębnić poszczególnych słów. Przed wyjazdem Rebeka zostawia dodatkowy plik banknotów w kieszeni Jarka. Nie wybrałaby go do tego zlecenia, gdyby mu nie ufała, ale woli mieć absolutną pewność, że zrobi, co trzeba, i nie puści pary z ust.

Wieczorem, gdy Anna i dzieci idą spać, ona schodzi do biura i otwiera laptop. Skupia wzrok na czarno-białym obrazie. Jest niewyraźny, rozpikselowany, ale wystarcza, by zobaczyć leżące w swoich łózkach dziewczynki. Helenka chyba już śpi, za to Matylda zapaliła lampkę i czyta książkę. Przechodzi do podglądu pokoju gościnnego i widzi, jak Anna przewraca się z boku na bok. Wyłączyła wprawdzie lampę, ale jeszcze nie zasnęła. Po chwili sięga po leżącą na stoliku nocnym komórkę. Coś tam sprawdza, czyta, ślizga palcem po ekranie i odkłada aparat na miejsce. Rebeka włącza obraz z pozostałych pomieszczeń w domu, w tym także z garażu, oranżerii i biura. Widzi własną twarz, która nagrała się, gdy siedziała przy swoim biurku i pomachała kamerze ukrytej za hebanową rzeźbą przedstawiającą afrykańską rodzinę.

Później wybiera nagranie z poprzedniej doby, które o północy zostanie automatycznie skasowane i nadpisane przez bieżące. Widzi, jak Anna wraca ze spotkania do domu, parkuje auto i zaczyna przeczesywać ich dom. Ale z niej szperaczka, aż trudno to sobie wyobrazić. Wchodzi do biura, sypialni i garderoby, nawet do garażu. Ogląda rozłożone na części łóżeczko, wyjmuje z pojemnika dziecięce ubranka. Przez chwilę patrzy nawet w kamerę, jakby ją zauważyła, ale to niemożliwe. Jest dobrze ukryta w przeszklonej szafce z gaśnicą.

Rebeka znowu jest na siebie zła, bo powinna była od razu wywieźć dziecięce rzeczy. Niepotrzebnie zostawiła je w garażu jako pamiątkę nie wiadomo po czym. Kolejny błąd. Zamyka oczy i wraca to okropne wspomnienie, ni to oniryczne, ni to prawdziwe. Widzi stopy Konrada brodzące w pokrytych błotem liściach, jego twarz nad białym kołnierzykiem, lepką od potu, z grymasem złości. Czuje ponownie zapach rozsypanego talku i L'Occitane męża, pogoń rybki za własnym cieniem między czterema ścianami akwarium.

ANNA

Szczęście potrafi się uśmiechnąć w najdziwniejszych okolicznościach, a do mnie uśmiechnęło się dziś z kubła na papierowe odpadki.

Wczoraj nie udało mi się niczego wyciągnąć z Jarka, którego moje pytania o Rebeke tylko zniecierpliwiły. Potraktował mnie protekcyjnie, jak upierdliwą pannę czyste rączki, która nic nie robi, a do wszystkiego chce się wtrącać. Nie zapytałam go wprost o nazwisko Rebeki, ale liczyłam, że wypłynie podczas wymiany uwag na jej temat. Dowiedziałam się tylko, że od dawna z nią współpracuje i jest z tego bardzo zadowolony, więc nie chce jej podpaść.

Potem wyjął z torby śniadaniówkę i termos, a ja zrozumiałam, że niczego więcej się nie dowiem. Zrobił się wprawdzie miłszy, gdy zobaczył Bartka, ale temat Rebeki rozmył się w budowlanych żarcikach, których nigdy nie zrozumiem. Taki właśnie jest mój Bartek. Szybko nawiązuje kontakty z ludźmi, instynktownie wyczuwając, jak się z nimi obchodzić. Pewnie nauczyły go tego lata pracy z dziećmi.

Za to dziś rano widziałam, jak Rebeka przegląda pocztę wyjętą ze skrzynki i jedną kopertę wkłada do torebki, a resztę wyrzuca do kosza na papierowe odpadki. Uważnie śledziłam jej ruchy i gdy tylko wyszła z kuchni, zaparzyłam dla niej herbatę, a dla siebie zioła uspokajające, które znalazłam na półce, po czym wygrzebałam ulotkę z naklejką adresową. Rebeka Jakubik, bingo.

Ziółka okazały się średnio uspokajające. Dochodzi druga w nocy, a ja nadal siedzę przed ekranem, próbując znaleźć coś na temat Rebeki Jakubik, bo przecież po każdym zostają w sieci nieścieralne ślady. Nie wiem, co właściwie spodziewam się znaleźć. Szukam chyba tajemnic, z których mi się nie zwierza, bo przecież nadal nie powiedziała mi o dziecku. Musiało tu mieszkać jakieś niemowlę, myślę, przypominając sobie pojemnik z ciuszkami i rozłożone łóżeczko. Grzebię w Internecie, usprawiedliwiając się obawą o dziewczynki. Czy nie powinnam wiedzieć więcej o kobiecie, u której zamieszkałyśmy?

Google wypłuwa dwa wyniki, ale żaden nie pasuje do „mojej” Rebeki. Wyszukiwania prowadzą na stronę geodetki z Sieradza i do kilku artykułów z informacjami o sukcesach młodocianej lekkoatletki. Żadna z nich nie jest projektantką wnętrz. Może Rebeka nie musi się już reklamować i jej firma jest czymś w rodzaju ekskluzywnego klubu dla wtajemniczonych? Majętni ludzie lubią mieć poczucie, że oferowane im usługi nie są powszechnie dostępne.

Po przeczesaniu Internetu sprawdzam też Facebook i Instagram – założyłam w tym celu fałszywe konto, bo przecież swoje usunęłam – ale tam też nie ma żadnej Rebeki Jakubik.

Młodzianna sportsmenka i geolożka z Sieradza najwyraźniej stronią od mediów społecznościowych. Gdy w oknie wyszukiwarki wklepuję „Konrad Jakubik”, pojawia się strona adwokata z Łodzi, który na zdjęciu wydaje mi się za stary, choć na dobrą sprawę nie wiem, ile mąż Rebeki ma lat. Dociera do mnie, że nadal nie wiem, jak wygląda.

Oboje są skrytymi ludźmi i nie tylko nie ma ich w Internecie, ale nawet w ich domu nie widzę żadnych zdjęć. Wydają się eteryczni, jakby żyli, starając się zostawić po sobie jak najmniej śladów. Choć minął już tydzień, odkąd tu przyjechałam z dziećmi, to nie słyszałam ani razu, by Rebeka rozmawiała z mężem przez telefon. Cholernie dziwne.

Kładę się w końcu do łóżka, nie przestając jednak o nich rozmyślać. Może rozmawiają przez telefon w samochodzie, kiedy Rebeka zostawia nas same, by pojechać do klienta? A może nocą, gdy ja i dzieci śpimy? Wyobrażam sobie, że ich rozmowy telefoniczne są inne od suchej wymiany komunikatów, jaką ja prowadzę z Bartkiem – intymne, dwuznaczne i erotyczne; że tych dwoje pobudza się słowami czy po prostu na siebie patrząc, jeśli używają kamerki.

Na samą myśl wzbiera we mnie pożądanie, którego dawno nie czułam. Kładę ręce na piersiach, dużo pełniejszych teraz, gdy jestem w ciąży. Nawet z Helenką nie były tak wielkie, nie widzę już nawet pieprzyka, bo zasłania go lewa pierś. Głaszczę stwardniałe sutki, a potem zjeżdżam palcami w dół, do krawędzi majtek, lecz pod powiekami od razu pojawia się ostrzegawczy zygzak i cofam rękę.

O trzeciej w nocy nadal nie śpię, tarzam się w pościeli i w końcu daję za wygraną. Biorę do łóżka laptop, szukam informacji sprzed sześciu lat na temat śmierci czterdziestoletniego mężczyzny wyłowionego ze stawu w dolinie Cybiny, niedaleko Galerii Malta. Większość artykułów zniknęła, ale znajduję jeden, w którym pod pogładowym zdjęciem jest kilka linijek na temat śmierci lokalnego biznesmena, którą policja uznała za samobójstwo. W komentarzach wszyscy współczują pogrążonej w smutku rodzinie i płaczą nad losem mężczyzny. O gwałcie wiem tylko ja. To moja tajemnica ze słodko-gorzka wisienką na torcie w postaci Helenki.

Zasypiam na krótko przed świtem, a gdy się budzę, zmęczona i lepka od potu, słońce stoi już wysoko na niebie.

CZĘŚĆ DRUGA

WTEDY

Rebeka otwiera oczy za przepierzeniem z plastiku. Niebieski materiał upstrzony znakami graficznymi ma chyba przypominać nadmorskie niebo i mewy, które kołują niebezpiecznie blisko. Słyszy głosy kobiet i jeden męski, stanowczy, który nie jest głosem Konrada. Ten facet wie, jak rozstawiać ludzi po kątach. To mógłby być jej ojciec, ten sam autorytatywny ton nadętego bufona. Dlaczego myśli o ojcu? Tak dawno go nie widziała i wcale za nim nie tęskni. Gdzie jest Konrad?

Głos męczyzny zbliża się do plastikowej zasłonki, za chwilę zobaczy jego twarz. Czuje niepokój. A co, jeśli to naprawdę ojciec? Kilka lat temu ktoś podpalił Westernowe Miasteczko, czytała o tym w Internecie, ale nie było ofiar w ludziach. Więc? Może jednak? Oblewa ją pot, ale strach nie dociera do brzucha, który jest całkowicie odrętwiały. Męski głos się oddala i Rebeka słyszy trzaśnięcie drzwiami.

Na pierwszy plan wybijają się teraz dwa kobiece głosy. Jeden jest świergoczący, drugi z szmerzącą chrypką palacza, ale Rebeka nie potrafi rozróżnić poszczególnych słów, jakby rozmowa toczyła się w obcym języku. Wreszcie wychwytuje słowo „pierdolić”. Obie kobiety uważają, że doktor powinien się pierdolić. Lekarz więc, nie ojciec, a one są zapewne pielęgniarkami znużonymi długim dyżurem. Dodają coś jeszcze o pani żółtej, mają na myśli Chinę? A może chodzi o pacjentkę chorą na żółtaczkę? Doprawdy, wydają się mało delikatne. Z drugiej strony, jak długo kobieta może zachować swoje cechy żeńskie, czyli opiekuńczość, wrażliwość, uległość, jeśli od rana do wieczora ma do czynienia z chorymi i potrzebującymi? Twoja matka, powtarzał ojciec, jako kobieta była do niczego. Masz to po niej, w babskich genach, tej waszej brudnej krwi.

Rebekę niepokoi fakt, że nie czuje nic od pasa w dół. Przechodzi wzrokiem z zasłonki na swoją koszulę w odcieniu rozbielonego żółtka. Zatem to ona jest „panią żółtą”, którą trzeba jeszcze obrobić. Młodszy głos, ten bez chrypki, wspomina o wkurwie na maksa i Rebeka ma nadzieję, że to nie ona jest jego źródłem, tylko lekarz, który właśnie opuścił pokój. Gdzie się podziewa Konrad? Dlaczego jej męża przy niej nie ma?

Och, doskonale pamięta, dlaczego tu jest, ale nie chce o tym jeszcze myśleć, ma na to dużo czasu. Tak powiedział wcześniej ktoś, kto zrobił z nią porządek pod żółtkiem koszuli. Proszę się nie spieszyć. Będzie pani miała bardzo dużo czasu. Miał na myśli kolejne dziecko czy rozmyślanie o utraconym?

Zasłonka się rozsuwa i w polu widzenia Rebeki pojawia się młoda kobieta. Przykłada jej do czoła termometr, nie przerywając rozmowy z tą drugą, schowaną za plastikiem. Rebeka

dostaje tackę z tabletkami i szklankę wody, a młoda pielęgniarka mówi niby do niej, ale nie patrzy jej w oczy, więc można mieć wątpliwości:

– Odłączyliśmy już panią od kroplówki.

Rebeka przypomina sobie rozsypany talk i mrok za oknem, brodzenie w liściach ciężkich od błota, rozzłoszczoną twarz Konrada i pływającą w akwarium tęczową rybkę. Kiedyś rybek było więcej. Ostatnia zginęła między jego palcami. „I tak nie byłabyś dobrą matką!” Pielęgniarki zasuwają niebieską zasłonę gęstą od mew, czyli koniec przedstawienia. Ona przekręca się ostrożnie na lewy bok i opiera się na łokciu. Pod wzdętą koszulą widzi brzuch tak duży, jakby jeszcze nie urodziła. Zgina palec wskazujący i stuka. Puk, puk, nikogo nie ma w domu.

Przypomina sobie słowa wypowiedziane jeszcze innym głosem:

– Palimy czy pani zabiera? Tylko proszę bez hysterii, urodzi pani jeszcze niejedno, będzie ich pani miała dosyć.

Serce jej maleństwa podłączone do KTG walczyło jak Mel Gibson w *Braveheart*, a potem ten dźwięk rozplynął się w powietrzu. Ciężą jej powieki. Jak je zamknie, więcej się nie obudzi. Co było w tych tabletkach, które podała jej pielęgniarka? Rebeka słyszy wrzask mew kołujących nad wodą i wreszcie zasypia.

TERAZ

REBEKA

Rebeka czuje, że odkąd w domu pojawiły się dziewczynki i Anna, czas płynie szybciej. Jakby wcześniej należał tylko do niej, a teraz stał się własnością ogółu lokatorów i w związku z tym trzeba go każdego dnia dzielić na cztery.

Potrzebuje jeszcze trochę czasu, by dopiąć wszystkie szczegóły projektu, bo planuje dla Anny wielką niespodziankę, coś w rodzaju *grand finale*. Towarzystwo dzieci ją rozprasza, choć w bardzo przyjemny sposób – Helenka ujmuje ją kolorem włosów, które w zależności od padającego światła wydają się białe, rdzawe lub złote. Musiała się też przyzwyczać do dziecięcej czułości i dotyku małych rączek, co na początku boleśnie przypominało jej o dziecku. Ach, bo poczęli je, wbrew słowom energicznej lekarki za biurkiem w kształcie nerki. Było kilka spektakularnych i kilka cichych poronień, zygota nie zgryzota, jak usłyszała w szpitalu, aż pojawiła się ta dziewczynka, Calineczka, wczepiła się w jej macicę z całych sił i nie zamierzała puścić. Nie możemy jej nazwać Calineczka, no coś ty, mówił Konrad, masując dwoma palcami jej brzuch.

Teraz Rebeka co wieczór czyta Helence bajki na dobranoc. Zrobił się z tego przyjemny rytuał zastępujący jej jogę, której nie praktykuje, odkąd zniknęła Jowita. Później piją z Anną ziołową herbatę i rozmawiają ściszym głosem, obserwując półcienie w ogrodzie, a gdy cały dom wreszcie zasypia, Rebeka schodzi do biura za garażem, by pracować. Śpi po trzy, cztery godziny, ale nie brakuje jej snu, jest za bardzo podekscytowana. Otwiera folder i włącza piątą symfonię Mahlera, pochylając się nad projektem. Jeszcze trochę. Musi zadzwonić do Jarka, by znowu spowolnił prace, bo Anna nie może jeszcze wrócić do domu.

Dochodzi czwarta nad ranem, gdy Rebeka masuje sobie kark i otwiera drzwi do oranżerii. Na atlasach i drążkach Konrada, ale też na sekretarzyku i regale z książkami, które przeniosła tu przed przyjazdem Anny z pokoju gościnnego, osiadł kurz. Otwiera sekretarzyk i opuszcza blat, zapala kadzidełko i rozkłada matę. Jej stawy jęczą, a mięśnie, zamiast współpracować, napinają się jak wściekłe przeciwko niej. Ma zeszywniały kark i szyję, biodra. Energia nie chce płynąć. Chciałaby tu zaprosić Annę na wspólną praktykę, ale w powietrzu wisi już zbyt wiele kłamstw. Musi najpierw oczyścić atmosferę. Okadza pomieszczenie smugą dymu *palo santo* i ni to się modli, ni medytuje.

ANNA

W głowie nadal roją mi się pytania na temat Rebeki, ale prawda jest taka, że dopada mnie jakaś niemoc, błogość. Wybieram łatwiejsze dla mnie interpretacje. Co z tego, że trzymają w domu dziecięce łóżeczko i ubranka? Rebeka nie jest zobowiązana mi się zwierzać. Być może planowali kiedyś dziecko albo nadal planują. Przecież coraz starsze kobiety zachodzą dziś w ciążę, a na dobrą sprawę nie tylko nie wiem, ile lat ma Konrad, ale i ona. Niewykluczone, że jest młodsza, niż myślałam, a postarza ją polor statusu, te wszystkie drogie ubrania, piękny dom. To co, że nie ma o nich żadnej informacji w sieci. Wszyscy ludzie o wyrobionej pozycji wolą żyć w cieniu. Wszechobecność w sieci przypomina ciułanie, dorobkiewiczostwo, aspirowanie do klasy średniej, której, jak powtarza mi Bartek, w Polsce właściwie nie ma. Do tego dochodzą wszelkiej maści celebryci, którzy obnoszą się z tym rozdętym balonem wnętrza na pokaz jak z przepukliną.

O tak, wybieram wygodniejsze dla mnie interpretacje, bo prawda jest taka, że z żalem będę opuszczać to miejsce.

Rebeka wyjechała do klienta, a ja siedzę na patio w jej zielonym stroju kąpielowym i słucham pisków Helenki, która tapla się w basenie. Jednym okiem spoglądam na córeczkę, a drugim przeglądam na laptopie kolejną powieść właściciela wydawnictwa, którą dostałam do redakcji. Podobnie jak poprzednia, zostanie opublikowana pod pseudonimem Amanda Tulip. To nieskomplikowany erotyk, którego bohaterką jest dominująca kobieta, wdowa po szefie mafii, a jej kochankiem wrażliwy i marzący o wielkiej miłości szofer. Nie zdziwię się, jeśli powieść okaże się klapą, bo kobiety udomowiły mężczyzn, więc jak na ironię domagają się opowieści o silnych i brutalnych facetach, którzy robią z nimi, co chcą.

Na głowie mam kapelusz Rebeki z rondem tak szerokim, że raz po raz lądują na nim ważki. Ustawiłam leżak w cieniu drzewa magnolii i zastanawiam się, czy gdyby teraz niespodziewanie Konrad wrócił do domu, to mógłby się pomylić i wziąć mnie za swoją żonę. Jestem od niej niższa, zdecydowanie grubsza, no i nie mam na głowie jej miedzianego bogactwa, ale gdy leżę tu w cieniu, z włosami i twarzą schowanymi pod jej kapeluszem, w jej stroju, być może dałby się zwieść?

Jeśli faktycznie starają się o dziecko, to ucieszyłyby się zapewne na widok dużego brzucha, który teraz już jednoznacznie wbija się w niebo. Staram się go sobie wyobrazić. Pewnie jest wysoki jak Rebeka, podobnie wymuskany i oszczędny w ruchach. Możliwe, że byłby podwójnie wściekły, gdyby odkrył swoją pomyłkę i obcą babę z bachorami w jego

domowych pieleszach, za którymi tak się stęsknił. Wyganiem spod powiek tę fantazję. Zdecydowanie wolałabym, żeby mąż Rebeki nie wrócił do domu przed czasem.

Słońce się przesuwa i przestawiam leżak bardziej do cienia. To początek siódmego miesiąca, nie powinnam się prażyć na dworze, chcę tylko złapać kilka promieni dla witaminy D. Trudno mi się skupić na pracy i zamykam laptop. Wczoraj wieczorem pojechałam odwiedzić matkę i jeszcze raz przeszukałam swój pokój, łudząc się, że znajdę starego samsunga, ale nic z tego. Nie chciałam wzbudzać jej podejrzeń, powiedziałam więc, że po prostu segreguję rzeczy, dzieląc je na te, które planuję zabrać do Lisiej Chaty po remoncie, te do przekazania komuś i niepotrzebne już nikomu śmieci, które skończą na wysypisku.

Tamten stary telefon był wyłączony od lat i wściekam się na siebie, że od razu go nie wyrzuciłam. SMS-y wymieniane z Wikingiem, a szczególnie ten ostatni, w którym poprosił mnie o spotkanie przy stawie, mogły zapewne służyć za dowód w mojej sprawie, ale co z tego, skoro nigdy nie zgłosiłam gwałtu. Znalazłam się w grupie dziewięćdziesięciu pięciu procent kobiet, które tego nie robią. Pierwszego dnia nie byłam w stanie, a nazajutrz dowiedziałam się, że wyłowiono go martwego ze stawu. Wyrzuty sumienia?

Odeszłam z pracy w klubie, zmieniłam numer telefonu i kolor włosów. Pomyślałam o nieskończonej polonistyce, miłości do książek, i wysłałam próbkę umiejętności korektorskich do wydawnictw. Miałam takie hobby. Bezwiednie wyszukiwałam błędy w każdym menu, a wszystkie klubowe materiały marketingowe szefowa przepuszczała przez moje ręce. Odpisał mi tylko jeden wydawca, ale to wystarczyło.

Przez długi czas chyba czekałam, aż policja znajdzie mój numer w bilingach „poznańskiego biznesmena”, ale nikt się nie zgłosił. Teraz też, mimo że według Natalii rozmawiali z Zuzą, nikt się ze mną nie skontaktował. Dochodzę więc do wniosku, że nowe informacje w sprawie śmierci Wikinga połączyły go z klubem fitness, w którym pracowałam, ale nie ze mną. Jak? Nikt przecież nie wiedział o naszej relacji. To wszystko da się na pewno racjonalnie wytłumaczyć, może ja sama dawno temu wyrzuciłam tę starą komórkę i zwyczajnie to wyparłam. Postanawiam sobie, że nie będę już o tym myśleć.

Wyciągam się na leżaku, słuchając krokodylich teraz odgłosów Helenki, która skutecznie odstrasza wszystkie ptaki. Matylda uczy się na pamięć *Ojca chrzestnego*, ale nie próbuję już wyciągnąć jej na powietrze. Nie mam jej do zaproponowania niczego poza pławieniem się w basenie z Helenką. Dni upłynęły nam bardzo szybko na słodkim *dolce far niente* i jutro miną trzy tygodnie, odkąd tu przyjechałam. Bartek zaczyna się domagać naszego powrotu. Niby nie pyta wprost, ale dziś rano zadzwonił, by powiedzieć, że mamy wreszcie bieżącą wodę i jedną sprawną toaletę. Oczywiście, że za nim tęsknię, ale z drugiej strony żał mi będzie opuszczać prywatny pokój z wielkim łóżkiem i łazienką do mojej wyłącznej dyspozycji.

Polubiłam też wieczorne pogaduchy z Rebeką na patio, gdy na niebie zapalają się gwiazdy. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo w ostatnich latach brakowało mi towarzystwa

kobiet. Mam oczywiście Bartka, ale z innymi znajomościami byłam w ostatnich latach ostrożna.

Wyjmuję małą z basenu, bo zbliża się południe i żadna z nas nie powinna już przebywać w ogrodzie. Choć przesunęłam parasol nad basen i nasmarowałam ją kremem, jej delikatna skóra jest już lekko zaczerwieniona.

– Ale dlaczego musimy wracać?

– Mamy własny domek – tłumaczę jej spokojnie po raz enty, bo od wczoraj przerabiamy ten temat. Helenka moje odpowiedzi uznaje za mało satysfakcjonujące i jej pytanie wraca jak bumerang.

– A ciocia Rebeka?

– Zostanie tutaj, ale będziemy ją odwiedzać.

– Wolę ten domek, mamusiu.

– Ale nasz domek będzie teraz jak nowy. Będziesz tam miała nowe duże łóżko tylko dla siebie.

– Z baldachimem? Obiecałaś! – akcentuje jak dziecko w reklamie, rzucając mi podejrzliwe spojrzenie spod kaptura niebieskiego szlafroka. – Obiecałaś, obiecałaś, obiecałaś. – Jej słowa giną w chichocie, gdy zaczynam ją łaskotać. Ma łaskotki nawet pod kolanami. Po nim? Po Wikingu? Nie lubię o tym myśleć. Jest moja, tylko moja.

Rozczesuję właśnie jej włosy, gdy dzwoni Bartek.

– Nie mam niestety dobrych wieści. Właśnie poszła rura i mamy awarię kanalizacji.

– Jak to w ogóle możliwe? Przecież dopiero co Jarek wymienił całą instalację, a ty zachwycałeś się rurkami w naszej nowej łazience.

– Owszem, ale tym razem chodzi o rurę na zewnątrz, której nie ruszaliśmy, bo wydawało się, że jest w dobrym stanie. Jarek mówi, że to na szczęście nic skomplikowanego, ale usuwanie awarii potrwa jeszcze kilka dni. Smród tu taki...

W tle słyszę warkot maszyn i głośną muzykę. Ktoś krzyczy „panie starszy”, to pewnie jeden z pracowników Jarka. Połączenie jest jak zwykle kiepskie, a w głosie Bartka słyszę frustrację, więc szybko się rozłączam.

Helenka zniknęła mi z oczu i idę do domu po jej mokrych śladach. Nie odpowiada na moje wołanie, a w łazience znajduję jej porzucony mokry strój. Gdy stoję na szczycie schodów, główka mojej córki wychyla się z garderoby Rebeki i Konrada z miną złoczyńcy przyłapanego na gorącym uczynku. Widzę, że włożyła tiulową sukienkę zupełnie nieodpowiednią do zabawy w ogrodzie.

– Helena, co tam robiłaś? – pytam surowo, nie pozwalając, by mnie rozbroiła jej mina winowajcy.

– Piłeczka mi tam poleciała. Chcę ją zabrać do ogródka.

Znika w głębi garderoby i wyłania się po chwili z piłką plażową, którą dostała od Rebeki. Na widok odsuniętych szuflad wchodzę tam za nią.

– Drzwi były otwarte?

Nie chce mi się wierzyć, chyba zwróciłabym na to uwagę.

– No tak!

– A te szuflady? One też były otwarte? Kochanie? – Kucam, by spojrzeć jej w oczy. – Nie będę się gniewać, ale to ważne, żebyś mi powiedziała prawdę. Zaglądałaś tam?

– Jakby troszkę. – Mała sapie z przejęciem, a jej buzia staje się jeszcze bardziej trójkątna.

– Wiesz, że to nieładnie. To pokój cioci.

– Cioci i wujka Konrada – poprawia mnie nabożnie. Zawsze pilnuje, żebym nie zapomniała o wujku, który w jej wyobraźni urósł już chyba do rangi Kristoffa, ukochanego Anny z *Krainy lodu* i supermana w jednym.

– Ciocia i wujek mają straaasznie dużo ubrań. Ty nie masz tyle. Ja też nie. Mati też nie – wylicza Helenka. – Wujek Bartek też nie – dodaje dla porządku.

Zamykam szuflady z bielizną i treningowymi ciuchami Rebeki, choć nigdy nie zauważyłam, by uprawiała jakiś sport. Na pewno nie chodzi biegać, bobym widziała. Zerkam przez okno i zauważam sąsiada, który spaceruje z rottweilerem o nietypowej dla siebie porze dnia. Przypominam sobie, że przecież jest weekend, sobota. Popycham lekko Helenkę w kierunku wyjścia. Gdy wychodzimy z pokoju, dostrzegam odsunięte drzwi szafy po drugiej stronie.

– A te drzwi były otwarte?

Moja córeczka kiwa głową, ale jej buzia robi się cała czerwona, więc rozpoznaję kłamstwo. Zostawiam ją na korytarzu i wracam, by zasunąć drzwi, ale wcześniej zaglądam do szafy Konrada. Przesuwam palcem po garniturach w pokrowcach, a ich ciemne kształty przypominające worki na ciała budzą we mnie lęk. Szybko wracam do Helenki na korytarz i widzę przez okno w korytarzu, że sąsiad kieruje się z psem do pobliskiego parku, wpadam więc na pomysł, by wyciągnąć dziewczynki na spacer. Pośród drzew będzie trochę cienia, a ja chętnie zawarłabym z nim znajomość. Może dowiem się od niego czegoś na temat Rebeki i Konrada. Wołam Matyldę, która, o dziwo, ochoczo wkłada buty, ale okazuje się, że furka jest zamknięta. Próbuje otworzyć ją kluczem, który dostałam od Rebeki, lecz to nic nie daje. Zmieniła zamek? Dała mi przez pomyłkę jakiś stary klucz?

– Możemy przecież przeskoczyć przez płot – zanim zdążę się obejrzeć, Mati wspina się na bramę garażową. Jest całkiem wysportowana jak na dziewczynkę, która spędza dni przyklejona do ekranu.

– Skoczyć przez płot! – wtóruje jej Helenka i podczas gdy Matylda siłuje się z metalowymi przesłami, moja córka wspina się jak małpka po drewnianym płocie, ale odpada, bo nie ma tam żadnego wystającego elementu, by mogła zaczepić stopę.

Ogrodzenie jest wysokie, więc po kilku próbach Matylda też się poddaje. Stoimy w pełnym słońcu, a strumyczek potu spływa mi po dekolcie do stanika przykrywającego dwie ciężkie kule, w które zamieniły się moje piersi. Od upału czuję się jeszcze większa i spuchnięta, jakby to nowe dziecko już teraz pchało się na świat. Wracam do domu w poszukiwaniu innych kluczy, ewentualnie pilota od bramy, ale to na nic. Rebeka nosi go

zawsze w torebce. Wracam do dziewczynek i patrzę, jak Matyllda podsadza Helenkę. Ogrodzenie jest jednak za wysokie i za chwilę mała spadnie i obije sobie kolana.

Uśmiecham się i mówię spokojnym tonem, że pójdziemy na spacer po południu, gdy wróci ciocia Rebeka i zelżeje upał, a teraz zrobimy pyszną lemoniadę i schłodzimy ją w lodówce. Robię wszystko, by dzieci nie wyczuły mojego niepokoju.

REBEKA

Jedzą późny obiad, w zasadzie pod wieczór, bo wcześniej żadna z nich nie miała apetytu. Skwar wypalił nie tylko trawy, ale też ich kubki smakowe. Helenka była marudna, a Matylda przysnęła, po raz enty oglądając *Ojca chrzestnego*. Rebecce ten repertuar wydaje się nieodpowiedni dla dwunastolatki, nawet tak dojrzałej jak Mati, ale skoro Anna nie oponuje, to ona nie zamierza wychodzić przed szereg. Siedzą w ciemnym i chłodnym salonie przy spuszczonej roletach i czekają, aż słońce przestanie prażyć. To do tej pory najgorętszy dzień lata.

Są zakładnikami słońca, mówi Rebeka, niezbyt szczęśliwie dobierając słowa, bo podobno tak poczuła się Anna z dziewczynkami, gdy nie mogły wcześniej otworzyć furtki. W niewoli. Wyjaśniła jej, że to przecież nie było celowe. Tak działa mechanizm zamka. Jak się zamknie furtkę na klucz od strony ulicy, a to właśnie bezwiednie zrobiła, to nikt nie otworzy jej od wewnątrz. Anna pokiwała głową, ale przez chwilę było nieprzyjemnie.

Siła nawyku, dodała Rebeka, wyjmując zakupy z samochodu. Czy to nie Arystoteles powiedział, że jesteśmy tym, co często robimy? Na ogół Rebeka wyjeżdża samochodem z garażu i pilotem otwiera bramę, która zamyka się za nią automatycznie. Dziś jednak jej samochód stał na ulicy, bo wywoziła z garażu niepotrzebne graty.

Dochodzi dziewiętnasta, gdy słońce przestaje omiatać szyby rozżarzonymi mackami i rusza dalej, na zachód. Anna przygotowuje kaszę jaglaną i dodaje półtwarde warzywa gotowane na parze. Do tego namoczone wcześniej rodzyunki i troszkę kurkumy i curry. Taka kuchnia, o dziwo, odpowiada dziewczynkom, którym znudziła się pizza.

Po obiedzie mają wreszcie wyjść na spacer i Helenka szuka swoich sandałów obok basenu w ogrodzie, ale gdy Anna odbiera telefon, twarz jej szarzeje pod świeżą opalenizną. Umawiają się szybko, że Rebeka zajmie się dziećmi, a ona pojedzie do szpitala na Szwajcarską, gdzie właśnie przywieziono jej matkę. Postara się dowiedzieć, co się stało. Helenka zaczyna płakać, bo udziela jej się nastrój Anny, i Rebeka zarządza, że mimo wszystko pójdą na spacer. Duszą się w tym domu przez cały dzień i powinny trochę się poruszać.

– Będzie dobrze – Anna uspokaja bardziej siebie niż Rebece, gdy wraca po kilku godzinach. – Mama jest w dobrych rękach.

W to akurat Rebeka nie wierzy, bo od dawna nie ufa lekarzom. „Zygota nie zgryzota”. „Zabiera pani czy spalić?” „Czy chce pani zobaczyć ciało?” Mogłaby tworzyć wiersze smętniejsze od tych, które pisała Sylvia Plath. Śmierć zdaje się być lejtmotywem jej życia. Czy to możliwe, że nie tylko jej matka, ale i dziecko w jej łonie popełniło samobójstwo?

– Ale co się w ogóle stało?

Anna obraca na palcu pierścioneł zaręczynowy.

– Udar, dobrze, że doszło do niego na klatce schodowej, a nie w mieszkaniu. To jej sąsiad wezwał pogotowie. Niemal cud, biorąc pod uwagę, jak rzadko mama wychodzi z domu. Rokowania są podobno dobre. Gdy jest źle, chyba nie dają ludziom żadnej nadziei.

Rebeka podaje jej kubek herbaty, ale Anna nie pije, przesuwa go tylko z ręki do ręki po blacie.

– Jest na intensywnej terapii i pozwolili mi się z nią zobaczyć, wprowadzie tylko na chwilę, ale... – Głos jej się łamie.

Na jej obszernej sukience i włosach osiadły szpitalne zapachy podszyte lękiem.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Twoja mama jest przecież jeszcze młoda, ile ma lat? Sześćdziesiąt?

– Tak, wiem, to nowa pięćdziesiątka. – Anna wzdycha i podnosi kubek do ust.

– Przyszukuję ci kąpiel.

Rebeka zajmuje się nią tego wieczoru jak małym dzieckiem. Nalewa wody do wanny i zapala lawendowe świece, a na półce stawia kieliszek napełniony w jednej czwartej czerwonym winem.

– Wygląda to tak, jakbyś chciała mnie uwieść. – Anna zdobywa się wreszcie na cień uśmiechu.

– Nie przyzwyczajaj się. To tylko łyk. Dobrze ci zrobi po dzisiejszym dniu.

Anna zrzuca ubrania i zostaje w samej bieliźnie. Wyraźnie się przy tym krępuje, choć Rebeka widuje ją codziennie w ogrodzie w samym kostiumie kąpielowym. Wygląda pięknie, jak antyczna rzeźba, i Rebeka czuje impuls, by położyć rękę na jej ciężarnym brzuchu. Szybko się odwraca i schodzi na dół. Wrzuca ubrania Anny i dziewczynek do pralki, a potem sprzęta kuchnię i salon. Gdy wszystko jest znowu w idealnym porządku, wraca na górę.

Anna już śpi i pochrapuje po wypitym winie. Rebeka opatula ją kołdrą i włącza aplikację do monitorowania na swoim laptopie. Sprawdza obraz z każdej kamery i wsiada do samochodu. Pozostało jeszcze dużo do zrobienia.

ANNA

Budzę się późno, w pokoju jest widno, a ja czuję w ustach posmak czerwonego wina. Nie pamiętam nawet, jak zasnęłam, musiałam szybko odlecieć, jakbym straciła przytomność. Szczerze mówiąc, nie pamiętam nawet, jak wyszłam z wanny i znalazłam się w łóżku. Miałam dziwaczne sny, których nie potrafiłabym opowiedzieć.

Zastanawiam się, gdzie się podziała Helenka, która zwykle gramoli nam się do łóżka około szóstej rano, więc nie potrzebujemy budzika. Szukam lewą ręką ciepłego uda Bartka, ale jestem sama w wielkim łóżku, otulona po czubek nosa pościelą, która przywodzi na myśl dobry hotel. Inna myśl wypycha z głowy tę pierwszą. Gdzie ja w ogóle jestem? Nie jest to z pewnością mój stary pokój w mieszkaniu matki na osiedlu Lecha ani zatęchła i wilgotna sypialnia dziadków Bartka z obrazem *Zwiastowanie*, na który patrzę zaraz po przebudzeniu.

Zamiast anioła Gabriela i Marii w wyblakłej niebieskiej szacie widzę okno przesłonięte roletą we wzór gałązek z japońskiej ikebany i przypomina mi się mój zachwyt, gdy Rebeka wprowadziła mnie tu po raz pierwszy. Wszystko wskakuje na swoje miejsce. Jestem w domu Konrada i Rebeki, jestem w ciąży z drugim dzieckiem, dzieckiem moim i Bartka. Dotykam brzucha i czuję ruchy maleństwa, które też się budzi. Szpital, mama... Wydarzenia wczorajszego wieczoru otrzeźwiają mnie jak zimny prysznic.

Sięgam po komórkę. Cisza. Nie dzwonił do mnie nikt ze szpitala. Oznacza to, że stan mamy jest stabilny, a może nawet nastąpiła poprawa. Ale zaraz, godzina się nie zgadza. Jak mogłam spać aż do dziesiątej? Gdzie są dziewczynki? Zostało mi pół godziny, by dotrzeć na Szwajcarską, gdzie jestem umówiona na konsultację z lekarzem.

Szukam w panice wczorajszych ubrań i przypominam sobie jak przez mgłę, że Rebeka gdzieś je wyniosła. Myję zęby na jednej nodze i wrzucam na siebie letnią sukienkę, wykrzykując imiona dziewczynek, ale odpowiada mi cisza. Związuję włosy w ciasny koczek na czubku głowy i zbiegam na dół, robiąc przy tym tyle hałasu, że gdyby ktoś był w domu, już dawno usłyszałby ten tumult. Na kuchennej wyspie znajduję kartkę: *Zabrałam dziewczynki na zakupy, wyśpij się. Pa!*

Wrzucam kartkę do torebki i wypijam w biegu szklanekę wody. Wykręcając na Poznań, wywołuję Siri i proszę, by połączyła mnie z Bartkiem, ale on nie odbiera, od razu włącza się skrzynka pocztowa. Wczoraj wieczorem też nie udało mi się dodzwonić do niego ze szpitala i nadal nie wie, że z moją mamą jest źle. Pewnie już spał i wyłączył telefon, a dziś nie słyszy, bo od rana warczą tam maszyny.

Jedną ręką wysyłam mu SMS, który przypomina telegramy sprzed lat. *Mama w szpitalu. Zadzwoń!* Wrzucam komórkę do torby i pochylam się nad kierownicą. Kurwa! Zdecydowanie za rzadko klnę, bo dodaje mi to animuszu.

Na doktora Politowskiego wpadam w drzwiach jego gabinetu, gdzie niemal go taranuję wypiętym brzuchem. Jest niski, niewiele wyższy ode mnie, z łysiną okoloną wiankiem siwych włosów, co od razu budzi moje zaufanie. Spóźniłam się, wiem. Rzucam zdawkowe przeprosiny, na które on macha ręką i zaprasza mnie do środka. Wskazuje mi gestem krzesło, ale sam nie siada. Staje przy oknie obok kolekcji miniaturowych kaktusów w drewnianym korytku. Może to prezent od jakiegoś pacjenta, w każdym razie przez głowę przebiega mi myśl, że to dobry znak. Usychający fikus by mnie niepokoił, za to kaktusy na parapecie są jędrne i zdrowe, jeden z nich kwitnie na różowo.

Staram się coś wyczytać z oczu lekarza, ale albo potrafi ukrywać przed pacjentami prawdę, albo ja wyszłam z wprawy. Siada wreszcie przy biurku i nadal nic nie mówi, tylko szuka czegoś w papierach, a mnie robi się niedobrze z nerwów.

– Stan pani matki jest stabilny, zdiagnozowaliśmy przemijające niedokrwienie mózgu, ale...

Zdążyłam już odetchnąć z ulgą, gdy jego „ale” stawia mnie z powrotem w stan gotowości. Zaciskam pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

– Przemijające niedokrwienie mózgu jest bardzo niebezpieczne, znacznie zwiększa ryzyko wystąpienia udaru niedokrwinnego w ciągu kolejnych dni. Pani matka musi niestety zostać jeszcze w szpitalu pod obserwacją. Zrobimy szereg badań diagnostycznych, poza już wykonaną tomografią.

Kiwam głową. Udaję, że rozumiem, co do mnie mówi, choć wolałabym, żeby mi to zapisał na kartce, abym mogła sobie posprawdzać później wszystko w Internecie.

– Jeszcze dziś zostanie przyjęta na oddział neurologii. Mam tu podane w wywiadzie ratowniczym – przegląda kartki i jedną z nich kładzie na wierzchu – że pani matka mieszka sama. Pogotowie wezwał sąsiad?

Ponownie kiwam głową. Jestem jak bruchomówca, który przybył na występ bez kukiełki. Rozwieram pięści. Na dłoniach zostały mi fioletowe półksiężycy.

– Mieszkam pod Poznaniem, ale oczywiście zajmę się mamą, gdy, gdy... stąd wyjdzie.

– Tak, tak – powtarza lekarz w roztargnieniu, błędząc wzrokiem po dokumentach. – Sąsiad nie potrafił powiedzieć ratownikom nic bliższego o jej stanie zdrowia, ale pani podobno podała wczoraj, że pacjentka leczy się na nerwicę. To prawda?

– O ile wiem, jest pacjentką doktor Kunickiej w rejonowej przychodni.

– Przyjmuje jakieś leki?

– Myślę, że na nerwicę lękową i depresję. Pokazywała mi ostatnio słoiczek pełen tabletek, choć równie dobrze mogły to być witaminy.

– Witaminy?

Wreszcie mam jego pełną uwagę. Odsunął papiery na bok i patrzy mi prosto w oczy.

– Panie doktorze, moja mama nie jest niedołążną staruszką i nie jest ubezwłasnowolniona. Nie mam powodu, by jej nie wierzyć.

– Ale?

– Ale nie mam pojęcia, czy mama faktycznie się leczy, bo jej nerwica wcale nie uległa poprawie. Mam wrażenie, że wręcz przeciwnie, w ostatnich miesiącach jakby się zaostrzyła. Czy to przejściowe...

– Przemijające niedokrwienie mózgu – podrzuca Politowski.

– Czy to przemijające niedokrwienie mózgu mogło wystąpić jako skutek przyjmowanych przez nią leków? Jeśli ona rzeczywiście łyka te tabletki.

– Wątpię, o ile nie zostały przekroczone odpowiednie dawki i możemy wykluczyć łączenie ich z alkoholem przez pacjentkę. A możemy?

Zastanawiam się nad jego pytaniem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Gdy jeszcze mieszkaliśmy razem, chodziła do pracy i na pewno nie piła. Ale teraz? Odkąd przeszła na emeryturę, mam wrażenie, że nie wychodzi ze szlafroka.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

– Zobaczymy. Zrobimy kompleksowe badania i wdrożymy odpowiednie leczenie. Co do nerwicy... Cóż, na pewno pani wie, że długotrwały stres może prowadzić do wielu poważnych schorzeń. Wpływ emocji na objawy somatyczne nie jest już dla nikogo zaskoczeniem. Czy coś dramatycznego wydarzyło się niedawno w życiu pacjentki?

Upiera się, by nie nazywać jej moją matką. Pewnie pozwala mu to łąpać dystans.

– Mój ojciec zostawił ją dla innej kobiety, a potem zmarł na zawał, ale to nie było niedawno, panie doktorze. Minęło dwanaście lat.

– No cóż. – Politowski odprowadza mnie do drzwi. – Mamy na oddziale bardzo dobrych neurologów, tak więc głowa do góry. Ona walczy.

Mamrocę coś w odpowiedzi, czując się jak uczennica w gabinecie dyrektora, jeszcze chwila, a dygnę. „Ona walczy”, mówi o mojej matce, jakby była cholernym gladiatorem.

Dostaję pozwolenie na krótkie odwiedziny, gdy przeniosą ją z intensywnej terapii na salę nadzoru neurologicznego, i schodzę do kafeterii na parterze szpitala. Wybieram sok marchewkowy i ciastko owsiane, które na talerzyku za szybą wyglądało zachęcająco, jednak gdy wkładam je do ust, czuję same wióry. Próbuję po raz kolejny dodzwonić się do Bartka, ale nadal nie odbiera. Wybieram numer Jarka, który podnosi słuchawkę po pięciu sygnałach, gdy mam już zamiar dać sobie spokój.

– Jest tam może Bartek, panie Jarku? Nie mogę się do niego dodzwonić.

W słuchawce słyszę schrypnięty, skacowany głos.

– Ale że kto mówi?

Przedstawiam się i pytam jeszcze raz. Zdaje się, że go obudziłam.

– Ale że co pan Bartek? Gdzie niby ma być?

– No u nas. W domu. W Lisiej Chacie – dodaję, jakby to mogło przyspieszyć jego proces geolokalizacyjny.

– Ale ja u siebie jestem – odchrząkuje. – U siebie jestem, w Koziegłowach. Niedziela jest, a w niedzielę nie robimy.

Przepraszam go, śmiejąc się beztrąsko, choć wcale nie jest mi do śmiechu. Niedziela, no tak, to tłumaczy mały ruch na drogach. Co się ze mną dzieje? Jestem ostatnio wybita z rytmu, wystrzelona z kalendarza. Jak we śnie. Wszystko wokół wydaje mi się nierzeczywiste, a szczególnie ten szpital. Żegnam się pospiesznie z Jarkiem i zaczynam płakać. Nikt w szpitalnej kafeterii nie zwraca na mnie uwagi, są do tego przyzwyczajeni.

Wyjmuję z torby paczkę chusteczek i wycieram nos. No dobrze. Skoro jest niedziela i nie ma tam ekipy Jarka, to czym, do cholery, zajmuje się mój narzeczony? Dlaczego nie odbiera? Tym razem wysyłam mu rozzłoszczony SMS, o wiele dłuższy niż telegram. Dojadam ciastko o smaku trocin, szukając przy tym w sieci wszystkiego, co mogę znaleźć na temat udaru i przemijającego niedokrwienia mózgu. Szukam też słów, którymi będę mogła pocieszyć matkę, gdy wreszcie mnie do niej wpuszczą.

Gdy wchodzę na oddział, pielęgniarka kieruje mnie od razu do jej łóżka. Matka jest przytomna, podłączona do jakiegoś urządzenia.

– To kardiomonitor – mówi słabo, a w jej głosie słyszę odrobinę satysfakcji.

No tak, wreszcie została potraktowana poważnie, i to przez personel medyczny. Nikt nie zignorował jej dolegliwości. Ja przecież od lat wmawiam jej, że to, co czuje, to nerwobóle, które miną, gdy wreszcie przestanie się zamartwiać.

– Przepraszam. Wiem, że masz na głowie remont, a do tego... – wskazuje podbródkiem mój wielki brzuch.

– Mamo, proszę... – Przysuwam sobie bliżej krzesło i głaszczę ją po dłoni. Dawno tego nie robiłam, a teraz czuję pod palcami wypukłe żyły i każdą kosteczkę. Zawsze miała szczupłe ręce, ale teraz są wręcz chude i stare, dużo starsze od reszty.

– Rozmawiałam z twoim lekarzem, jesteś w dobrych rękach, a to najważniejsze. Zajmą się tobą i szybko wyzdrowiejesz. Przychodnia przekaże im twoją dokumentację medyczną. Pytali mnie o leki przepisane przez doktor Kunicką. Brałaś je mamo? Proszę, powiedz mi prawdę. To bardzo ważne. – Wbijam w nią wzrok, nie przestając jej głaskać po chudej ręce, a matka wygląda tak, jakby zasnęła. Ma płytki oddech i widzę małe ranki w kącikach ust.

– Mamo? – pytam, a ona odsuwa rękę. Kładzie ją obok drugiej z wpiętym wenflonem, gdzie w miejscu wkłucia utworzył się krwiak. Otwiera oczy.

– Gdybyś się czuła tak parszywie jak ja, brałabyś te pieprzone tabletki każdego dnia. Nie opuściłabyś ani jednej.

ANNA

Ze szpitala jadę prosto do Lisiej Chaty, żeby sprawdzić, co z Bartkiem, dlaczego nie odbiera. W telefonie widzę nieodebrane połączenie od Rebeki i szybko do niej oddzwaniam. Mam nadzieję, że nie ma żadnego problemu z dziećmi, bo tego już bym nie zniosła. Jej głos w słuchawce jest na szczęście spokojny i dochodzi do mnie, że w krótkim czasie nauczyłam się na niej polegać bardziej niż na kimkolwiek w przeszłości. Rebeka zabrała dziewczynki na pchli targ pod M1, kupiły jakieś tanie bzdury, a teraz jedzą lody. Słyszę w tle szczebiotanie Helenki i pomruki Matyldy.

Gdy uspokajający głos Rebeki znika, mój puls znowu przyspiesza i przejeżdżam przez Swarzędz żegnana wściekłym klaksonem kierowcy, któremu zajechałam drogę. Mam ochotę pokazać mu środkowy palec. Parkuję pod naszym domem, który już teraz wygląda dużo lepiej, choć nowa elewacja ma zostać położona dopiero we wrześniu. Nigdzie nie widzę opla Bartka, ale awaria najwyraźniej została usunięta, bo nie widzę też leżących na wierzchu rur, nie śmierdzi szambem.

Wchodzę do środka. Na werandzie i w korytarzu piętrzą się materiały budowlane, a gdy wołam Bartka, odpowiada mi głucho echo. Gdybym nie była tak zdenerwowana, doceniłabym fakt, że ściany na dole są już częściowo otynkowane, a w korytarzu leżą stare dębowe dechy z wyraźnie widocznymi sękami, które mają pokryć jedną ze ścian w salonie. Są piękne i oczywiście załatwiła je dla nas Rebeka.

Toaleta na dole rzeczywiście już działa, a z kranu zawieszzonego nad roboczą umywalką leci gorąca woda. Idę na górę, do naszej sypialni, i widzę stare, ciężkie łóżko dziadków Bartka, które zgodnie z sugestią Rebeki zostawiliśmy i planuję je przemalować na biały kolor. Jest teraz schludnie przykryte kołdrą i trudno mi ocenić, czy Bartek w ogóle tu dziś spał. Zaglądam do kartonów. W jednym są jego ciuchy, w drugim dokumenty i książki, a kolejny jest oklejony taśmą. Napisał na nim markerem, że są tam materiały szkolne. Na parapecie stoi kilka butelek po piwie, a na ziemi zgrzewka wody mineralnej. Wychodzę na zewnątrz i ponownie zanurzam się w fale upału. Zagarniają mnie i czuję, jak sukienka przykleja mi się do ud i brzucha, a dekolt pokrywa się lepkiem potem. To kolejny dzień rekordowej spiekoty.

Obchodzę dom i znowu próbuję dodzwonić się do Bartka, ale od razu zgłasza się poczta głosowa. Może to nic takiego, po prostu jest poza zasięgiem. Mój umysł jednak nie próżnuje. A jeśli coś się stało? Spoglądam na szopę dziadka, która zawsze jest zamknięta na kłódkę, a ja nigdy nie miałam do niej klucza. Szarpię za drzwi w bezsilnej złości, lecz wypłaszam tylko ptaki buszujące w liściach glicynii.

– Dzień dobry!

Dopiero po chwili widzę jasnowłosą głowę sąsiadki, która wynurza się między gęstymi krzakami czarnego bzu.

– Kulasy muszą rozruszać, nad jezioro se poszłam pomalutku, choć gorąc taki. – Otwiera sobie furtkę i wchodzi do ogrodu.

Rozgląda się ciekawie. Przypuszczam, że tylko po to przyszła. Chce zobaczyć, jak posuwają się prace remontowe.

– A ty, Aniu, wiesz, że w naszym kraju podobno sto dwadzieścia tysięcy ludzi w podeszłym wieku leży na stałe? A półtora miliona jest niedołączonych? Mój Darek to gdzieś wyczytał. No więc chodzę sobie pomalutku. On się w czoło stuka, mówi, że w ten upał jakiego udaru dostanę. – Sąsiadka ociera czoło chustką wyjętą z kieszeni i sapie.

Nie mówię jej, że moja matka właśnie dostała udaru i leży w szpitalu. „Dostać udaru”, obracam to wyrażenie w myślach, aż zaczyna brzmieć jak dar, który można otrzymać od losu.

Przynoszę z domu dwie szklanki wody i rozkładam dwa krzesła, które znajdują pod werandą.

– A nie róbże sobie kłopotu. Przecież ci ciężko. – Kobieta omiata spojrzeniem mój brzuch, ale siada. Nadal dyszy przy tym jak lokomotywa i nie sposób nie podziwiać ciekawości, która ją tu przygnała mimo upału.

– No nie powiem, prawdziwa u was rewolucja. Pięknie będzie, jak skończycie. Nigdy tak pięknie nie było, nawet jak Jadźka żyła.

– Babcia Bartka?

– Niby babcia, choć dla niego i Darii była bardziej jak matka, bo ich prawdziwa matka... Szkoda gadać, nic dobrego. Poszła w tango już jako nastolatka. Każde dziecko z innym ojcem, podrzucała je tu potem jak dzika kotka. Oj, nie miała Jadźka szczęścia do córki, nie miała. Za dobra była. Wszystko by dzieciom oddała, i tak to się kończy. Mój Darek zawsze powtarzał, że wlała jej córka na łeb i wykończyła. Młodo Jadźka zmarła. Pożyłaby sobie jeszcze kobiecina, a tak... Ja mówię, że nie rak ją zabrał, tylko smutek. Zawsze to mówię. Toczył ją ten robal od środka, a jak ją rozkroili, to popsuta już była jak jabłko. – Macha ręką. – No ale... Ciebie tu ostatnio nie widuję, Aniu, ani dziewczynek. Wyjechałaś z dziećmi na wakacje?

– Można tak to określić, ale niedługo wracamy.

– To dobrze, to dobrze. Chłop nie powinien za długo sam siedzieć, bo mu głupoty do głowy przychodzą. – Sąsiadka wyciąga przed sobą nogi, a jej spuchnięte stopy opadają swobodnie na boki. Patrzy na nie niezadowolona, jakby dostała wybrakowany produkt w sklepie. – No puchną mi te szkity jak balony. A kiedyś miałam takie zgrabne, nie uwierzyłybyś, Aniu. – Kręci głową. – A nasz Hugo to nie wiem, czy wiesz od Bartka, ale nadal nie wrócił. Darek chce wziąć nowego, u Zenka się oszczeniła suka, ale ja nie chcę już żadnych dzieci. Nawet psich. Kto się nim zajmie, jak mnie i Darka zabraknie?

Kiwam głową i robię daszek z ręki, bo słońce wychynęło spod gałęzi i świeci mi w oczy.

– Dlaczego właściwie Lisia Chata? – pytam. – Dlaczego na ten dom mówicie Lisia Chata?

Sąsiadka marszczy nos i uśmiecha się dziwnie.

– Bartek ci nie mówił? Jego dziadek miał kiedyś lisią fermę. O, tam stała – wskazuje ręką kawałek lasu za płotem. – To była jego ziemia, nie wiem, może to teraz też wasze. Bartka zapytaj, to ci pokaże.

Na hasło „lisia ferma” pod powieki pchają mi się obrazy dręczonych zwierząt ściśniętych w klatkach, depczących jedno po drugim, brudnych od własnych odchodów. Zaczynam wreszcie rozumieć, dlaczego Bartek nie lubi, gdy nazywają nasz dom Lisią Chatą. Ja słyszę w tym motyw z bajki, a on wspomnienie lisiej fermy. Dlaczego nic nie powiedział?

– No ale to dawno temu było – ciągnie sąsiadka. – Nie było jeszcze wszędzie tych zielonych, no wiesz, ekoterrorystów. Pardon, aktywistów. Nikt się nie czepiał, a interes był złoty, lisie futerka szły w kraju i na eksport. – Kobieta chyba widzi rosnący niesmak na mojej twarzy, bo ucina temat. – No a jak u ciebie, Aniu? W porządku? Dobrze się czujesz?

Zjeżdża wzrokiem na mój brzuch.

– Wszystko świetnie, ale muszę już wracać do dziewczynek. – Uśmiecham się przepraszająco.

Robię jej miejsce na przednim siedzeniu – przerzucam kolekcję pustych butelek po wodzie na tył – i podwożę ją do domu. W drodze powrotnej do Gruszczyzna moja złość wyparowuje i zaczynam się martwić. Dzwonię do Darii, siostry Bartka. Rozmawiamy o Matyldzie, choć mam nadzieję, że może wie, gdzie się podział Bartek, i wyjdzie to jakoś w naszej rozmowie, ale nie, najwyraźniej nic o Bartku nie wie. Nazywa za to Mati swoim małym świerszczykiem i tłumaczy mi, że język każdego Niemca zwinąłby się na tym słowie w trąbkę. Gdy mówię, że ja i dziewczynki mieszkamy teraz u Rebeki, bo Lisia Chata jest wybebeszona, trwa remont, Daria robi dłuższą pauzę, a potem mówi:

– To dobrze. Nie powinniście tam mieszkać.

Nie wiem, jak to rozumieć. Jest zazdrosna? Uważa, że to jej dziadek powinien zostawić dom? Daria jednak dodaje:

– Nikt nigdy nie powinien tam już mieszkać.

Wybieram numer Bartka jeszcze raz, bez skutku. Dojeżdżam już do Gruszczyzna, gdy mój narzeczony wreszcie się odzywa.

ANNA

Rebeka wyjeżdża do klienta i zostaję z dziećmi sama, gdy dzwoni do mnie doktor Milicka z oddziału neurologii, na którym leży moja matka. Prosi, żebym jak najszybciej przywiozła wszystkie leki, które pacjentka brała przed przyjęciem do szpitala. Wolałabym nie zabierać Matyldy i Helenki ze sobą, ale nie bardzo mam wyjście.

Bartek znalazł sobie naprawdę cholernie zły moment na chłanie z kumplem, żegnanie się z kochankami z przeszłości, wypisywanie na kartce moich plusów i minusów czy co tam tak naprawdę porabia. Wersja oficjalna brzmi, że wczoraj odwiedził go kolega z pracy i pojechali na ryby. Tam padła mu bateria i moje wiadomości dostał dopiero teraz, po powrocie do cywilizacji. Domyślam się, że przez noc ładował całkiem inne baterie, jak można sądzić po jego niskim, sponiewieranym głosie.

Zostawiam Helenkę w Gruszczyńcu pod opieką Matyldy. W końcu co im się może stać? Teren jest ogrodzony, a Matylda ma dwanaście lat. Kiedyś dziewczynki w tym wieku niańczyły już niemowlęta.

Doktor Milska ma około pięćdziesiątki. W jej gabinecie nie widzę ani jednej rośliny. Być może nawet jakieś tam są, ale i tak nie zwróciłabym na nie uwagi po tym, co miała mi do powiedzenia, bo w przeciwieństwie do Politowskiego walnęła prosto z mostu.

– We krwi i moczu pani matki znaleźliśmy niepokojąco duże stężenie efedryny i dlatego prosiłam o przywiezienie leków.

– Niepokojąco duże stężenie efedryny? – powtarzam mechanicznie jak syntezytor mowy.

Próbuję przetworzyć to, co właśnie usłyszałam, ale nic tu nie pasuje do żadnej szufladki, choć ostatnio mam ich sporo, bo mnożą się sprawy, których nie rozumiem. Wiem, rzecz jasna, czym jest efedryna, bo w naszym klubie oficjalnie handlowało się legalnymi suplementami diety, a pokątnie nielegalnymi dopalaczami, tylko po co moja matka miałaby zażywać substancję dopingującą dla kulturystów?

Ze wszystkich pytań, które w ostatnich tygodniach wirują w mojej głowie, to wydaje się mieć najmniej sensu.

– Rozumiem – mówię i odkładam rękę na biurko. Ramiona mam wiotkie jak patyki. Niczego nie rozumiem. Robi mi się słabo i proszę Milicką o szklanekę wody.

– Proszę się nie denerwować – mówi odrobinę zbyt późno. Mogła o tym pomyśleć, zanim spuściła na mnie tę bombę. Z pewnością dostrzegła moją zaawansowaną ciążę.

Otwiera szerzej okno, a ja pocieszam się tym, że jesteśmy w szpitalu. Gdyby mojemu dziecku coś zagrażało, ratunek jest blisko.

– W tej sytuacji TIA to najlepsza rzecz, jaka mogła się przytrafić pani matce. Dobrze, że trafiła na nasz oddział.

– TIA?

– Przejściowe niedokrwienie mózgu, które zostało wywołane przez długotrwałe przyjmowanie dużych dawek efedryny. To substancja, która prowadzi do nadciśnienia, a nawet arytmii serca czy niewydolności oddechowej. Może zabić.

– Przepisała ją doktor Kunicka z lokalnej przychodni? – Nic z tego nie rozumiem. – Wspominałam już doktorowi Politowskiemu, że moja matka leczy się u niej od kilku lat na nerwicę lękową i depresję.

Milska potrząsa energicznie głową i pojedyncze blond pasmo opada jej na policzek pokryty jasnym meszkiem.

– Otrzymaliśmy dokumentację z przychodni, ale ona ma się nijak do morfologii i wyników badania moczu pani matki. Jej objawy, wygląd, wyniki, ale też rozmowa z nią skłoniły mnie do konsultacji nie tylko z naszym szpitalnym psychiatrą, ale i toksykologiem. Doktor Kunicka przepisywała pani matce różne leki psychotropowe. Jak często bywa w takich przypadkach, chodzi o dopasowanie substancji i dawek do danego pacjenta i niestety odbywa się to metodą prób i błędów. Ostatnio – zerka w monitor – była to fluoksetyna, a konkretnie Fluxemed.

Kiwam głową. Chyba widziałam tę nazwę na fiolce wśród leków matki.

– To substancja dość powszechnie stosowana w leczeniu depresji i nerwicy, na ogół z dobrym skutkiem. Oczywiście doktor Kunicka zalecała też pani matce psychoterapię i ruch. To bardzo dobra strategia, o ile pacjent stosuje się do zaleceń i naprawdę chce sobie pomóc, zamiast z różnych przyczyn uciekać w chorobę.

Słyszę w jej ostatnich słowach znak zapytania i uśmiecham się krzywo, odstawiając szklankę na biurko.

– Tak jak już wspominałam doktorowi Politowskiemu, stan mojej matki nie tylko nie uległ poprawie, lecz ostatnio jej objawy wręcz się zaostrzyły. Do ataków paniki i hipochondrii doszła paranoja. Właśnie dlatego przestałam wierzyć, że bierze przepisane przez doktor Kunicką leki i że w ogóle pojawia się na wizytach w przychodni. Mamie zaczęło się wydawać, że ktoś chodzi po mieszkaniu, próbuje ją okraść. Robiła zdjęcia...

– Zdjęcia? – Milska odkłada długopis i przewierca mnie spojrzeniem. Jej ciemne oczy działają jak najlepszy wariograf, chyba niewiele jej umyka.

– Zdjęcia różnych przedmiotów i sprzętów w mieszkaniu. Próbowwała w ten sposób dowieść, że ktoś tam wchodzi pod jej nieobecność albo gdy śpi. Ostatnio chciała nawet, żebym wezwała policję, ale nie było żadnych śladów włamania. A nawet jeśli były... Zdążyła już wezwać ślusarza i wymienić zamki. Poza tym mieszkają tam głównie starsi ludzie. Oni są czujni i trudno sobie wyobrazić, że nie zauważyliby obcej osoby na klatce.

– Rozumiem – mówi doktor Milska, a z jej białego fartucha i gładkiej fryzury bije pewność, który której mi tak bardzo brakuje.

– To, co pani opisuje, to dość typowe objawy paranoi, obecne w psychozie maniakalno-depresyjnej, co nie zmienia faktu, że nadpobudliwość, chudnięcie, bezsenność, mania, nawet agresja mogą być skutkiem długoterminowego przyjmowania efedryny. Proszę mi pokazać te leki.

Wyjmuję z torby kanciastą puszkę po herbacie, w której moja matka od lat przechowuje leki. Jej zawartość na pierwszy rzut oka nie wzbudza podejrzeń. Są tam paracetamol, aspiryna, na wpół zużyty i dawno już przeterminowany syrop na kaszel, butelka leku o obcej mi nazwie, węgiel, no-spa, ibuprom, dwa blistry alertecu, w których brakuje po kilka tabletek, a także ziołowe tabletki na sen z wyblakłą etykietką. Do tego fiolka z kapsułkami fluxemedu, czyli tymi przepisаныmi przez doktor Kunicką. Trudno mi powiedzieć, ile tabletek ubyło ze środka. Podaję pudełko lekarce i dopiero teraz dostrzegam, że trzęsą mi się ręce. Moje ramiona są wiotkie jak wierzbowe witki, gdy opieram je na biurku.

– Dziwne – mówi Milska po zakończonej weryfikacji. Wydaje się wręcz rozczarowana skromną kolekcją leków. – Jest pani pewna, że to już wszystko?

– A to mało?

– Zdziwiłaby się pani, ile leków i suplementów potrafią gromadzić ludzie. Nawet ci, którym nic nie dolega. Robią zapasy tak samo, jak pokolenie wojenne gromadziło żywność. Jest pani pewna, że mama nie chowa gdzieś leków?

– Nie sądzę. Od kilku lat mieszka zupełnie sama.

– Cóż, morfologia nie kłamie. Pani matka od wielu miesięcy przyjmuje efedrynę, i to w znaczących dawkach.

– Tylko po co? Pracowałam kiedyś w klubie fitness, wiem, czym jest efedryna, a moja mama nie jest przecież kulturystką, która obawia się oskarżenia o doping. – Śmieję się nerwowo i sięgam po szklankę. Dopijam wodę.

Milska w zamyśleniu wysypuje na rękę kilka kapsułek fluxemedu. Na jednej z nich dostrzegam litery, których z tej odległości nie potrafię odczytać, ale ona podsuwa rękę niemal pod same oczy. Wydaje się zadowolona.

– Otóż i to – mówi i kładzie tabletki na biurku obok pustej szklanki. – To nie jest fluxemed. Sprawdźmy, ale założę się, że to właśnie jest efedryna.

Oddaje mi pudełko z pozostałymi lekarstwami, a fiolkę z rzekomym fluxemedem zaciska w dłoni. Jeśli kiedykolwiek zabrakło mi słów, to właśnie teraz. Gardło mam wyschnięte na wiór, choć przed chwilą piłam wodę. Milska wywierca wzrokiem dziurę w moim czole. Czy ona uważa, że to ja podmieniłam matce tabletki? Teraz żałuję, że wspomniałam jej o pracy w klubie fitness.

– Ale kto? Ale jak? – Nie potrafię wykrztusić z siebie nic innego.

Napięcie jest nie do wytrzymania i wrywa mi się z ust nerwowy chichot. Od dziecka mam tę dziwną przypadłość – śmieję się, gdy ktoś mnie stawia pod ścianą.

Doprowadzało to niejednego nauczyciela do szału, bo uważali, że sobie z nich kpię. Przykładam nerwowo dłoń do ust.

– To okropne. To znaczy, że moja mama nie tylko nie przyjmowała przepisanych jej leków, ale przez cały ten czas łykała coś, co pogarszało jej stan?

– Niestety tak to właśnie wygląda. Czy ktoś jeszcze miał dostęp do jej domowej apteczki? Poza panią?

– Poza mną? Nie wiem. Jak wspomniałam, już od kilku lat z nią nie mieszkam. Niewykluczone jednak, że ktoś ją odwiedza. Nic mi na ten temat nie mówiła, ale ona rzadko się zwierza. Ją trzeba zapytać – mówię, starając się powstrzymać łzy, które pieką jak czysta sól.

Milicka rzuca mi cieplejsze spojrzenie i kiwa w zamyśleniu głową. Wkłada fiolkę do kieszeni fartucha, a resztę leków odkłada do pudełka.

– Może pani teraz odwiedzić mamę.

REBEKA

Rebeka czyta Helence bajkę na dobranoc, ale najpierw słucha opowieści o tym, jak świetnie bawiły się dziś same z Matyldą.

– To przecież moja kuzynka, tylko wiesz, taka jakby uszyta – tłumaczy jej dziewczynka, zwijając się w kłębek pod kołdrą. – Jej mamusia i wujek Bartek to siostrzyczka i brat. Popatrz – wystawia rączki spod kołdry i rozczapierza wszystkie palce u dłoni – tyle mam lat. Prawie. Dziś Matylda pokazała mi tę sztuczkę.

– To nie sztuczka, matołku, to liczba. – Głos starszej dziewczynki dobiega z górnego łóżka.

– Nie jestem matołkiem! To jest sztuczka – szepcze Helenka do ucha Rebeki i mości się pod kołdrą, a ją owiewa jej słodki dziecięcy oddech. – Magiczna sztuczka – dodaje. – Porozmawiamy z mamusią Matyldy, ciociu? Przez telefon?

– Dziś już z nią rozmawiałaś – burczy z góry Matylda. – Nie pamiętasz?

– Chcę jeszcze raz. Ona jest taka śmieszna.

– Chyba zabawna. Śmieszna to ty jesteś. Jak mały klaun.

– Nie jestem klaun!

Rebeka macha im na dobranoc i gasi światło, a gdy wchodzi do swojej sypialni, otwiera szeroko okno. Upał zelżał po zachodzie słońca i wiatr niesie z ogrodów kwiatowo-ziołowe zapachy. Białe jak śnieg hortensje pod domem są w pełnym rozkwicie, ale ona, jak zawsze w sierpniu, czuje już melancholię schyłku lata.

Widzi przez okno Annę, która wyszła właśnie na zewnątrz. Zamknęła za sobą furtkę i zmierza w kierunku niewielkiego parku. Wróciła dziś ze szpitala zdenerwowana i wspomniała, że ma ochotę na długi samotny spacer. Pnie drzew bieleją w świetle latarni, które zapalają się wzdłuż drogi, gdy Anna tamtędy przechodzi. Za chwilę zniknie jej z oczu za zakrętem.

Z ogrodu jej jedyne sąsiada, tego od rottweilera, dolatuje zapach lawendy i Rebeka myśli o kolekcji L'Occitane Konrada. Przypomina sobie, jak mówił, że do stworzenia jednego litra olejku eterycznego z lawendy potrzeba stu pięćdziesięciu kilogramów kwiatów. Kiedyś powiedziała, że zapach jego kosmetyków jest tak dominujący, że powinni mieć dwie osobne garderoby.

– A może i dwie osobne sypialnie? Dwa osobne domy? – zapytał lodowatym tonem.

Potem oparł ją o rząd półek, kanciastych pod jej plecami, i rozkrzyżował jej ręce pod swoimi. Przywarł do niej, boleśnie dociskając ją podbrzuszem. W przesuwanych lustrzanych drzwiach szafy naprzeciwko odbijały się jej rozkołysane piersi, gdy zdarł z niej

bluzkę, opadł na kolana i włożył w nią język. „I tak nie byłabyś dobrą matką!” Wykrzywiona twarz nad białym kołnierzykiem, zapach L’Occitane, rozsypany talk i zmarszczka między brwiami głęboka jak rów. Powiedział do niej coś jeszcze, ale ona nie pamięta. Jej pamięć jest jak sito, podziurawiona szkłem niezliczonych butelek po winie.

Rebeka zamyka okno i widzi, że Anna zatrzymała się na zakręcie, a obok niej stoi sąsiad z psem. Rottweiler siedzi grzecznie przy nodze pana z wywalonym językiem. Rebeka schodzi do biura i uruchamia laptop, tam jak zwykle sprawdza widok z kamer. Wszystko jest pod kontrolą. Dzieci śpią.

Była też dzisiaj w Lisiej Chacie, która z dnia na dzień nabiera kolorów. Dotarła zamówiona przez nią muralowa tapeta i Bartek jest zachwycony. Dominują na niej kolory oliwki i starego złota i choć na pierwszy rzut oka wizerunek wygląda jak malarstwo abstrakcyjne, to gdy dobrze się przypatrzeć, widać, że w fantazyjnym motywie ukrywają się dwa lisy. Mają spiczaste pyski, uszy i po kilka puszystych ogonów. Owca

Według opisu to *kitsune* z japońskich legend, o których opowiadała Annie, ale tak naprawdę chciała nawiązać do nazwy ich domu. Oliwkowy lis oplata ogonem złotego w uścisku, który można dowolnie interpretować. Może to wyglądać na niewinne igraszki rodzeństwa, ale też miłosny sparing czy walkę na śmierć i życie. Rebeka puszcza głośniejszą drugą symfonię Mahlera.

ANNA

Tak jak mogłam przypuszczać, podczas rozmowy z sąsiadem niewiele się dowiedziałam o Rebecce. Rzadko ją widuje, a jej męża nie widział chyba jeszcze ani razu. Wiem za to, że on ma na imię Adam, wprowadził się w Boże Narodzenie i pracuje w Poznaniu, a do domu wraca właściwie tylko na noc. Jego pies wabi się Quentin, od imienia jego ulubionego reżysera, a gdy idzie grzecznie przy nodze swojego pana, zapominam o obawach, jakie budzi we mnie ta rasa. Pies ma umięśnioną klatę i masywny kark bandziora. Gdy o tym wspominam, Adam odpowiada:

– O tak, pod tym i kilkoma innymi względami ten pies jest moim przeciwieństwem.

Faktycznie, nie jest typem kulturysty, to szczupły facet o delikatnych rysach, taki Dawid Ogrodnik w wersji z dłuższymi włosami. Zostawiam jednak jego słowa bez komentarza, bo nie chcę, by pomyślał, że z nim flirtuję. Niepytany dodaje, że mieszka sam, bo jego małżeństwo trwało krócej niż budowa domu, który obecnie zajmuje. Przypominają mi się słowa Rebeki o tym, że wiele par rzuca się w wir budowy czy remontu, a gdy ten się kończy, ze związku zostają zgliszcza. Czy tak samo będzie ze mną i z Bartkiem? Czuję, że powinnam wreszcie wrócić do domu. Oddaliliśmy się ostatnio od siebie. Tak bardzo, że podczas naszej ostatniej rozmowy przez telefon nie zająknęłam się ani słowem na temat efedryny w fiolce z lekami matki. Ta sytuacja nadal mnie przerasta. Kto mógł to zrobić i po co? Ona sama?

Rozmawiałam z matką i idzie w zaparte. Mówi, że nie miała o niczym pojęcia i nawet nie wie, czym jest efedryna. Szpitalny psychiatra potwierdza moje podejrzenia. Mówi, że mama mogła sama to zrobić, i potwierdza, że pacjenci potrafią tak mocno wejść w wykreowaną przez siebie rzeczywistość, że przestają odróżniać to, co realne, od tego, co wymyślone, a ja łapię się na tym, że chciałabym wierzyć jemu, a nie matce. Znowu te wygodne dla mnie interpretacje.

Ale jeśli ona mówi prawdę, to kto podmienił jej leki? Jediną osobą, która przychodzi mi na myśl, jestem ja sama. Miałam klucz od jej mieszkania i wiem, jak działa efedryna. Mogłabym ją z łatwością załatwić podczas ostatniego spotkania z Natalią czy nawet wcześniej, podczas spotkania z szefową w klubie. Jeszcze chwila, a sama wpadnę w obłąd.

– Jest pani siostrą Rebeki? – pyta uprzejmie Adam, gdy przystajemy na zakręcie, a nad naszymi głowami rozbłyskują latarnie. Nad polami widać odległe światła Poznania, czerwone i żółte jak sztuczne ognie.

– Siostrą? O nie, myli mnie pan pewnie z Jowitą. Zdaje się, że jesteśmy w podobnym wieku. Ja jestem przyjaciółką Rebeki.

Już miałam powiedzieć, że jesteśmy koleżankami, znajomymi, ale to jakoś nie pasuje. Gdy myślę o niej, wiem, że to dla mnie ktoś więcej. Opowiadam Adamowi historię remontu starego domu po dziadkach, robiąc z tego ciąg zabawnych anegdot. Śmiejemy się i na chwilę zapominam o mamie w szpitalu, wielkim brzuchu i spuchniętych stopach. O tym, że już czas, bym wróciła do Bartka, do Lisiej Chaty, a jakoś wcale się na to nie cieszę. Co jest ze mną nie tak? Nie mogę tych wszystkich emocji zwalić na hormony ciążowe.

Słuchamy słowika, który koncertuje w akacjach jak w wierszu Tuwima. Przyjemny wietrzyk chłodzi mi kark, a zmierzch ma kolor rozbielonego fioletu. Powoli przechodzi w noc, która będzie jasna i krótka.

Zazdroszczę Adamowi beztroski.

– Nie, nie poznałem siostry Rebeki. Ona rzadko wychodzi z domu, podobnie jak większość ludzi na naszym osiedlu. Szczególnie w tej części, mniej jeszcze zabudowanej. Krążą tu tylko tacy jak ja, ludzie z psami. Pozostali kiwają sobie głowami przez szyby samochodów. Teraz widzę ją częściej, z panią i dziećmi w ogrodzie. To znaczy – uśmiecha się zawstydzony – nie jestem jakimś podglądaczem. Ja po prostu... Jedno z okien na piętrze wychodzi na tamtą stronę.

Jego skrępowanie wydaje mi się zabawne.

– Nie znam tu wielu ludzi i w zasadzie gdyby nie pani, to nie wiedziałbym nawet, że moja najbliższa sąsiadka ma na imię Rebeka. Pani też bym nie zaczepiał, ale wolałem zaproponować pomoc. Jest pani przecież...

Patrzy na mój brzuch i znowu się rumieni.

– Och tak, może pan śmiało dokończyć. Jestem w kiepskiej kondycji. – Uśmiecham się. – Obawiam się, że to ma niewiele wspólnego z ciążą. To nie były skurcze porodowe, tylko banalna kolka. – Otrzepuję ręce z pyłku bylicy, którą urwałam po drodze i roztałam w palcach.

Wieczorem, gdy kładę się do łóżka, długo nie mogę zasnąć, choć wypilam uspokajający napar. Myślę o efedrynie w żyłach mojej matki i jej obawach, że ktoś chodził po mieszkaniu. A jeśli ktoś faktycznie tam wszedł, podmienił jej leki i zabrał moją starą komórkę? Tylko po co?

Próbuję sobie przypomnieć, że to moje nudne życie, a nie thriller w odcinkach. Owszem, sześć lat temu spotkała mnie tragedia. Wiking umówił się ze mną na randkę przy stawie i tam brutalnie zgwałcił. Jeszcze tej samej nocy popełnił samobójstwo. Nawet jeśli policja postanowiła z jakiegoś powodu na nowo otworzyć śledztwo w sprawie jego śmierci, to po co komu mój stary samsung?

Odpowiedź wreszcie nadchodzi, jakby opadła mgła. Komórka była ważna, bo zapisane na niej SMS-y świadczyły o tym, że miałam tam być. Tam, gdzie ten skurwiol wsadził mi szmatę w usta, a potem zgwałcił. Tam, gdzie się utopił, wiedziony wyrzutami sumienia lub zwyczajnie swoim skurwysyńskim obłędem. Kładę ręce na brzuchu, jakbym chciała zatkać

uszy mojemu nienarodzonemu dziecku. Ono i ja. Łączy nas telepatia, bo wzburzone zaczyna kopać.

REBEKA

Rebeka wyjmuje dwa plastikowe kubki spod stojącego pod ścianą dystrybutora i oba napełnia wodą. Zerka przy tym na ekran telewizora podwieszono pod sufitem w poczekalni ginekologa. Jest wyciszony i ustawiony na kanale Animal Planet, na którym nadają program o afrykańskiej sawannie. Obrazy pozbawione dźwięku szybko się zmieniają. Czarna pantera poluje właśnie na gnu.

Podaje kubek Annie, która zerka na ekran i mówi coś o bezwzględności natury. Dopiero teraz, gdy usiadły, Anna trochę się rozluźniła. Rozpina guziki lekkiego swetra opiętego na brzuchu. Są w pomieszczeniu same, a z gabinetu dobiegają zduszone dźwięki rozmowy i szuranie odstawianego krzesła. Znak, że poprzednia wizyta dobiega końca.

– Dziękuję, że tu ze mną przyjechałaś – szepcze Anna, głaszcząc brzuch. Jej ciąża jest już bardzo widoczna, choć nie tak jak u kobiety, z którą minęły się na parkingu. Tamta wyglądała, jakby była w drodze na porodówkę, a Annie zostały jeszcze niecałe dwa miesiące.

– Nie ma sprawy. Normalnie byłby tu przecież z tobą Bartek.

– Poza początkowym entuzjazmem nie wykazuje jakoś zainteresowania naszym dzieckiem. Bardziej kręca go deski do salonu i spotkania ze stolarzem.

Anna odbiera telefon i ściszym głosem tłumaczy Matyldzie, że jeśli są głodne, to może podgrzać ziemniaki z kotлетem w mikrofalówce, a w plastikowym pojemniku w lodówce znajdzie surówkę coleslaw, którą zrobiła dziś rano.

– Wejdiesz ze mną do gabinetu? – pyta Rebeke, gdy się rozłącza. – Chryste, jestem taka bezmyślna. Nie powinnam ci tego proponować.

– Dlaczego nie?

Rebeka widziała już filmik nagrany tamtego wieczoru, gdy Anna znalazła w garażu dziecięce łóżeczko i niemowlęce ubranka, ale nadal o tym nie rozmawiały.

– To, że nie mam dzieci, nic nie znaczy. No, chyba że są jakieś niepisane zasady, których nie znam?

– Ja po prostu pomyślałam, że... – Anna się wije i reaguje z wyraźną ulgą, gdy poprzednia pacjentka opuszcza gabinet, a lekarz zaprasza ją do środka. Rebeka wchodzi za nią.

Anna znika na czas badania za przenośnym parawanem, a gdy lekarz go przesuwa, leży już ubrana na kozetce z odsłoniętym i nasmarowanym żelem brzuchem. Ginekolog przykładą do niego sondę i odpowiednio ustawia monitor, tak by i Rebeka mogła popatrzeć. Śmieje się, że na szczęście nie było żadnych zastrzeżeń co do zachowania płci

w tajemnicy, bo dziecko ułożyło się tak, że od razu widać, z kim mają do czynienia – to chłopczyk. Termin porodu pozostaje bez zmian, trzydziesty października. Lekarz zerka z ciekawością na Rebekę. Za kogo ją bierze? Partnerkę? Siostrę?

Podaje Annie papierowy ręcznik, by mogła wytrzeć żel z brzucha, i pyta, czy od ostatniej wizyty nasunęły jej się jakieś pytania, a gdy ona potrząsa głową, kieruje to samo pytanie do Rebeki.

– Proszę się niczym nie denerwować i dobrze się wysypiać – mówi na pożegnanie. – Nie ma co się martwić na zapas – dodaje takim tonem, jakby udzielał im życiowej rady. Rzuca Annie ostatni krzepiący uśmiech, zanim zaprosi do gabinetu parę, która ogląda w poczekalni Animal Planet.

– Nasze dziecko urodziło się martwe – mówi Rebeka, gdy wychodzą z budynku na parking i wsiadają do samochodu. – Nie chciałam ci o tym mówić, bo nie lubię o tym wspominać. To po pierwsze.

– A po drugie? – Anna zapina powoli pas.

– A po drugie nie powinnaś myśleć o takich przypadkach. Nie teraz, gdy sama jesteś w ciąży. Słyszałaś, masz myśleć pozytywnie i nie martwić się na zapas. – Mruga do Anny.

– W którym byłaś tygodniu?

– Nieważne.

– W którym? – Anna wbija w nią nieustępliwe spojrzenie.

– Dwudziestym szóstym. Ale to nie przyszło nagle, miałam za sobą kilka poronień. Dopóki nie zaczęliśmy z Konradem starać się o dziecko, nie miałam pojęcia, że coś jest ze mną nie tak.

– Mogłaś mi powiedzieć – upiera się Anna.

– Obawiałam się, że... Mam wrażenie, że kobiety zaczynają mnie unikać, gdy się o tym dowiadują. Jakbym nosiła w sobie śmierć. – Rebeka wzrusza ramionami.

– Ty i Konrad możecie jeszcze mieć dzieci, na pewno nie jest za późno, nie jesteś przecież...

– Za stara? Może i nie, mam czterdzieści trzy lata. Szkopuł w tym, że to już nie dla mnie.

– Nie chcesz?

– „Ten statek odpłynął”. Nie mogę. Od początku nie dawano nam żadnych szans, zaszłam w ciążę chyba tylko siłą woli, ale natura – czy karma, jak zwał, tak zwał – upomniała się o swoje.

– To wtedy Konrad zaczął częściej wyjeżdżać służbowo? Gdy straciliście dziecko? – pyta cicho Anna po dłuższej pauzie.

– Nie tyle częściej, ile dużo dalej. No i na długo. Na bardzo długo.

Kolejne kłamstwo. Rebeka wie, że będzie wreszcie musiała powiedzieć Annie prawdę o Konradzie. Gdy wchodzi do domu, na ich spotkanie wybiega przestraszona Helenka.

– Mamusiu, widziałam nas, widziałam nas, jak śpimy. Widziałam nas wszystkich – mówi z poważną miną chłopca z *Szóstego zmysłu*, który oznajmia, że widzi martwych ludzi.

ANNA

Naprawdę nas widziałam, mamusiu – szepcze z przejęciem Helenka. Powtarza to, odkąd wróciliśmy do domu z wizyty u ginekologa. Rebeka próbowała się dowiedzieć, gdzie nas niby widziała moja córka, ale Helenka zamilkła zawstydzona. Zapytana o to Matylda wzruszyła tylko ramionami. Nigdzie nie wychodziły, a małą przez cały czas miała na oku. Uważa, że Helenka jak zwykle wymyśla banialuki.

– Widziałam nas, jak śpimy – mówi moja córka ponownie, gdy idę powiedzieć im „dobranoc”.

Matylda czyta na górnym łóżku, a ja przytulam się do Helenki. Nowa Elsa w niebieskim spodniem i tiarze księżniczki nadal leży opatulona kocykiem na stoliku. Zdaje się, że w tej samej pozycji, w której ja ją tam ułożyłam.

– Widziałaś nas przez sen? Przyśniłyśmy ci się?

– Widziałam nas, jak śpimy. Ty, mamusiu, ja i Matylda...

– I ciocia Rebeka?

– Ciocia nie. Cioci tam nie było.

– W tym śnie?

Helenka kręci z irytacją głową. Łapie mnie za rękaw i go skubie.

– Naprawdę nas widziałam. U cioci. Tam, gdzie ciocia pracuje.

– Helena – marszczę brwi – czy ty weszłaś do biura cioci, gdy nas nie było w domu?

Mówię spokojnie, nie muszę krzyczeć. Mała dobrze wie, że nie wolno jej tego robić. Po tym, jak ostatnio przyłapałam ją w garderobie Rebeki i Konrada, jeszcze raz podkreśliłam, że nie wolno jej chodzić po domu i myszkować, gdzie jej się podoba. Helenka przełyka głośno ślinę.

– A gdzie była wtedy Matylda? Poszła z tobą?

– Mati czytała książkę w salonie. Nudziło mi się i poszłam zobaczyć, czy samochód cioci jest już w garażu. Myślałam, że może już wróciliście. Ale tam świeciło się światło – dodaje na usprawiedliwienie.

– Wiesz, że źle zrobiłaś, prawda? Nie zrobisz tego więcej?

Jej niebieskie oczy wpatrują się we mnie ze śmiertelną powagą. Kiwa główką.

– Chcę to usłyszeć.

– Nie zrobię tak, mamusiu... – Przytula się do mnie całą sobą i słyszę, jak mocno bije jej serce. – Ale nie powiemy cioci, że tam byłam? Nie musimy, prawda?

– Nie powiemy, jeśli obiecasz, że więcej tak nie zrobisz.

– Obiecuję.

Helenka jest zachwycona, że dostała ode mnie rozgrzeszenie, i jej powieki powoli się przymykają. Tymczasem ja nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mała widziała nas, jak śpimy w biurze Rebeki? Opatulam ją kołdrą i całuję w czoło. Na szczęście jest chłodne, bo wcześniej była tak rozgorączkowana, że się martwiłam, czy to nie początek letniej infekcji.

Rebeka jest na dole i szykuje dla nas lekką kolację. Wcześniej to ona była u dziewczynek i czytała małej bajkę na dobranoc. To ich codzienny rytuał, którego Helence będzie z pewnością brakowało, gdy wrócimy do domu. Matyldzie pewnie też, bo słyszałam jej dobiegający z góry śmiech. Rebeka potrafi ją rozbawić i dwunastolatka śmieje się tu głośno i radośnie, choć zwykle jest skryta i komunikuje się ze światem za pomocą haseł na T-shirtach.

Robi mi się słabo na myśl, że Rebeka urodziła martwe dziecko mniej więcej w tym samym tygodniu ciąży, w którym ja jestem obecnie. Czy sama nie powiedziała, że z tego właśnie powodu unika zwierzeń na ten temat? Ma rację. To okropne, ale muszę przyznać, że czułam się tu dużo lepiej, nie wiedząc o ich stracie. Wyjaśnia to też coraz dłuższe nieobecności Konrada. Jaka ja byłam głupia. Jak mogłam jej zazdrościć związku i życia?

Teraz rozumiem, że początkowy dystans, z jakim Rebeka podchodziła do Helenki, wcale nie wynikał ze skrępowania, jakie czują dorośli nieprzyzwyczajeni do małych dzieci. Musiała się obawiać, czy przebywanie z małą nie obudzi bolesnych wspomnień. Przykładałam ręce do brzucha i aż mnie zatyka na samą myśl, że mogłoby mnie spotkać to samo i straciłabym synka, bo to będzie chłopczyk! Powiedziałam już Bartkowi, który jest wniebowzięty i żałuje, że nie mógł być ze mną na wizycie. Słusznie! Powinien tam być.

Chyba przysypiam przytulona do Helenki, bo budzi mnie hałas i ból ręki. Z górnego łóżka spada książka, którą czytała Matylda, i zanim uderzy o podłogę, zahacza o moje ramię. Musiała wypaść jej z dłoni. Dziewczynka prostuje się jak sprężyna i mamrocze coś, kilka zdań, które trudno zrozumieć, po czym opada z powrotem na poduszkę.

Sięgam po książkę i rozpoznaję okładkę *Sekretu* Rhondy Byrne. Mam to samo wydanie wśród swoich książek, które nadal trzymam na regale w starym pokoju w mieszkaniu matki. Poleciała mi ją jedna z klientek w klubie i choć dziś uważam ten zbiór prawd objawionych za naiwny, to był czas, że wierzyłam w każde słowo Rhondy.

ANNA

Zuza oddzwania do mnie dopiero pod wieczór. W przeciwieństwie do Natalii ona nie ma komórki przyspawanej do ręki.

– Jeśli nadal myślisz o powrocie do pracy – mówi, cmokając, jakby próbowała się pozbyć czegoś, co utkwiło jej między zębami – to jest dobra okazja. Jedna z nowych trenerek właśnie zaciążyła.

Nie bawi się, jak to ona, we wstępy i uprzejmości. Zuza i Natalia mają po dwadzieścia pięć lat, ale różnią się pod każdym innym względem. Także fizycznie. Nie wyobrażam sobie Zuzy ze sztucznymi rzęsami czy ustami powiększonymi kwasem hialuronowym. Gdy odchodziłam z klubu, ona dopiero co zaczęła pracę. Zdała właśnie maturę, dostała się na AWF i szefowa dała jej pół etatu w recepcji. Może ze dwa razy wypiliśmy razem kawę. Szczerze mówiąc? Wpadałam tam tylko zrobić swoje i uciekałam do domu. Wiem, że podkochiwała się w Szymonie i to ona nadała mu ksywę Wiking, która od razu do niego przylgnęła. To nie tak, że my i klienci byliśmy jakąś wielką rodziną, ale Szymon był uzależniony od sportu i bardzo często przyjeżdżał. Miał nawet karnet premium, a do tego wszystko to, co uwielbiały dwudziestoparolatki, czyli umięśnione ciało, białe zęby i drogie ciuchy.

– Zdaje się, że ten ciężowy wirus krąży po Poznaniu – śmieję się do słuchawki.

Chyba naprawdę kogoś potrzebują, a choć instruktorów jest dużo, to trudno znaleźć dobrego. Zuza już nie cmoka, teraz lekko sepleni.

– No co ty powiesz. Sorry, to ten pieprzony aparat na zęby. Doprowadza mnie do szału. Sylwia powiedziała, że powinnam iść do ortodonta, bo mój uśmiech odstrasza klientów. Gdyby to chociaż była prawda. Przecież ich odstrasza wysiłek i pot. No i nasze ceny. O czym chciałaś pogadać? Sorki, trochę się spieszę.

– Słyszałam, że policja wypytywała cię o Wikinga.

– Jakiś czas temu. Pytali, czy pracowałam w klubie w tym czasie, gdy był naszym klientem. Czy pamiętam coś charakterystycznego. Cholera, to było z sześć, siedem lat temu, od czasu jego śmierci przewinęło się u nas mnóstwo ludzi. Klientów i instruktorów.

– A pytali cię o mnie? – zagajam niewinnie.

– O ciebie konkretnie nie, ale o wszystkich, którzy mogli go znać i pracowali w klubie w tamtym czasie. Zabawne. Okazało się, że to byłam tylko ja, ty, Natalia, no i szefowa. Cała reszta ekipy uległa zmianie. Mamy dużą rotację, ale to już nie mój problem. Od dawna powtarzam Sylwii i Natalii, która niby jest jej prawą ręką, że trzeba coś z tym zrobić.

– Pytali cię o coś jeszcze?

– Pytała, bo to była kobieta, o wasze numery telefonu. Twojego nowego jej nie podałam, bo jeszcze go nie miałam, ale przekazałam jej twój stary numer. Mam nadzieję, że to okej?

– No pewnie – przełykam ślinę. – Coś jeszcze? – pytam, bo słyszę wahanie w jej głosie.

– Powiedziałam też, że jesteś umówiona z Sylwią na spotkanie w klubie w piątek o dwudziestą. No sorry, tak jakoś wyszło.

Zasłania słuchawkę ręką i słyszę jej przytłumiony głos, jak kieruje klientkę do szatni.

Przypominam sobie tamto dziwne popołudnie, gdy najpierw odwiedziłam matkę, a potem wpadłam do klubu, by porozmawiać z Sylwią o ewentualnym powrocie do pracy. Tego samego dnia Rebeka wsiadła przez pomyłkę do mojej mazdy, a ja dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mam wrażenie, że od tamtej chwili minęły nie miesiące, lecz lata.

Pamiętam, jak dopadły mnie wtedy wspomnienia, w parszywą, jak co roku, „rocznicę gwałtu”, i siedziałam w wannie skulona, w stygnącej wodzie. Później długo nie mogłam się rozgrzać, nawet w szlafroku Bartka. Teraz dopada mnie to samo wrażenie przenikliwego zimna i pustki. A jeśli... Boję się zapytać.

– Jak wyglądała ta policjantka? Była w mundurze?

– Skąd, dochodzeniówka nie chodzi w mundurze. Normalnie wyglądała. Spodnie, płaszcz, długie takie, rude włosy, bujne. Szczupła, w sumie całkiem niezła, trochę w stylu Nicole Kidman. Pomyślałam nawet, pamiętam, że się w tej policji marnuje.

– W jakim była wieku?

– Około czterdziestki. A dlaczego to ważne, jak wyglądała?

– Nie, nieważne. Tak pytam.

– No sorki, muszę lecieć, kolejka mi się tu ustawia, świeża dostawa miękkich ciast. Obejrzą sprzęt, kupią buciki, karneciki i tyle ich widzieliśmy. Ale że niby moje zęby ich odstrasza... Ta, jasne... No to powodzenia, w ciąży i w ogóle.

Słyszę klik, gdy pospiesznie odkłada słuchawkę.

ANNA

Tej nocy w ogóle nie zasypiam. Zjadam bez smaku sałatkę z cząstkami ananasa przygotowaną przez Rebekę i wymawiając się ciężowym zmęczeniem i sennością, wracam do swojego pokoju. Nadal obracam w myślach to, co powiedziała Zuza. Dlaczego Rebeka miałaby się podawać za policjantkę, no i co ona ma wspólnego ze śmiercią Wikinga? Czy to był faktycznie przypadek, gdy w tamten piątek wsiadła do mojego samochodu? Nadal nie wiem, kto zabrał moją starą komórkę z mieszkania matki, której stan na szczęście jest już dobry, ale wciąż nie ma pewności, czy na własne życzenie łykała efedrynę zamiast przepisanych jej psychotropów.

Nie wiem, co tu jest grane, ale tym razem zamierzam się dowiedzieć, bo te wszystkie wygodne interpretacje zamieniły się w osaczające mnie znaki zapytania. Płoną w mojej czaszce jak wypalone ogniem. W głowie dźwięczy mi cienki głosik Helenki: „Mamusiu, widziałam nas, jak śpimy”. A jeśli to wcale nie było dziecięce bajanie? Jeśli mała faktycznie zobaczyła coś wtedy w biurze Rebeki i Konrada?

Rebeka na szczęście też kładzie się dziś wcześniej, bo jakąś godzinę po położeniu się do łóżka słyszę za drzwiami jej kroki. Mija mój pokój i pokój, w którym śpią dziewczynki, wreszcie zamyka za sobą drzwi sypialni na końcu korytarza. Po kolejnych dwóch godzinach, gdy jestem pewna, że usnęła, schodzę do kuchni i nalewam sobie szklanek wody. Stawiam ją na barze pod tablicą z wiadomością Konrada, której nadal nie wymazała. Jej mąż wciąż tęskni obok koślawego serca. Przechodzę przez garaż do biura i się rozglądam, ale nie dostrzegam niczego niepokojącego. Byłam tu już wcześniej, kiedy Rebeka oprowadzała nas po domu, i nic się nie zmieniło. Afrykańska rodzina na półce pod sufitem jak stała, tak stoi. Mężczyzna z wydatnymi wargami przytula do siebie piersiastą kobietę i dwoje dzieci, a wszyscy mają nieproporcjonalnie duże i łyse głowy. Poza tym jak zawsze panuje tu perfekcyjny porządek, podobnie jak w innych częściach domu. Zastanawiam się, co też sobie ubzdurzyła Helenka. Może mówiąc, że nas widziała, miała na myśli tę dziwną rzeźbę? Obok biura są kolejne drzwi, do pomieszczenia, którego Rebeka nigdy nam nie pokazała. Podobno Konrad urządził tam sobie domową siłownię. Ciągnę za kłamekę. Zamknięte.

Wycofuję się przez garaż do kuchni i upijam kilka łyków wody. Nasłuchuję. W domu nadal jest cicho, wszyscy śpią. Kolana mi drżą, gdy siadam przy barze, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Powinnam wracać na górę i położyć się spać. W głowie dźwięczą mi słowa z bajki *Piękna i potwór*, którą czytałam kiedyś Helence: „Tak się odwdzięczasz, dziewczeczko, gospodarzom za gościnę?”. Ciekawość jest jednak silniejsza. Wracam do

biura i przeglądam zawartość szafek, ale to tylko stare dokumenty firmy, które potwierdzają jej działalność jako architektki wewnątrz. Jedna z szafek jest jednak zamknięta na klucz, to do niej chcę się dostać. Na krześle wisi torba Rebeki i robię coś, o co nigdy bym sobie nie podejrzewała. Grzebię w niej, by znaleźć pęk kluczy.

Nie muszę się długo zastanawiać, bo jeden z nich jest dużo mniejszy od pozostałych, i szybko otwieram drzwiczki. Tu też leży papierowa teczka z dokumentami, ale macam głębiej i natrafiam palcami na materiał. Ze zdumieniem wyjmuję starą Elbę, którą Helenka zgubiła tu podczas pierwszej wizyty. Zgubiła? Czy może zwyczajnie gdzieś odłożyła, a Rebeka ją zabrała? Dotykam brudnej koronki, którą jest obszyta jej biała sukienka. Kto, do cholery, byłby aż tak szurnięty, by ukraść dziecku lalkę?

Z zabawką w jednej ręce i kluczami w drugiej idę dalej i staję przed zamkniętymi drzwiami do siłowni. Tym razem długo szukam klucza, który pasowałby do zamka. W pewnym momencie wydaje mi się, że coś słyszę, jakieś kroki na górze, ale nie, dom spowija idealna, matowa cisza nowoczesnego budynku, w którym podłogi nie skrzypią, a sprzęty AGD nie mruczą.

Czuję, że teraz nie mogę już odpuścić. To wszystko zabrnęło za daleko. A jeśli Rebeka udawała policjantkę, by zdobyć informacje na mój temat i nawiązać ze mną kontakt? Po co? Nie mam pojęcia, zamierzam się jednak dowiedzieć. Po kilku nieudanych próbach znajduję wreszcie odpowiedni klucz.

W środku jest ciemno ze względu na spuszczone rolety, ale z biura za moimi plecami sączy się strużka światła i dostrzegam w półmroku kształt rowerka i atlasa. Szukam po omacku włącznika oświetlenia, a gdy robi się jasno, oprócz domowej siłowni widzę pod ścianą mój sekretarzyk i przysiadam ciężko na ławeczce do ćwiczeń.

Nic z tego nie rozumiem, bo to nie może być ten sam mebel. Mój sekretarzyk nadal stoi w mieszkaniu matki. Byłam tam wczoraj po jej piżamę i kilka książek, które zawiozłam do szpitala. Podchodzę bliżej i szukam znajomego przetarcia na wysokości dziurki od klucza, bo to model z zamykanym blatem, ale go tam nie ma. To nie może być ten sam mebel, łajam się w myślach. To zwykły przypadek! Uspokajam się, ale to spokój kruchy jak szkło, które pęka, gdy na przeciwległej ścianie dostrzegam Hoppera. To reprodukcja mojego ukochanego obrazu *Poranne słońce*.

Znowu nie jestem pewna. To mój obraz? Nie mój? Podchodzę bliżej. Nie, to z pewnością nie jest mój obraz. Rzecz jasna, nie było mnie stać na oryginał i w moim starym pokoju w mieszkaniu matki wisi kopia wykonana techniką druku. Ten tutaj to obraz olejny o wymiarach zbliżonych do oryginału. Podchodzę bliżej, by mu się przyjrzeć, i potykam się o zwiniętą w rulon matę. Nie muszę nawet sprawdzać marki, bo jest identyczna z tą, której sama używałam do ćwiczeń, gdy pracowałam w klubie jako instruktorka jogi. Tylko że i moja mata leży w mieszkaniu matki. Co tu jest grane?

Opuszczam blat sekretarzyka i odsłaniam trzy półeczki, na których leżą takie same kadzidełka i kryształki jak moje, z czasów, gdy jeszcze bawiłam się w jogę, oczyszczanie

czakr i śpiewanie mantr. Uważałam, że zapewni mi to bezpieczeństwo na wieki wieków amen, ale kiedy Wiking mnie zgwałcił, to przekonanie okazało się nic niewarte.

W kącie widzę regał z książkami ładująco podobny do tego, który stoi w moim starym pokoju. Widzę moje książki. *Typy psychologiczne* Junga, *Rozmyślenia* Marka Aureliusza, ale też albumy poświęcone ćwiczeniom, pracy nad duchem i ciałem. Otwieram *Bądź sprawny jak lampart* na stronie tytułowej i szukam dedykacji, którą wpisała mi Natalia, bo to był prezent urodzinowy od niej, ale jej tu nie ma. To nie moje książki, tylko te same wydania. Brakuje chyba tylko *Sekretu* Rhondy Byrne, który wczoraj wieczorem czytała Matylda.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. To Rebeka zakradała się do mieszkania mojej matki, szprycowała ją efedryną, a sama robiła zdjęcia z zamiarem skopiowania mojego życia? Zabrała z walizki moją starą komórkę? Klnę, chyba głośno. Siadam na dywanie i przyciskam do siebie kolana.

Dopiero teraz widzę laptop, który leży na stoliku pod oknem, i włączam go bez większych nadziei, bo na pewno jest chroniony hasłem. Urządzenie otwiera się jednak od razu na ekranie startowym. Otwieram jeden z dwóch wyciągniętych na pulpit skrótów. Pierwszy prowadzi mnie do folderu Jowi i są w nim zdjęcia, a każde z nich przedstawia mnie. To ja, jeszcze szczupła i gibka, z jasnymi włosami. Mam tu jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, ale wyglądam jak nastolatka.

Kadry wycięte z filmików, które wstawiałam na swoim kanale Yo-Vita na YouTube – niedawno go usunęłam. Wszystko skończyło się jak piękny sen tamtego wieczoru, gdy zostałam zgwałcona. Przeglądam zdjęcia. Na niektórych szykuję coś w blenderze, siekam warzywa, ale najczęściej ćwiczę jogę. Wyginam się w asanie psa z głową do góry, wydłużam szyję w pozycji tancerza, robię łuk z ramion jako syrenka. W uszach mam jeszcze dwa kolczyki, które podarował mi Wiking, a ich niebieskie kamienie odbijają słoneczne refleksy. Wyglądam zupełnie inaczej niż teraz, nie dlatego, że jestem tam młodsza i szczuplejsza, ale spokojna i pewna siebie. W tle za mną widać obraz, książki, sekretarzyk, bo większość filmików nakręciłam w mieszkaniu matki i tylko kilka na dworze, w parku nad Małtą.

Zamykam folder i klikam w drugi skrót oznaczony ikonką kamery. Otwieram automatycznie jakąś apkę i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że tym razem nie patrzę na zdjęcia, to live streaming, czyli transmisja na żywo z tego, co się dzieje w różnych częściach tego domu. W jednym z otwartych okienek widzę biuro – gdzie ukryto kamerę? w rzeźbie afrykańskiej rodziny? – w drugim kuchnię, a w kolejnym salon i garaż. Jest też obraz z pokoju gościnnego i pokoju dla dzieci. Ona nas ogląda? Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Rzucam okiem na śpiące w pokoju dziewczynki – Helenka zrzuciła kołdrę na podłogę, a Matylda śpi na brzuchu, zasłonięta gęstwiną włosów. Klikam w ostatnie okno i mam

podgląd sypialni Rebeki i Konrada. Jakość nie jest najlepsza, w pokoju jest ciemno, ale widzę, że ich wielkie łóżko jest puste.

Odwracam się jak w zwolnionym tempie, a wysoka postać Rebeki, która wyrasta za moimi plecami, wydaje się w pierwszej chwili nierzeczywista. Biel jej pizamy zlewa się ze ścianą. Siedzę na ławeczce treningowej z laptopem na kolanach i nie mogę się ruszyć. Powinnam uciekać albo coś powiedzieć, ale jestem jak sparaliżowana. Czuję tylko, że mój wielki brzuch stwardniał jak kamień.

CZEŚĆ TRZECIA

WTEDY

Rebeka jest opanowana i konkretna – to dwie cechy, które zawsze podziwiał w niej Konrad, pewnie dlatego, że są typowo męskie, a on tak naprawdę nie lubi kobiet. Gardzi nimi. Jest opanowana i konkretna nawet teraz, gdy nietrzeźwa składa zamówienie w Internecie. Nie, nie jest pijana, stara się raczej utrzymywać na przyjemnym rauszu.

Przeczytała gdzieś, że człowiek przychodzi na świat z niedoborem pół promila alkoholu we krwi, i ona po prostu suplementuje ten niedobór. Zaznacza zgody, spogląda na kwotę i autoryzuje przelew. Wszystko przebiega sprawnie i w miłej atmosferze: *Pani Rebeko! Dziękujemy za zakupy w naszym sklepie.* Dopłaca dwadzieścia pięć złotych za przyspieszoną dostawę kurierem, dzięki czemu kartony z winem dotrą do Gruszczyzna jeszcze dzisiaj. Pod warunkiem, że złoży zamówienie przed południem. Południe jeszcze nie minęło, prawda? Nie, zostało dużo czasu, jest dopiero dziesiąta.

W korytarzu potyka się o karton, który tarasuje przejście. Stoi tam z otwartymi klapami jak koń trojański. Rebeka uśmiecha się do pudła:

– Pan wchodzi czy wychodzi?

Czyżby się pomyliła i kurier już tu był? Jest dziesiąta rano czy dwudziesta druga? Za oknem jest noc czy to tylko spuszczone roleta? Pociąga za sznurek i momentalnie razi ją słońce, jakby tylko czekało, aż ona pojawi się w oknie.

Co za różnica, był tu już czy nie był, za dwadzieścia pięć złotych przyjedzie jeszcze raz. Wyobraża sobie, jak woła do kumpla znad paczek w sortowni: „Ej, nie masz pojęcia, jak te baby teraz chleją. Nawet te na przedmieściach, z wielkich, ładnych domów. Zwłaszcza te!”. Znudzone, nic niewarte baby z podmiejskich chat wartych miliony. Cóż, szczerze mówiąc, gównu ją obchodzi, co sobie pomyśli kurier.

Rebeka odkręca nakrętkę, bo zamawia wino wyłącznie w butelkach bez korka, odkąd spadła ze schodów i zapodziała korkociąg. To cholernie duży dom, trudno w nim coś znaleźć. Kiedy napelnia winem brudny kieliszek, przypomina sobie, że jest konkretna i opanowana, i parska śmiechem.

Przypomina też sobie, jak usadziła chłopaka, który rozповідаł na podwórku głupoty na temat jej matki.

– Zamknij się – powiedziała spokojnie, gdy wykrzykiwał: „Dyndolino, dyndolino”, robiąc gest wiązania stryczka. Wywracał przy tym oczami, a na brodzie miał ropny czerwony pryszcz.

Wtedy przeszła od opanowania do konkretności. Ugryzła go w rękę i z całych sił kopnęła w krocze.

Gdyby tylko ojciec od razu spakował manatki i dostał pracę w Westernowym Miasteczku, nie musiałaby się użerać z tym chłopakiem. Szybciej poznałaby Konrada i może ojciec przestałby przychodzić po „masaż tatusia” i mówić, że mają wspólny sekret. Tamtej nocy, jasnej i cieplej, gdy wypuściła zwierzęta z klatek, Konrad powiedział, że zabierze ją ze sobą i się z nią ożeni. Przyciągnął ją ku sobie jak psiaka i pocałował, by przypieczętować ten pakt.

Kiedy do domu w Gruszczynie przyjechała policja, by jej powiedzieć, że ciało męża wyłowiono ze stawu, też była opanowana i konkretna. Nie uroniła ani jednej łzy. Oficer śledczy przydzielony do sprawy nie był podejrzliwy, choć mogło się tak wydawać, bo bez końca powtarzał te same pytania, jakby oczekiwał, że za którymś razem usłyszy inną odpowiedź.

Jak się państwu układało? Czy to był dobry związek? Niedawno straciliście państwo dziecko. Pani Rebeko, wiem, że to bolesne, ale muszę o to zapytać. W jakim stanie psychicznym w ostatnich dniach był pani mąż? Czy mąż umiał pływać?

To samochód Konrada zaparkowany na leśnym parkingu zwrócił uwagę policji, gdy zgłosiła jego zaginięcie. To dlatego zaczęli przeczesywać okoliczne zbiorniki wodne. Szukali go przez dwa dni, a gdy pojechała zidentyfikować zwłoki, żałowała, że go znaleźli. Siny balon z bezręsnymi oczami miałby być jej mężem? To jakaś pomyłka. Wolą wierzyć, że jej mąż wyjechał daleko stąd.

Garderoba na piętrze nadal jest pełna jego koszul, garniturów, butów i zapachu L'Occitane, który sprawia, że Rebeka myśli o seksie, bo między nimi nadal jest namiętność. Silniejsza niż na początku, prostsza, bardziej zwierzęca. Włącza strony, które jej mąż przeglądał w Internecie. Ogląda kanały, które subskrybował na YouTube. Na jednym z nich widzi bardzo młodą kobietę, właściwie dziewczynę. Ma szczerą, nieumalowaną twarz, a w uszach kolczyki z ładnymi niebieskimi kamieniami w złotej oprawie. Jej głos jest ciepły i dźwięczny. Przypomina jej siebie sprzed lat. Dziewczynę, która uciekła z Konradem z Westernowego Miasteczka. Zmienił imię i nazwisko, by ukryć się przed jej ojcem, ale dla niej pozostanie na zawsze Konradem. Szymon brzmi obco. Rebeka potrząsa głową i gładzi się po ramionach.

Wpatruje się w nazwę kanału dziewczyny z kolczykami. Yo-Vita brzmi jak serdeczne zaproszenie wystosowane osobiście do niej. Z ekranu dobiega kojąca muzyka, a prowadząca mówi matczynym głosem, który sprawia, że Rebecce robi się wstyd. Bo prawda jest taka, że może jest konkretna, opanowana i nie płakała od dziewiątego roku życia, ale wcale nie jest na rauszu. Tak naprawdę od wielu dni jest kompletnie zalana. Ledwo łapie równowagę, gdy siada na piętach, blada i śmierząca potem.

– Witaj – mówi Yo-Vita – cieszę się, że jesteś tu ze mną. Weź głęboki wdech i rozłóż szeroko ramiona. Przyjmij wszystko to, co ten świat ma ci do zaoferowania. Kocham cię.

– Witaj, Jowito – odpowiada Rebeka, walcząc z pijacką czkawką. – Jowi? – dodaje i czeka w niemal nabożnym skupieniu na odpowiedź.

Przeciąga ręką po tłustych włosach i wypada jej butelka, która toczy się pod łóżko. Rozkłada posłusznie ramiona. *Już w porządku, mój żołądku*, płacze jej się po głowie głupi tekst starej reklamy.

TERAZ

ANNA

Tkwią w stuporze, inaczej nie można tego nazwać. Mój mózg zamknął się na to, co mnie otacza, i nie dopuszcza do siebie żadnych bodźców. Nie mam pojęcia, jak długo trwa ten stan, ale gdy wracają wizja i fonia, widzę twarz Rebeki i słyszę jej głos. Czuję mandarynkowy zapach jej płynu do kąpieli. Nic nie mówi o kluczach, które wykradłam z jej torebki, ale ma udręczoną twarz Madonny. Wskazuję szerokim gestem replikę mojego sekretarzyka, obrazu, książek w biblioteczce.

– Czy ty nie rozumiesz, jak źle to wszystko wygląda? Jak bardzo to jest porąbane? Do tego Elsa? Zgadza się, znalazłam schowaną przez ciebie lalkę. Miałaś w ogóle zamiar oddać ją Helence?

Rebeka kiwa ze smutkiem głową. To z całą pewnością wariatka, być może niebezpieczna.

Rozglądam się wokół, szukając wśród sprzętów z tej domowej siłowni jakiegoś luźnego ciężarka, którym mogłabym się posłużyć w samoobronie, ale nic takiego nie widzę. Na szczęście w Rebecce nie ma chęci do walki. Rozpływa się w bieli na dywanie u moich stóp, a światło prześlizguje się po jej rudych włosach.

– Nie rozumiesz? Ja po prostu musiałam cię odnaleźć. Dajesz mi, dawałaś mi... – Rebeka milknie. Na szczęście, bo jej rozgoryczony głos przyprawia mnie o ciarki. Nie chcę tego słuchać i nie chcę wiedzieć, co sobie uroiła.

Mój kanał na YouTubie miał kilkuset subskrybentów. Na Instagramie było podobnie. To nędzny wynik, ale dziewczyny w klubie pocieszały mnie, że i tak jest nieźle, bo wystartowałam w Internecie, zanim rynek jogi online na dobre się rozkręcił. A teraz się okazuje, że w tej nędznej liczbie obserwujących złowiłam psychofankę. To się nazywa mieć szczęście.

– To ja jestem twoją Jowitą?

Rebeka kiwa głową.

Przypominam sobie majowy dzień, gdy przyjechałam tu po reklamówkę, którą ona zabrała z mojej mazdy. Musiała sobie to wszystko dobrze zaplanować.

Odzywa się, jakby czytała w moich myślach:

– Pewnego dnia zniknęłaś. Wszystkie filmiki, nagrania. Kto tak robi? – Wbija we mnie oskarżycielsko palec.

– Jak mnie znalazłaś? – Gładzę się po brzuchu, który na szczęście teraz nie jest już tak twardy jak wcześniej; czuję, że mały się rusza, próbuje nawiązać ze mną kontakt przez napięte powłoki.

– Konrad subskrybował twój kanał – mówi Rebeka.

– Twój mąż?

– Wiedziałam, że jeździ na jogę do klubu fitness w Galerii Malta. To był ślepy traf. Powiedzieli, że nie mają twojego numeru telefonu, bo go zmieniałaś, ale będziesz tam w piątek, na spotkaniu o dwudziestej. Zmieniałaś się... Twoja figura, kolor włosów, ale ja rozpoznałabym cię nawet w piekle.

– Śledziłaś mnie?

Rebeka spogląda na swoje szczupłe stopy, które wystają spod nogawek piżamy, jakby widziała je po raz pierwszy. Nie jestem psychiatrą i nie mam pojęcia, co z tą kobietą jest nie tak, wiem jednak, że jej spokój może okazać się pozorny.

– Widziałam, jak wybierasz sukienkę w Orsay, weszłam za tobą do apteki. Nie miałam odwagi podejść, nie wiedziałam, co mogłabym ci powiedzieć, ale nie chciałam też pozwolić, żebyś tak po prostu odjechała.

– Dlaczego powiedziałaś Zuzie, że jesteś z policji?

– A myślisz, że w innym wypadku byłaby skłonna do mówienia? – Rebeka wbija we mnie wzrok.

Pytam ją jak najspokojniej:

– Ale skąd wiedziałaś o Szymonie? Wiem od Zuzy, że pytałaś ją o Wikinga... To znaczy o Szymona, o jego śmierć.

– Coś ci pokażę. – Rebeka wstaje, a ja niechętnie podążam za nią.

Przez chwilę myślę o ucieczce, ale na górze śpią dziewczynki. Nie mogę ich tu zostawić z tą wariatką. Intuicja mi podpowiada, że powinnam zachowywać się w miarę możliwości normalnie, by dodatkowo jej nie wzburzyć.

Mam sucho w ustach i krtani, oczy mnie pieką, gdy idziemy przez garaż i sylwetka Rebeki przede mną się rozmywa, jaśniej tylko biel jej satynowej piżamy. Nogi mam jak z ołowiu, stopy ważą tonę, kiedy tak kroczę za tą białą zjawą w koszmarnym dwuosobowym pochodzie.

W salonie jest jaśniej, bo szare światło brzasku wpada przez przezroczyte dachówki i panoramiczne okna. Niebo jaśniejące na krańcach dodaje mi otuchy. Niedługo wszędzie słońce, a czy to nie czas, gdy znika całe zło tego świata? Wampiry wracają do trumien, wilkołaki stają się na powrót ludźmi, a psychopaci idą zwyczajnie do pracy. Pod schodami mijam lustro i rzut okiem upewnia mnie, że wyglądam jak upiór: pod oczami mam ciemne cienie, usta są blade i wyschnięte na wiór.

Wchodzimy do garderoby, tam Rebeka wysuwa jedną z szuflad i wyjmuje ozdobne pudełko. Poznają od razu kolczyki, jeden z nich wypadł mi przecież z ucha tamtego wieczoru, gdy zostałam zgwałcona przez Wikinga, a drugi wyrzuciłam niedawno do jeziora. W pudełku tymczasem leżą oba, wtulone w gładki kremowy atłas. Nadal nic z tego nie rozumiem.

– Gdy po raz pierwszy zaszłam w ciążę, dostałam od niego takie same – mówi Rebeka. – Kiedy poroniłam, myślałam, że mi je zabierze. Dawno temu, gdy uciekliśmy przed moim ojcem z Westernowego Miasteczka do Poznania, mój mąż, Konrad, zmienił imię i nazwisko. Szymon... Wiesz, nigdy nie polubiłam tego imienia. Dla mnie zawsze był i będzie Konradem.

Mijają sekundy, zanim dociera do mnie sens jej słów. Nigdy nie powinnam była przyjmować tych kolczyków. Znalazłam je pewnego dnia na macie w pudełku z bilecikami: *Od wielbiciela. Załóż je do swojego następnego nagrania na YouTube.* Prowadziłam trening, zerkając na twarze ćwiczących, i zastanawiałam się, kto mi je podarował. Ale stało się. Zabrałam je do domu i posłusznie założyłam, kręcąc kolejny filmik. Gdzieś w głębi podejrzewałam, że są od Wikinga. Marzyłam o wielkiej miłości, nie będę ukrywać. W skrytości serca wyobrażałam sobie, jak zaprasza mnie najpierw na spacer, potem na romantyczny wypad w góry, a w końcu się oświadcza. Żadna z nas nie wiedziała, że jest żonaty.

Osuwam się na podłogę i zaczynam płakać.

– Mamusiu, co ty robisz? – pyta rozespana Helenka, stając w drzwiach.

ANNA

Tłumaczę dziewczynkom, że musimy już wracać do domu. Jest bardzo wcześnie, jeszcze nie wzeszło słońce, a one są zbyt zaspane, by pytać. Chcę być jak najdalej stąd. Wrzucam ubrania Helenki do walizki jak leci, a mała jęczy i stęka, że wolałaby wrócić do łóżka. Matylda pakuje się sama. Nic nie mówi, ale zerka podejrzliwie na mnie i na Rebeke. Pewnie myśli, że chodzi o sprzeczkę między przyjaciółkami.

Gdy jesteśmy gotowe do odjazdu i dziewczynki siedzą na tylnym siedzeniu mazdy, a ja wkładam nasze walizki do bagażnika, Rebeka podchodzi bliżej. Na jej twarzy maluje się ten sam co wcześniej udręczony wyraz.

– Nie powinnaś teraz wracać, zostańcie. Chciałam dla ciebie przygotować jeszcze jedną niespodziankę w Lisiej Chacie.

Jeszcze moment, a zacznę się dziko śmiać, bo cóż za niespodziankę mogła dla mnie przygotować żona mojego nieżyjącego gwałciciela. Jest tak samo psychopatyczna jak on. Są siebie warci.

– Mam tylko ciebie. Tylko was. – Rebeka próbuje mnie złapać za rękę, ale się wyrrywam. Helenka przygląda nam się przez szybę i posyłam jej uspokajający uśmiech.

Zatrząskuję bagażnik, po czym zbliżam usta do bladej twarzy Rebeki, jakbym ją chciała pocałować na pożegnanie.

– Czy ty wiesz, co on mi zrobił? Ten twój pieprzony Konrad Wallenrod? – syczę. – Wsadził mi w usta brudną szmatę i mnie zgwałcił. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Pieprzoną datę szóstego maja mam wyrytą w korze mózgowej. Na zawsze!

Nie mogę już dłużej na nią patrzeć.

– To dlatego ogłupiałaś mi matkę i zabrałaś moją starą komórkę z jej mieszkania? Zapisane tam SMS-y były dowodem na to, że tam byłam, a ty po latach chcesz mnie zrobić w jego śmierć? O to ci chodzi? Ubzdurałaś sobie, że to ja utopiłam tego twojego bydlaka? Jak bardzo trzeba mieć popieprzone w głowie!

Rebeka rzuca mi kolejne spojrzenie zbitego psa. Wsiadam do mazdy i odpalam silnik, trąbię, by jak najszybciej otworzyła bramę. Jeśli tego nie robi, przysięgam, że ją rozwalę. Ona jednak naciska przycisk i wyjeżdżam z piskiem opon, zanim skrzydła bramy otworzą się na dobre, wzbijając po drodze tumany kurzu. Dziewczynki klaszczą podekscytowane, Matylda krzyczy, że jesteśmy jak Thelma i Louise, ale mi nie jest do śmiechu i warczę, by się uspokoiły.

Dociskam pedał gazu, obracając w myślach to, czego się właśnie dowiedziałam. A więc Wiking miał żonę, a ja byłam na tyle młoda i głupia, że się nie domyśliłam. Jego żona ma

niezdrową obsesję na moim punkcie. Tak bardzo mnie uwielbia czy nienawidzi? Konrad nie wyjechał w sprawach zawodowych. Konrad nie żyje. Konrad od początku równa się Szymon, czyli Wiking. Są nowe dowody w sprawie jego śmierci. Jakie? Zastanawiam się nad tym ostatnim pytaniem, ale zaraz je wymazuję mentalną gumką. Przecież to nie prawdziwa policja zaangażowała się w sprawę, tylko Rebeka oszukała Zużę, podając się za policjantkę.

Muszę się wyspać. Jestem tak cholernie zmęczona, że oczy same mi się zamykają. Zwalniam. Przypominam sobie, że Rebeka nadal ma klucze od naszego domu i powinnam od razu poszukać ślusarza. Zastanawiam się, ile prawdy powiedzieć Bartkowi, bo w jakiś sposób będę musiała mu wyjaśnić zerwanie kontaktu z naszą „dobrodziejką”. Zostaje też kwestia Jarka i jego ekipy. Skoro to Rebeka nam go poleciła, to nie powinniśmy mu ufać. Czy to możliwe, że ukryła w środku coś, co będzie szkodzić nam i dzieciom? Wyobraźnia podsuwa mi okropne scenariusze, jeszcze chwila, a popadnę w obłąd.

Nie chcę już o niej myśleć, ale niemyślenie o Rebecce jest cholernie trudne, gdy wchodzę do Lisiej Chaty, w której na każdym kroku widać jej ślady. A przecież miałam ją za dobrego ducha tego remontu, tego domu i chciałam ją nawet poprosić, by została matką chrzestną naszego synka.

Słyszę, że Helenka obudziła Bartka, bo z sypialni dochodzą jego dzikie ryki. Udaje złego wilka, a ja ponownie zastanawiam się, ile powinnam mu zdradzić na swój temat. Nie chcę mu mówić, że byłam kiedyś instruktorką jogi i miałam nawet własny kanał na YouTube, który cieszył się pewną oglądalnością. Z pewnością nie chcę mu mówić o gwałcie. Nikomu nie chcę o tym mówić. Jakaś część mnie krzyczy, że jeśli Bartek się o tym dowie, to odbierze mi pierścionełk zaręczynowy i wyrzeknie się naszego nienarodzonego chłopczyka. Znowu mam wrażenie, że jestem brudna i nic niewarta. Czuję posmak olejistej szmaty w ustach, bolesne pulsowanie ud pod rdzawym śladem na spodniach. *Utracona niewinność* wyświetla mi się pod powiekami jak neonowy napis nad wejściem do kina.

Kiedy Bartek pojawia się w kuchni, niemal go nie poznaję. Zgolił brodę i włosy na krótko, a w jego zaspanych oczach odbijają się promienie wschodzącego słońca. Chowam się w jego ramionach jak w zagajniku drzew rzucających długie cienie.

REBEKA

Rebeka kilka razy wybiera numer Anny, ale jej telefon milczy. Przypuszcza, że ona zablokowała jej numer i usunęła ze swoich kontaktów. Wszystko straciła. Wybiera numer Bartka, ale on też nie odpowiada. Zastanawia się, czy Anna zdążyła mu już powiedzieć. Pewnie tak. Nawet jeśli wyznała mu tylko część prawdy, to i tak wystarczyło, by zerwali z nią kontakty. Wybiera inny numer.

– Matyllda?

Dziewczynka odbiera po czwartym dzwonku, a jej głos jest przytłumiony, jakby siedziała pod kocem naciągniętym na głowę.

– Wszystko w porządku? Możesz rozmawiać?

– Nie możemy z tobą rozmawiać – mówi Matyllda. – Oni nam zakazali. Ciocia i wujek. Podobno jesteś... chora?

No tak, mogła się domyślić, że Anna rozegra to w ten sposób i zrobi z niej chorą i niebezpieczną wariatkę. Właściwie nie ma do niej żalu, sama pewnie zrobiłaby tak samo.

– Możesz podać cioci słuchawkę?

Dziewczynka milczy, ale zostaje na linii. Głośno oddycha.

– Ona nie będzie chciała z tobą rozmawiać – mówi w końcu.

– Chodzi o niespodziankę. To miał być prezent dla cioci, niedługo ma urodziny, prawda?

Rebeka czuje, że teraz ciekawość walczy w Matylldzie z lojalnością wobec Anny i Bartka.

– Prezent dla cioci Ani? Jaki?

– Kominiek. Powiedziała mi kiedyś, że zawsze marzyła o kominku, i znalazłam piękny polny kamień i dobrego fachowca. Wystarczy, że go jutro wpuści, to nic nie kosztuje, bo ten człowiek jest mi winny przysługę. Zrobi to dla niej za darmo. Jarek już wcześniej wszystko przygotował, komin i otwory wentylacyjne, powiedz tylko cioci... Powiedz, proszę, Annie, że...

– Słuchaj no. – Głos Bartka wdiera się w jej ucho jak świst mroźnego wiatru, a w tle słychać słabe protesty Matylldy. – Słuchaj no! – powtarza głośniej i tym razem brzmi jeszcze groźniej, jakby używał głosu potworowi w bajce. Rebeka wyobraża sobie smoka, który za chwilę zionie ogniem. – Na razie cię tylko proszę, ale jak mnie nie posłuchasz, to porozmawiamy inaczej. Nie chcemy od ciebie więcej żadnych prezentów. Rozmawiałem z Jarkiem i wiem, że dopłacałaś mu za robociznę i materiały z własnej kieszeni. Nie wiem, po co to robiłaś, ale od dziś sam się wszystkim zajmuję.

– Mam dużo pieniędzy, chciałam wam tylko pomóc – zaczyna Rebeka, ale on nie zamierza dać jej dokończyć.

– Co z tobą, kobieto, jest nie tak? Jeśli ci to umknęło, to moja narzeczona ma jasno określoną orientację seksualną. Odczep się od niej.

Rebeka pociera z niedowierzaniem skronie. A więc to taką historię wymyśliła Anna, żeby wyjaśnić mu nagłe zerwanie kontaktu. Zrobiła z niej nachalną lesbijkę.

– Nigdy nie uważałam, że...

Bartek jej nie słucha.

– Jak mogłaś narazić Anię na taki stres? Jedziemy jutro do lekarza i jeśli się okaże, że z naszym dzieckiem jest coś nie tak, to przyjadę do ciebie i zabiję cię własnymi rękami. Rozumiesz? Powtórz, że rozumiesz.

Połączenie się rwie, ale te akurat słowa Rebeka słyszy i rozumie doskonale.

– Przestań do nas wydzwaniać i trzymaj się od nas z daleka! – krzyczy jej do ucha, po czym kończy połączenie.

W uszach Rebeki dźwięczą słowa Matyldy „Podobno jesteś chora”. Ojciec powtarzał jej, że jest chora, gdy matka się powiesiła i zaczął do niej przychodzić co noc. Masował jej podbrzusze i prosił, by i ona masowała tatusia. To samo powiedział policjant, który umorzył śledztwo w sprawie śmierci Konrada, uznając ją za samobójstwo. „Pani potrzebuje pomocy”. Dał jej listę terapeutów w Poznaniu i poradził, by wybrała któregoś z nich. To samo powiedział lekarz, gdy jej córeczka urodziła się martwa. Zapytała go, czy to możliwe, by dwudziestosześcioletni płód popełnił samobójstwo. „A niby jak?” „No, na przykład, wie pan, utopił się w wodach płodowych albo udusił pępowiną”. Przepisał jej więcej leków, żeby nie zadawała już takich pytań.

Widzi wykrzywioną w złości twarz.

„I tak nie byłabyś dobrą matką!” Zapach L’Occitane, rozsypany talk, rybka w kolorach tęczy w mętnych wodach akwariium, ciemna twarz nad białym kołnierzykiem i zmarszczka pomiędzy brwiami głęboka jak krater.

Przez cały czas była przekonana, że to był Konrad, ale teraz nie jest już tego taka pewna.

ANNA

Wydawca jest tak bardzo zadowolony z mojej pracy nad jego kolejną powieścią porno wydaną pod pseudonimem Amanda Tulip i uparcie nazywaną przez niego romansem, że zaoferował mi znaczącą podwyżkę. To propozycja nie do odrzucenia i nie mogła przyjść w lepszym momencie, bo nasze zobowiązania finansowe teraz, gdy nie korzystamy już ze wsparcia Rebeki, zaczynają się piętrzyć. Wymyśliłam bajeczkę, że ona zaczęła mi składać całkiem niedwuznaczne propozycje seksualne, a mój narzeczony na szczęście nie zadawał pytań. Jarek sam zrezygnował ze współpracy pod byle pretekstem, bo bez pieniędzy Rebeki praca u nas zwyczajnie przestała mu się opłacać. On na szczęście nie mówi na głos, że od początku to wszystko było zbyt piękne i „okazyjne”, by było prawdziwe. Łapię czasem na sobie jego dziwny wzrok, jakby nie był do końca pewien, czy tam, podczas upalnych wakacji w Gruszczynie, nie uległam jednak tej nowej przyjaciółce, ale na szczęście pytania pozostają niewypowiedziane.

„Ciocia Rebeka” powoli odchodzi w niebyt, jakby nigdy nie było jej w naszym życiu. Czasem Helenka coś jeszcze wspomni, ale coraz rzadziej, a Matylda jest już głową gdzie indziej. Jutro ma po nią przyjechać Daria, bo zaczyna się wrzesień i czeka ją szkoła w Berlinie, na razie polska, ale gdy tylko zda egzamin językowy, pójdzie do niemieckiego gimnazjum.

Mój narzeczony zatrudnił nową ekipę i teraz granatowy van, zamiast białego, stoi każdego dnia pod naszym domem. Codziennie, oprócz niedziel, od ósmej do szesnastej. Pojawia się i znika tak punktualnie, że można by nakręcać zegarek. Tak mówi nasza sąsiadka, która nadal często chodzi tędy nad jezioro, ale nie wiem, czy kiedykolwiek dociera na miejsce. Zwykle się zatrzymuje, by napić się wody, i jak mi nie mam, ocenić postępy prac oraz stan mojej ciąży.

To siódmy miesiąc, maleństwu zostało jeszcze trochę czasu, ale mój brzuch wygląda już jak dojrzała gruszka, która za chwilę odpadnie od gałęzi. Podobnie jak kredyt hipoteczny, który wzięliśmy z Bartkiem w miejsce kilku drogich pożyczek, synek połączy nas ze sobą na wieki wieków.

Jadę do Poznania po większe zakupy, bo jak każda kobieta w zaawansowanej ciąży zaczynam nie tylko wic gniazdo, ale i robić zapasy, a w drodze powrotnej zatrzymuję samochód przy kościele św. Małgorzaty na Śródce. To mój nowy rytuał. Wchodzę do ciemnego wnętrza i gdy siadam w ławce, spływa na mnie gotycki spokój starych murów. Nie modłę się, szukam raczej wyciszenia. Nikt nie wie, że tu jestem, i to podoba mi się najbardziej. Zablokowałam numer Rebeki, ale gdy dziś rano dostałam SMS z nieznanego

numeru, wiedziałam, że to ona: *Nigdy nie byłam w mieszkaniu twojej matki. Nic nie wiem o twoim starym telefonie. Spotkaj się ze mną. To ważne. Proszę!*

Usuwałam ten SMS. Wydawało mi się, że pozbyłam się jej z naszego życia na dobre, więc jej wiadomość budzi dawny niepokój. Nie żałuję zerwanego z nią kontaktu, to wariatka, jest mi tylko głupio, że okazałam się taka naiwna. Bardzo brakowało mi kontaktu z kobietami i chciałam wierzyć w jej bezinteresowność i przyjaźń. Jest mi głupio tym bardziej, że przecież ja i Bartek skorzystaliśmy na tym finansowo. Przypominają mi się słowa często powtarzane przez moją matkę, które z taką łatwością wymazałam gumką, gdy było mi to na rękę: „Nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad. Prędzej czy później będziesz musiała za niego zapłacić”.

Myślę o kolczykach i w tym kontekście czuję się jeszcze gorzej. Jakbym sama sprowadziła na siebie tamten gwałt. Zastanawiam się czasem, że może gdybym urodziła Helenkę nie przez cesarkę, lecz siłami natury, gdybym ją wyparła, to wyparłabym jednocześnie moment jej poczęcia.

Po wyjściu z kościoła nie jadę od razu do domu, lecz wchodzę do Stempla. Wiadomość od Rebeki, choć ją wykasowałam, nadal nie daje mi spokoju. Ta szalona kobieta jest wdową po moim gwałcieliu, ale może to naprawdę ważne? Gdy kelnerka przynosi do stolika latte i kawałek sernika, pytam, czy współpracują z Rebeką Jakubik, projektantką wnętrz, a ona rozciąga w uśmiechu usta i pyta, czy ten lokal wyglądałby tak, jak wygląda, gdyby współpracowali z kimś takim. Obie zerkamy w górę na wiszące pod sufitem szare od kurzu serduszka w kratkę. Balansując zgrabnie tacą, kelnerka uśmiecha się do mnie i przechodzi do kolejnego stolika, bo mimo zaniedbanego wystroju klientów tu nie brakuje.

Popijając stygnącą kawę, uruchamiam przeglądarkę w telefonie i szukam hostelu, o którym opowiadała mi Rebeka. Tego w centrum Poznania, rzekomo przekształcanego przez nią w butikowy hotel. Wybieram numer biura, nie recepcji. Po tym, co chwilę wcześniej usłyszałam od kelnerki, właściwie mnie nie dziwi zaskoczony ton mężczyzny po drugiej stronie. On też nie słyszał o żadnej Rebecce Jakubik, a hostel nie został nikomu sprzedany. Wiedziałby, bo tak się składa, że jest jego właścicielem. Zaczyna się irytować, mówię zatem szybko, że to pomyłka, i się rozłączam.

Och, co ja w ogóle robię i po co. To wariatka, która ukryła lalkę Helenki, udawała policjantkę, by nawiązać ze mną kontakt, i stworzyła sobie coś w rodzaju repliki mojego świata na podstawie filmików, które zamieszczałam kiedyś na YouTube. Jest tak samo porąbana jak ten jej martwy już – na szczęście! – Szymon/Konrad/Wiking, niepotrzebne skreślić. Blokuję także ten nowy numer, z którego przesłała mi SMS.

ANNA

Daria wygląda lepiej niż wtedy, gdy widziałam ją ostatni raz w maju, na urodzinach Matyldy. Nabrała wreszcie ciała, poza tym zaokrągliła jej się twarz. Wydaje się sympatyczniejsza, nawet teraz, gdy milczy, patrząc na odnowiony dom. Trudno mi wyczuć, czy podobają jej się zmiany. Prace przy elewacji jeszcze trwają i o boczną ścianę opiera się rusztowanie, ale frontową pokrywa już świeży tynk w wybranym przez nas kolorze kawy z mlekiem.

Siostra Bartka buja się na stopach, przechodząc z pięt na palce i z powrotem. Zwracam uwagę na jej ładne, proste sandały na płaskim obcasie.

– No i? – pytam, gdy przenosi wzrok z budynku na płaskorzeźbę z drewna, którą zawiesiłam dziś na nowej furtce. Upolowałam ją na Allegro. Jest w kształcie lisa. Własnoręcznie pomalowałam ją na rudy odcień, który wybrała Helenka, zostawiając lisowi biały pyszczek i łapki. Córka domalowała białą plamkę na ogonie.

– W końcu to Lisia Chata, prawda? – Uśmiecham się, a Daria mruga oczami, jakby wychodziła z transu, i schyla się, by poprawić rzemyk przy sandale.

– Co na to Bartek? Widział to już? Nigdy nie lubiłam tej nazwy i chyba nie pomoże żaden Lis Witalis na powitanie. Wiesz, że tu kiedyś była lisia ferma?

– Sąsiadka coś wspominała.

– Nie masz pojęcia, jak tu kiedyś było. Nie masz pojęcia – powtarza głucho.

W gruncie rzeczy Daria ma rację. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziała sąsiadka, a Bartek też niechętnie wraca do wspomnień. Nie widziałam żadnych zdjęć z czasów, gdy mali Bartek i Daria mieszkali tu z dziadkiem i babcią, ale nigdy też o nie nie prosiłam. Sama przecież reglamentowałam serwowane mu obrazy i opowieści z własnej przeszłości. Wiedział, że miałam normalne dzieciństwo tylko do czasu, gdy moi rodzice się rozwiedli. Wiedział, że moja matka od tamtej pory schizuje. Wiedział, że studiowałam polonistykę (być może myślał nawet, że ją ukończyłam), że urodziłam córkę, efekt jednonocnej namiętności, i że nie utrzymuję kontaktów z jej ojcem. Wie, że robię korekty romantycznych powieści. W tej narracji, jak w każdej, są dziury, luki, które tylko czekają, by je zapełnić taką czy siaką interpretacją. Czy nie robimy tak wszyscy?

Przypominam sobie o japońskich wierzeniach i *kitsune*, lisach, bohaterach japońskiego folkloru przywodzących na myśl europejskie skrzaty. Czytałam o nich później. O dobrych lisach *zenko*, które uważano za bóstwa. O złotych, srebrnych, białych lisach i niebiańskich *tenko*, które żyły ponad tysiąc lat. O złych, dzikich lisach *yako*, które opętywały ludzi i sprowadzały na nich choroby i szaleństwo. O tym, że dobre lisy szczekają „kon-kon”,

a złe „kai-kai” i że odróżnić je można tylko po tym. Myślę o tym teraz przez chwilę, patrząc, jak Daria wiąże na nowo rzemyk sandała.

Oprowadzamy ją z Bartkiem po starym nowym domu. Gdy z dumą otwieram drzwi do dodatkowej łazienki, którą udało się wygospodarować na piętrze, w dawnym składziku na miotły, mopy i wiadra, Daria nie wchodzi za mną. Zostaje w korytarzu i krzyżuje ramiona na piersiach.

Łazienka jest ciemna i mała, ale udało się w niej zmieścić toaletę i kabinę prysznicową.

– To był akurat pomysł Rebeki – wymyka mi się.

Jeśli Daria słyszała już coś na temat zerwania relacji z Rebeką od Bartka lub Matyldy, to nie daje tego po sobie poznać. Ani razu o niej nie wspomina.

– Jak się czujesz? – pyta, spoglądając na mój wielki, napięty brzuch, gdy kończymy oględziny domu i częstuję ją zieloną herbatą.

– W porządku. Trochę bardziej zmęczona, z napadami nienormalnej aktywności, ale cóż, niczego innego się nie spodziewałam.

– Mogę? – pyta Daria i dotyka ostrożnie materiału bluzki. Uśmiecha się, gdy mały reaguje lekkim kopnięciem.

– A co słyhać u twojej mamy? – pyta, gdy bierzemy kubki i wychodzimy do ogrodu.

– Dwa tygodnie temu wypuścili ją wreszcie ze szpitala do domu. Czuje się bardzo dobrze. Wydaje się, że jest szczęśliwa i uspokojona, bo wszystkie jej dolegliwości potraktowano poważnie i została, no wiesz, kompleksowo przebadana. Lubi już samo brzmienie tych słów.

Przypominam sobie ostatnie spotkanie z doktor Milicką, gdy przyjechałam do szpitala odebrać matkę z wypisem i plikiem recept do jak najszybszej realizacji. Tym razem w gabinecie lekarki stał wysoki flakon pełen różowych malw. Milicka patrzyła na mnie podejrzliwie, ale ostatecznie przyklepana została wersja, że mama sama kombinowała z lekami i ukrywała to przede mną.

Prowadzę Darię do wiaty przy drewnianej szopie. Ogród jest jeszcze przykurzony po usuniętym gruzie, ale ustawiliśmy już z powrotem stół i kilka krzeseł.

– Powtarza, że jest jak nowo narodzona, ale nie wiem, czy to nie efekt działania leków, które zaczęli jej podawać jeszcze w szpitalu.

– Neuroleptyki? Benzo? SSRI?

Zanim zdążę odpowiedzieć, Daria dodaje:

– Bromazepan miło wspominać, chodziłam pozytywnie nakręcona, a nawet pojawiała się lekka euforia. Lubiłam takie kombo: miansec, citalopram, fluanxol i do tego jakieś benzo, ale nie żebym była benzożercą.

Chyba dopiero teraz widzi moje szeroko otwarte oczy.

– A Bartek ci mówił, że co ja niby ćpałam? Heroinę sobie wstrzykiwałam między palce u stóp czy jak? – Moja przyszła szwagierka się uśmiecha. – Leczyli mnie na anoreksję i uzależniłam się od tego syfu. Potem wszystko bym oddała za pigułki. Dosłownie

wszystko – mówi, nie patrząc mi w oczy. – Gdyby moje życie udostępnił na Netfliksie, określiliby je jako „mocny, mroczny dramat”.

– Anoreksja?

Nurkuję w pamięci, ale nic o tym nie słyszałam. Wiedziałam tylko od Bartka, że jego siostra w młodości miała problemy z mężczyznami i narkotykami.

– W wieku mojej Mati ważyłam trzydzieści kilogramów. Pamiętam, bo tyle pokazała waga, kiedy mnie przyjęli do szpitala. Dziad mnie tam oddał. Z anoreksji mnie wyleczyli, ale zostały inne „eksje” i „esje”. Wiesz, jak to jest.

– Dziad?

– A Bartek co? Mówi o nim „dziadek”? Hej, nie wiem, jakie ty miałaś dzieciństwo, ale dziad zafundował nam niezbyt ciekawe. Babcia Jadzia podobno była w porządku, ale ja już jej nie pamiętam. Za to dobrze pamiętam tę ciemną komórkę, w której mieści się teraz ta cudna dodatkowa łazienka. Wybacz, że nie weszłam do środka, by się pozachwycać, ale jako mała dziewczynka często byłam niegrzeczna, a do tego bałam się ciemności.

– Zamykał cię tam?

Jej milczenie jest ciężkie. Ziejąca dziura wyszarpana w tkance, wielka luka w moich interpretacjach.

– Bartka też?

– Nie mam pojęcia. Może jak był młodszy? Dziad albo obleśny kumpel dziada, który pracował u niego na lisiej fermie. Później zniknął, ale wcześniej podpalił fermę. Te wszystkie biedne zwierzaki... Lisia Chata – wzdryga się Daria. – Twoja ślicznie wymalowana tabliczka jest jak pomnik ku ich pamięci. W szopie nadal są stare klatki?

– Nie wiem. Nie zaglądam tam. Bartek mówi, że są tam stare narzędzia stolarskie waszego dziadka.

– Mam nadzieję, że się ich pozbył. Nadal nie rozumiem, dlaczego ten mój dziwny brat od razu ich nie wyrzucił.

Kładę ręce na swoim ogromnym brzuchu, jakbym chciała ochronić dziecko przed tą historią.

– Głodziłaś się? Dlaczego? – pytam głupio. Mam szczątkową wiedzę na temat anoreksji i wiem, że jadłowstręt jest manifestacją zaburzonych emocji.

– Zabawne, nie? Najpierw się głodziłam, a później byłam na głodzie. – Daria wzrusza ramionami. – Czy ja wiem. Chciałam mieć wreszcie poczucie, że cokolwiek jest pod moją kontrolą. Że ciało mam wreszcie pod swoją kontrolą.

Gdy mruży oczy pod słońce, zmarszczki w ich zewnętrznych kącikach układają się w małe wachlarze. Ma tylko dwadzieścia osiem lat, jest ode mnie o dwa lata młodsza, ale od początku brałam ją za starszą. Kładłam to na karb wyniszczenia nałogiem i wczesnego macierzyństwa, bo urodziła Matyldę jako szesnastolatka. Szukam w głowie czegoś, co mogłabym powiedzieć, co poprawi jej nastrój.

– Ach, bo to wtedy świat stał się pokopany. Pojawił się Photoshop i zaczął nam wmawiać, że fikcyjne kobiece ciała naprawdę takie są.

Daria zakłada nogę na nogę i wprawia w ruch prawą stopę.

– Jasne. Powiedzmy, że to dlatego. Powiedzmy, że chciałam się upodobnić do kobiet z telewizji.

Robi mi się cholernie smutno. Żal mi jej i siebie, Helenki i Matyldy, ale też chłopczyka, który ma przyjść na świat. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Nie dziś.

– O czym tak rozprawiacie?

Bartek znieacka pojawia się pod wiatą. Nie wiem, ile z naszej rozmowy usłyszał, ale Daria od razu się spina.

– O mamie Ani. Nie martw się. – Te słowa kieruje do mnie i kładzie uspokajająco dłoń na mojej. – Na pewno już teraz wszystko będzie dobrze.

Bartek rzuca mi pytające spojrzenia ponad jej ramieniem, ale go ignoruję. Od czasu historii z Rebeką wydaje mi się, że cały czas mnie kontroluje. Podnoszę się ociężale z miejsca. Jest ostatni dzień sierpnia i po dwóch chłodniejszych tygodniach dziś znowu jest gorąco. Pocę się nawet w nieoczywistych miejscach, mam wilgotne nadgarstki. Przeczytałam ostatnio, że „ciężarna” to brzydkie określenie, jest przecież wiele innych, ładniejszych, choćby „przy nadziei”. Tyle że dziś nie czuję nadziei. Ledwo się toczę za Bartkiem i Darią do domu.

Zrzucam lepkie ubrania i wchodzę pod prysznic. Uruchamiam deszczownicę i chłodną wodą zmywam z siebie skwar. Korzystam z łazienki na dole, bo ta nowa, na górze, przestała mi się podobać.

REBEKA

Rebeka nie może sobie znaleźć miejsca, odkąd Anna zabrała dzieci i urwała z nią kontakt. Zmiana numeru telefonu na niewiele się zdała. Anna przypuszczalnie od razu ją zablokowała i pewnie nawet nie przeczytała wiadomości.

Wróciła do Lisiej Chaty. To nie tak daleko od Gruszczyna, ale równie dobrze mogłaby wyjechać na biegun północny. Między nimi po tygodniach pączkującej przyjaźni zapanował arktyczny chłód. Rebeka nadal nie może objąć umysłem tego, co powiedziała jej Anna w tę ostatnią noc. Konrad ją zgwałcił? Wyobraża sobie swojego przystojnego męża, jak z białymi zębami ułożonymi na nowo w perfekcyjny zgryz przygniata Annę do ziemi i wciska w nią z nienawiścią swoje nasienie. Nie mieści jej się to w głowie, bo trudno sobie wyobrazić, że mógłby odrzucić ogładę i zwyczajnie, jak pies, zaspokoić żądzę.

Ten akt, okrutny i brutalny, mimo wszystko do niego nie pasuje, ale czy nie mówią tak zwykle partnerzy i sąsiedzi psychopatów, gwałcicieli, pedofilów? A jeśli zgwałconych kobiet było w jego życiu więcej? Czy to możliwe, że właśnie tego typu emocji szukał w klubie fitness? Ofiar wśród instruktorek czy klientek? Może stało się to dla niego nowym rodzajem sportu, kolejną formą treningu, na którą przerzucił się po biegach, MMA, siłowni i jodze?

Komórka Konrada nadal gnije gdzieś na dnie stawu, a jego billingów nigdy nie sprawdziła. Była zbyt rozbita, a policja od razu uznała jego śmierć za samobójstwo. Według nich sprawa była prosta. Para, która dopiero co straciła wyczekiwane dziecko. Kolejne i tym razem ostatnie z długiej linii utraconych. Tyle że coś tu się nie zgadza i tylko Rebeka nie potrafi sobie teraz przypomnieć. Gdyby tylko umiała... Wie jedno. Nigdy nie była w mieszkaniu matki Anny i niczego stamtąd nie zabrała. Zdarza jej się robić różne dziwne rzeczy, nie powiedziała Annie całej prawdy o sobie i o ich spotkaniu, że nie było przypadkowe. Nie powiedziała, że znalazła jej filmiki i że to ona była Jowitą, z którą zaczęła ćwiczyć i medytować i której w pewnym sensie zawdzięcza życie. Ale nie zabrała telefonu z mieszkania jej matki, nie podmieniła tej kobiecie leków. A jeśli nie ona, to kto? Ta myśl powoduje, że zaczyna ją swędzieć skóra.

Tu, w jej domu, Anna, Helenka i Matylda były bezpieczne. Właśnie po to zainstalowała kamery i sprawdzała, czy wszystko jest w porządku, upewniała się raz po raz, że spokojnie śpią. Wbrew temu, co myśli teraz Anna, ona naprawdę chciała nieba jej przychylić i się odwdzięczyć za otrzymane dobro. Teraz wszystko jest poza jej kontrolą. Wszystko spieprzyła.

Pojechała ostatnio do Lisiej Chaty, by spróbować porozmawiać z Anną i wyjaśnić jej wszystko jeszcze raz, osobiście. Bartek jednak stał się agresywny i wrzeszczał, że za chwilę wezwie policję. Nie może zrobić nic więcej, ale wie, że potrzebna informacja jest w jej głowie i wystarczy ją odkorkować jak butelkę wina. Sięga po butelkę malbeca i korkociąg, który firma dołożyła gratis do zamówionej skrzynki. Długo nie piła. Bardzo długo. Zapomniała już, jak miło jest nie tylko pić wino, ale też wąchać je i na nie patrzeć.

Upija łyk i trzymając w jednej ręce kieliszek, a w drugiej butelkę, schodzi do biura. Dom znowu stał się dla niej zbyt wielki i pusty. Sierpień się skończył i ptaki szykują się do odlotu. Słyszała je dziś rano, hałasowały dopingowane przez Django, rottweilera Adama. Poznała imię sąsiada i jego psa dzięki Annie, ale to wcale nie znaczy, że stali się sobie bliżsi. Teraz, gdy nie ma tu dzieci, ona nie spędza czasu w ogrodzie, nie chodzi na spacer. W bezsenne noce słyszy szczekanie, które dobiega z oddali, choć równie dobrze może to być odgłos wydawany przez lisy.

Pamięta ten odgłos jeszcze z Westernowego Miasteczka. To Konrad jej opowiedział japońskie legendy o mądrych i silnych lisach z dziewięcioma ogonami, których futro, gdy przeżyją tysiąc lat, staje się złote. W bezsenne noce oboje ćmili papierosy obok króliczych klatek i próbowali ocenić, czy to dobre „kon-kon”, czy może złe „kai-kai” niesie wiatr z lasu.

Rebeka upija kolejny łyk wina, które w świetle mieni się jak rubin, i otwiera komputer. Robi jej się gorąco, jakby mama okryła ją kołdrą. Wcale nie bezpiecznie, wręcz przeciwnie, bo pewne fakty następują jeden po drugim, nieuchronnie, jak wtedy, gdy kot poluje na mysz.

Leży w swoim dziecięcym łóżku, wąskim i zbyt niewygodnym, by zmieścić się w nim ktoś jeszcze. Mama siedzi w pokoju za ścianą pod lampą z pomarańczowym abażurem. Zwykle czyta o tej porze, gdy Rebeka jest już po kolacji, umyta i ubrana w piżamę. Czyta, a może tylko trzyma w rękach książkę, zamkniętą w kręgu ciepłego światła. Ojciec kładzie się obok Rebeki i opowiada jej bajkę. Tę, co zawsze, o Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach, które mają śmieszne imiona, ale każdy z nich kocha Śnieżkę i chce mieć jej jak najwięcej dla siebie. Krasnoludki są zazdrosne o Śnieżkę. Ojciec bierze jej rączkę w swoją i kładzie sobie na brzuchu, a potem niżej. Wzdycha i czerwieni się na twarzy, jakby go wzburzyła fabuła. Całuje Rebekę w czoło na dobranoc i podnosi się z jej łóżka, zostawiając po sobie wgłębienie, a potem zamyka się w łazience. Słychać plusk wody nalewanej do wanny. Ile lat ma Rebeka? Nie więcej niż pięć czy sześć. Jest mniej więcej w wieku Helenki, gdy usypia kołysana szumem wody ciekącej za ścianą.

Teraz upija kolejny łyk wina i prostuje się na krześle, bo przypomina sobie coś jeszcze. Szósty maja. Anna powiedziała, że ta data wyryła się w jej korze mózgowej na zawsze. Konrad zgwałcił ją szóstego maja. Tyle że siódmego maja, kiedy przyjechał policjant, by powiadomić Rebekę, że ciało jej męża wyłowiono ze stawu, lekarz sądowy oznaczył datę jego śmierci na czwartego maja. Konrad z całą pewnością spędził w wodzie trzy doby,

zajmując się tym, czym zwykle zajmują się topielcy. Dryfował, ulegał rozkładowi w ubraniu z wodorostów. Z całą pewnością nikogo w tym czasie nie gwałcił.

CZEŚĆ CZWARTA

ANNA

Wizyta Darii źle na mnie wpłynęła. Nad resztą jej pobytu zawisła ta sama ciemna chmura, która pojawiła się na jej twarzy pod drzwiami dawnej komórki. Widziałam, że chce jak najszybciej wyjechać stąd z Matyldą, która jak na złość wydawała się tego dnia jakaś rozbita. Włożyła nowy T-shirt, który Daria przywiozła jej z Berlina, i choć różowy napis z przodu głosił *I'm enough*, to twarz dziewczynki wyrażała coś całkiem przeciwnego.

Dzień wcześniej wyjęłam jej słuchawkę z ucha i włożyłam do swojego. Trudno było nie rozpoznać charakterystycznych bitów *Back to Black* i pyskatej Amy Winehouse, patronki udręczonych dusz. Spytałam, czy coś się stało, czy tylko jej smutno, że wyjeżdża, i przyznała, że tęskni za ciocią Rebeką.

– Było z nią fajnie, prawda? – zapytała Matylda, niemal ze mną równa, gdy ją do siebie przytuliłam. Wiedziałam, że do czasu, gdy się zobaczymy następnym razem, dwunastolatka mnie przerośnie. – Było fajnie, jak byliśmy tylko my, dziewczyny.

– *Girl power?* – zażartowałam, zaciskając dłoń, by zaprezentować biceps. – Nie będziesz miała teraz tak samo z mamą?

– Nie. Ona ma już jakiegoś nowego faceta. Ma na imię Hans. Nie żartuję. – Potrząsnęła głową.

Teraz popijam herbatę w mieszkaniu matki, która wreszcie porzuciła szlafrok jak jaszczurka wylinkę i ma na sobie nową dzianinową sukienkę z golfem. Pierwsze dni września przyniosły ochłodzenie i świat przykrywa deszcz bębniący o szyby. Uspokaja mnie lepsza forma mamy, odkąd zaczęła przyjmować właściwe leki, i odstawiam filizankę. W drodze powrotnej chciałabym zajechać na Śródkę i zaliczyć medytacyjny kwadrans w pustym kościele, a do tego kawę latte z ciastkiem w kawiarni obok. Owijam szyję kilka razy szalem, który zapewnia mi dodatkowe warstwy ciepła, bo nie dam już rady dopiąć się w żadnej kurtce. Na korytarzu ledwo się przeciskam, bo ktoś wprowadza się do mieszkania naprzeciwko i cały podest jest zastawiony kartonami. Drzwi są otwarte na oścież, ale nikogo nie widzę.

– Jacyś nowi?

Matka kiwa głową.

– Poprzedni sąsiad wyprowadził się, zanim wróciłam ze szpitala. Pewnie do córki. Wspominał kiedyś, że jest wdowcem i ma dorosłą córkę. Nawet się ze mną nie pożegnał.

Widzę więcej niż zwykle rozczarowanie w jej oczach, czyżby wiązała jakieś nadzieje ze starszym facetem, który mieszkał tu wcześniej? Bawi mnie to. Z drugiej strony, czy nie życzyłam sobie, by matka wreszcie się z kimś związała?

– Dobrze, że mieszkanie nie będzie stało puste, bo wśród ludzi zawsze bezpieczniej. Takie jest moje zdanie. Na pewno słyszałaś, co się stało niedaleko Malty?

Kręcę głową.

– No tak... Ty nigdy nic nie wiesz. Siedzisz w tej głuszy odcięta od świata. Znaleźli tę dziewczynę, co to jej szukali.

– Kogoś szukali?

– W twoim stanie. – Matka zerka na mój brzuch przesłonięty szalem. – Nie powinnam ci zresztą mówić.

– Ale już zaczęłaś, więc, proszę, powiedz.

– Jeszcze jak leżałam w szpitalu, pielęgniarki plotkowały, że zaginęła jakaś dwudziestoparolatka. Instruktorka fitness z tego klubu, w którym kiedyś pracowałam. Instruktorka? A może recepcjonistka? – Matka zaczyna się głośno zastanawiać.

– Mamo – przecinam jej tok myślowy. – Gdzie ją znaleźli?

– Jakiś wędkarz wyłowił ją ze stawu. W sierpniu było tak upalnie, że podobno mieli trudności z identyfikacją ciała. Rozkład był...

– Jak miała na imię?

– Czeka, czeka, w gazetach nie podają, ale w szpitalu mówili, że miała na imię Natasza. Nie, nie Natasza, Natalia, choć mi się zawsze wydawało, że to jedno i to samo. Znałaś tę dziewczynę?

ANNA

Trzy dni później proszę Bartka, by po pracy odebrał Helenkę z przedszkola, i jadę do Poznania na pogrzeb Natalii. W połowie długiego konduktu pogrzebowego dostrzegam Sylwię, szefową klubu, która ukradkiem zerka w telefon, i Zużę z zapuchniętymi oczami. Rzucają się w oczy, bo otacza je kordon młodych ludzi w kolorowych ciuchach treningowych, a para w grafitowo-niebieskich dresach Reeboka niesie duży wspólny wieniec. Nie znam ich. Ekipa trenerów i instruktorek faktycznie zdążyła się wymienić od czasu, gdy tam pracowałam. Cmentarz puchnie w szwach, bo to medialna sprawa i chyba tylko ja jedna nie miałam pojęcia o zaginięciu pracownicy klubu. Wokół roi się od poszukiwaczy sensacji.

Teraz już wiem, że Natalia zginęła pod koniec lipca. Słyszałam nawet plotki, że była w ciąży, choć nic na ten temat nie wspomniała podczas naszego spotkania w Bar a Boo. Myślałam, że te czasy już dawno minęły, ale podobno jako motyw samobójstwa policja podejrzewa niechcianą ciążę. Gdy znaleziono ciało, zaawansowany rozkład zwłok uniemożliwił jednak stwierdzenie, czy Natalia faktycznie spodziewała się dziecka.

Tego wszystkiego dowiedziałam się od Zuzy, do której zadzwoniłam wczoraj wieczorem. Po pogrzebie udaje nam się jeszcze zamienić kilka słów z dala od reporterów, od których roi się pod bramą cmentarza.

– Nadal to do mnie nie dociera. – Zuza osusza chusteczką twarz i łapie mnie pod rękę. Jest przemarznięta, więc oferuję, że podrzucę ją do klubu, bo się rozpadało, a ona ma na sobie tylko cienkie legginsy i niebieską bluzę. Wsiadamy do mojej mazdy i czekamy, aż zwolni się trochę miejsca, żebym mogła zawrócić. Samochody powoli wyjeżdżają z parkingu.

Opowiadam jej, jak w lipcu spotkałam się z Natalią w Bar a Boo i że jak zwykle podrywali ją jacyś faceci. Śmiejemy się, że zawsze lubiła flirtować i być w centrum męskiego zainteresowania. Nie mówię, że myślała o zmianie pracy, bo w klubie działy się rzeczy, które się jej nie podobały. Zamiast tego opowiadam, jak zaprosiłam ją do siebie na wieś, i próbujemy sobie wyobrazić Natalię podczas grzybobrania, które nazywała babraniem. Oślizgłe grzyby były dla niej zawsze obleśne. Nie potrzebowałyby nożyka, żartuje Zuza, chlastałaby je tuż przy ziemi jednym z długich, ostro zakończonych paznokci. Nożycoręka. Poważniejemy, gdy znowu dociera do nas ta koszmarna prawda. Natalia nie żyje.

– Wiesz, to wcale nie była policjantka. Ta kobieta, która węszyła wokół śmierci Wikinga, to znaczy Szymona, i pytała o pracowników klubu, którzy mogli go znać.

Patrzę na nią z udawanym zdumieniem. Sznur samochodów wreszcie się rozluźnił i wyjeżdżam na drogę.

– Skąd wiesz?

– Od prawdziwych policjantów, którzy przesłuchali nas wszystkich, zaraz gdy współlokatorka Natalii zgłosiła jej zaginięcie.

Przypominam sobie, jak wysadziłam Natalię pod gabinetem na osiedlu Polanki, i gładzę swój twardy brzuch. Zuza zapina pas.

– Opowiedziałam im o wizycie rudej kobiety i najpierw stwierdzili, że śledztwo w tamtej starej sprawie od dawna jest zamknięte i nie ma żadnych nowych informacji, a później...

Odwracam wzrok od drogi i rzucam jej pytające spojrzenie, choć domyślam się już, co od niej usłyszę.

– Opisałam im, jak wyglądała, i wiesz, co się okazało?

Potrząsam głową.

– Że nikt taki u nich nie pracuje. Oszukała mnie, a ja okazałam się totalną idiotką. Cóż, niefarbowana blondynka. – Pokazuje palcem poczochną przez wiatr krótką fryzurę.

– Ale po co miałyby cię oszukiwać?

– Policjant, z którym rozmawiałam, pokazał mi jej zdjęcie do weryfikacji i od razu trafił w dziesiątkę. Powiedział, że ta kobieta nazywa się Rebeka Jakubik i jest, jak to określił... znana policji, do tego niezrównoważona psychicznie. Wyobraź sobie, że Wiking miał żonę, i to była właśnie ona.

Dobrze, że Zuza, zaaferowana swoją opowieścią, nie śledzi moich reakcji, bo udawanie zaskoczenia przychodzi mi z coraz większym trudem. Skupiam uwagę na drodze.

– Podobno coś jej się porobiło z głową. Urodziła martwe dziecko jakoś w siódmym miesiącu ciąży i to dlatego piękny Wiking popełnił samobójstwo. Jasne, nie?

Kiwam głową, choć w miejsce jasności wypełzają ku mnie czarne cienie i wyciągają swoje macki. Zuza wyjmuję z kieszeni paczkę gum do żucia.

– Chcesz? Bo ja przez ten pieprzony aparat na zęby nie mogę, wszystko mi się, cholera, skleja. A pożałabym. Wiesz, jak to jest, jak sobie człowiek popłacze. – Opuszcza osłonkę przeciwsłoneczną i przegląda się w zamontowanym tam lusterku. – Chryste, jak ja wyglądam. Jak królik.

Wyjmuję miętową pastylkę i wkładam ją sobie do ust.

– Rozmawiali już z nią? Z tą żoną?

– W związku z zaginięciem Natalii? Nie sędzę. Odniosłam wrażenie, że nie traktują tej całej Rebeci poważnie. Ale kto wie. Może teraz, gdy się okazało, że Natalia nie żyje... – Zuza się krzywi. – Bo te dwie sprawy mogą być ze sobą powiązane – mówi już nieco różniejszym tonem, gdy dojeżdżamy do Galerii Malta i szukam dogodnego miejsca, by wysadzić ją na zewnątrz.

– Jak to powiązane?

Zuza patrzy na mnie z napięciem.

– Pamiętasz, jak Natalia przez cały czas przeżywała, że policja rozmawiała ze mną w sprawie śmierci Wikinga, a z tobą i z nią jeszcze nie?

Przytakuje.

– No właśnie. Chciała nawet ode mnie numer tej policjantki. Powiedziała, że powinnam go mieć, bo przecież śledczy zostawiają swój numer świadkom na wypadek, gdyby coś się komuś przypomniało.

– Ale ty przecież...

– No właśnie. Fałszywe policjantki nikomu nie zostawiają swoich numerów.

– Wiesz może, dlaczego chciała z nią porozmawiać? – pytam z pozoru obojętnie.

– Nie mam pojęcia, ale może miała jej do powiedzenia coś ważnego? Myślisz, że dlatego zginęła? Coś wiedziała? – W ładnych niebieskich oczach Zuzy widzę strach.

– Policja na pewno znajdzie w końcu tego, kto to zrobił. Jeśli to faktycznie nie było samobójstwo.

– Natalia i samobójstwo? Chyba nikt w to nie uwierzy. – Zuza zawiesza głos i spodziewam się, że powie coś w stylu: „Za bardzo kochała życie”, ale ona kończy: „Natala byłaby na to zbyt wygodna”.

Zatrzymuję się na poboczu i włączam awaryjne.

– Kiedy dokładnie współlokatorka zgłosiła jej zaginięcie? – pytam, zanim Zuza wysiądzie z mazdy.

– W niedzielę, pierwszego sierpnia. W sobotę trzydziestego pierwszego lipca nie wróciła z pracy do domu. Pamiętam, ponieważ wzięła moją zmianę. Zapomniałam o panińskim koleżanki, a ta obraziłaby się na śmierć, gdybym nie przyszła. Natalia się zgodziła, ona zawsze babskie chłanie uważała za sprawę najwyższej wagi. Nie będę ściemniać, wszyscy wiedzą, że za nią nie przepadałam, ale czasem była naprawdę, kurde, no... – Zuza wysiada, machając ręką, i rozgląda się na boki, a potem przechodzi na ukos przez ulicę.

Dziś potrzebuję tego bardziej niż kiedykolwiek i spod galerii jadę w kierunku ronda Śródkka. Parkuję obok Stempla, który uważam już niemal za prywatną kawiarnię, ale najpierw idę do kościoła i siedzę tam wyjątkowo długo. Ostatni dzień lipca, sobota, próbuję sobie przypomnieć, gdzie ja wtedy byłam, co robiłam. Na pewno mieszkałam jeszcze z dziewczynkami u Rebeki. Wyjmuję z kieszeni telefon, by sprawdzić SMS, w którym umówiłam się z Natalią na spotkanie w Bar a Boo. Jeszcze go nie usunęłam i widzę, że spotkałyśmy się na dwa tygodnie przed tym, zanim zginęła. Usuwam wiadomość przepelniona poczuciem winy, choć nie mogłam w żaden sposób zapobiec temu, co ją spotkało.

Wracam do domu głodna, bo zrobiło się późno, a w kawiarni wypłam tylko małe espresso. Tak małe, że darowałam sobie rytualny kawałek ciasta. Kelnerka, która już mnie rozpoznaje, uśmiechnęła się i powiedziała, że to przecież nie mój dzień. Odwzajemniam jej uśmiech i zastanawiam się, co robić dalej.

Podgrzewam wczorajszą zupę na małym ogniu i wyjmuję z lodówki składniki na sos, który podam z kaszą gryczaną na drugie danie. Kroję pieczarki, paprykę i cukinię, starając się nie myśleć o Natalii, nie przypominać sobie, jak siedzi naprzeciwko mnie i wbija widelec w pomidorek koktajlowy, wachlując się rzęsami.

Gdy zupa jest już gorąca, słyszę, jak Bartek zajeżdża pod dom, a potem wesołe przekomarzanki jego i Helenki przenoszą się pod okna. Helenka wita się ze mną głośno, wylewnie, bo jak zwykle wraca z przedszkola w bardzo dobrym humorze, stęskniona za nami i za domem. Domyślam się, że Bartek uzgadnia coś z Markiem, szefem nowej ekipy, tej od granatowego vana, bo dochodzi właśnie szesnasta i kończą pracę na dziś. Idę tam, by zawołać go na obiad, ale widzę tylko jednego z pracowników, który porządkuje narzędzia. Bartka nigdzie nie ma, a starszy facet, Marek, siedzi już w sfoferce. Wystawił łokieć przez okno i pali papierosa.

Wracam do kuchni i nalewam Helence talerz zupy, bo w przedszkolu jedzą bardzo wcześnie i zdążyła zgłodnieć. Zerkam przez kuchenne drzwi do ogrodu. Moją uwagę przykuwają uchylone drzwi do szopy. Jeszcze nie widziałam, jak tam jest w środku, i mnie to ciekawi. Jestem w połowie drogi, gdy Bartek jakby zbyt szybko wyłania się ze środka i zamyka drzwi na kłódkę. Całuje mnie w czubek głowy, po czym przykładą rękę do brzucha, który teraz, kiedy jestem w ósmym miesiącu, zdaje się nie należeć już tylko do mnie, ale do ogółu.

– Mówiłem, żebyś nie zostawała do końca. – Ścisną moją dłoń z lekką naganą. – Wszystko w porządku? Żałuję, że nie mogłem ci towarzyszyć podczas pogrzebu.

Na upartego mógł sobie załatwić zastępstwo w szkole, ale nie wymagałam tego od niego. Przecież on w ogóle nie znał Natalii. Dopiero niedawno się dowiedział, że zanim zajęłam się romansami, pracowałam w klubie fitness jako instruktorka jogi. Nie to jednak zaprzęta moją uwagę. Przypomina mi się, jak Daria nie chciała wejść do naszej nowej łazienki wygospodarowanej w starej komórce na miotły i jak wzdrygnęła się, pytając, czy kiedykolwiek byłam w szopie dziadka. Dziada. Tak o nim mówiła, kiedy Bartka i dziewczynek nie było w pobliżu.

Czy to możliwe, że w tej szopie nadal leżą stare klatki z lisiej fermy i Bartek nie chce, żebym je zobaczyła? Może wstydzi się okrutnej przeszłości tego miejsca, a może ukrywa tam coś jeszcze?

REBEKA

Picie, tak jak za pierwszym razem, pomaga Rebecce tylko w jednym. Rozrzęda czas. Zamienia dom w klepsydrę, pokrywa wszystko piachem. Jeśli skrycie liczyła na to, że Jowita znowu pojawi się w jej życiu i rzuci kolejne koło ratunkowe, to dopada ją bolesna prawda. Nie ma żadnej Jowity i nigdy nie było, karci się w myślach. Jest tylko Anna, która nie chce mieć z nią nic wspólnego, bo schrzaniła sprawę.

Poza momentem, gdy wreszcie skojarzyła fakty i zrozumiała, że jej mąż nie mógł zgwałcić Anny, bo w tym czasie dryfował poczemniały i wzdęty w kierunku zwałonego przez bobry pniaka, pod którym go znaleziono, nie miała więcej olśnień. Czuje się żalosna. Poprzednim razem kręciła się wystarczająco długo na tej karuzeli, by wiedzieć, że nawet najlepszy malbec, i to pity w ilości hurtowej, nie ma mocy, by przywrócić komukolwiek pamięć. Nie uśmierza też bólu i nie leczy.

Otwiera drzwi z nadzieją, że to będzie Anna, ale na progu widzi tego samego policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Konrada czy Szymona, jak oni wszyscy go teraz nazywają. Policjant patrzy oceniająco na kieliszek w jej ręku, gdy otwiera mu drzwi. A niech sobie patrzy. U niej po staremu.

– Widziałem dziś panią na pogrzebie – mówi, zapadając się w niewygodnym fotelu w pepitkę, który wskazuje mu Rebeka, i wyjmując notes i długopis.

Jest komisarzem. Awansował od śmierci Konrada, co podkreśla z niechęcią. Chyba uważa, że to przesłuchanie powinien odbębnić młodszy stopniem policjant. Rebeka upija kolejny łyk wina. Cóż, ona też wolałaby, żeby przysłali kogoś innego.

To prawda. Była na pogrzebie Natalii. Nie miała makijażu, a włosy związała w kok i wcisnęła pod kaptur. Nie spodziewała się, że ktoś ją rozpozna. Przyszło dużo ludzi, bo o poszukiwaniach dziewczyny było głośno w mediach.

– Znała pani Natalię?

– Osobiście? Nie, ale z pewnością pan pamięta, że mój mąż chodził do tego klubu. Czuję się z nim, hmmm, powiedzmy, że duchowo związana. – Rebeka dolewa sobie wina i jego też częstuje, ale komisarz odmawia, posyłając jej kolejne karcące spojrzenie.

– Tak bardzo związana – mężczyzna zagląda do notesu – by dwudziestego siódmego kwietnia bieżącego roku rozmawiać z panią Zuzanną Kolską, podając się za policjantkę?

A więc już wiedzą.

– Dziwi pana, że drążę? Po latach nie jestem już taka pewna, czy mój mąż popełnił samobójstwo. A pan? – pyta niemal kokietyjnie, wiodąc palcami po smukłej nóżce kieliszka.

– Sama się pani wtedy skłaniała ku wersji z samobójstwem. Mąż nie miał żadnych wrogów, na ciele nie było obrażeń, a kilka dni wcześniej znowu straciliście państwo dziecko.

Rebeka mruży oczy.

– Och, byłam wtedy rozpieprzona. Solidnie.

Policjant obrzuca ją wymownym spojrzeniem. Zdaje się, że dla niego rozpieprzenie Rebeki jest stanem permanentnym.

– Zuzanna Kolska podała pani wtedy numer telefonu Natalii Molendy. Rozmawiała z nią pani?

– To dlatego pan tutaj jest? – Porusza ręką i mąci rubinową taflę. – W przypadku śmierci mojego męża był pan dużo mniej skrupulatny.

– Już mówiłem – wzdycha komisarz. – W przypadku pani męża wszystko wskazywało na samobójstwo. Ten przypadek jest inny. Każda sprawa jest inna. – Odchrząkuje. – Przykro mi, jeśli pani uważa, że nie zrobiliśmy wtedy wszystkiego, co do nas należało – dodaje pojednawczo i próbuje usiąść głębiej w fotelu. Ma podkrążone oczy i delikatne zmarszczki, które układają się na czole w symetryczny wzór. Teraz widać, że się postarzał. – Wiemy, że dzwoniła pani do Natalii Molendy. O czym z nią pani rozmawiała?

Rebeka odstawia kieliszek na stół. To nic nie da, jeśli mu powie prawdę.

– Zapytałam Natalię, czy ktoś z policji w ogóle z nią rozmawiał po śmierci mojego męża. Spytałam, czy może przypomina sobie coś z dnia, w którym mój mąż zaginął. To był czwarty maja, jego ciało znaleźliście siódmego maja, dawne dzieje, nie pamiętała. Spytałam więc o ostatnie dni, kiedy przychodził do klubu. Czy może rzuciło jej się wtedy w oczy coś charakterystycznego.

– I co? – pyta komisarz bez większego zainteresowania.

– Niestety nie. Minęło zbyt dużo czasu.

Rebeka odprowadza go do drzwi i wraca do pokoju, chwając się lekko na nogach. To już coś więcej niż rausz, ale co tam. Hej, przygodo! Nalewa sobie kolejny kieliszek, a w butelce widać już dno. Gdyby tylko mogła przypomnieć sobie tamtą twarz. Usta wykrzywione w grymasie. „I tak nie byłabyś dobrą matką!”

Po pogrzebie widziała, jak Zuza wsiada z Anną do samochodu, i trzymając się w bezpiecznej odległości, pojechała za nimi do Galerii Malta. Wpuściła przed siebie Citroëna i jakąś taksówkę, by nie budzić podejrzeń. Kiedy mazda stanęła na światłach awaryjnych, wycofała się w boczną uliczkę i poczekała, aż Zuza wysiądzie, a Anna ruszy dalej. Jechała za nią na Śródkę, a tam widziała, jak skręca w zaułek, w którym stoi stary gotycki kościół obok kawiarni Stempel. Tej, w której się kiedyś spotkały.

Rebeka zaparkowała bliżej ronda i przeszła się do kawiarni na piechotę. Idealna okazja, by wreszcie porozmawiać z Anną, ale nie znalazła jej w środku. Toaleta dla klientów też była pusta. Wyszła na zewnątrz. Mazda nadal stała zaparkowana na rogu, tak samo jak czekająca na kogoś taksówka, ale Anna jakby się rozplynęła w jesiennym mgle.

ANNA

Wkładam spodnie w kwiaty na luźnej gumce i starą koszulkę Bartka, tę wielką, z poznańskiego koncertu Deep Purple z dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Gdyby był w domu, pewnie by marudził, bo to jedna z dwóch ulubionych, może nawet ta NAJ, ale cóż, do sprawiedliwości i tak daleko. Powinnam mu zwrócić T-shirt razem z ciężkim brzuchem pełnym gniewnych, coraz bardziej „chłopackich” kopniaków.

Koszulka jest długa i dzięki temu nie sterczy jak namiot na moim ogromnym brzuchu. Narzucam sweter, który dawno już się nie zapina, na to kolorowy szal. Wydaję się drobniejsza, niższa ze względu na brzuch, i w tym stroju przypominam pomyłone dziecko hippisów, lecz wolę to niż drogie ubrania ze sklepów z odzieżą ciężową, które za chwilę staną się bezużyteczne. Usta pociągam ciemnoróżową pomadką. W ciąży rzadko się maluję, ale dziś zrobiłam wyjątek, bo wiem, że już niedługo zakopię się w Lisiej Chacie z niemowlęciem na długie miesiące.

Chcę jeszcze choć przez chwilę pobyc wśród ludzi i wypić latte w Stemplu. Polubiłam klimat tej kawiarni, w której zawsze jest gwarno, ale bez zadęcia, i nie brakuje takich jak ja, klientów solo. Siedzę już za kierownicą, gdy z torby dobiega dźwięk telefonu i ze zdziwieniem widzę na wyświetlaczu imię Matyldy. Dziewczynka się rozłącza, zanim kliknę w zieloną ikonkę, a gdy wybieram jej numer, od razu włącza się poczta głosowa. Próbuję jeszcze raz. To samo. Dochodzę do wniosku, że Mati nacisnęła coś przez przypadek. Z pewnością jest teraz na lekcjach i wkuwa niemieckie słówka.

Siedzę przez chwilę w aucie wybita z rytmu i spoglądam na widoczny za ogrodzeniem dach drewnianej szopy. Wiszące nad nim grube konary glicynii przypominają teraz, pod koniec września, brązowe żyły. Niespodziewany telefon Matyldy powoduje, że myślę o jej matce, siostrze Bartka, i przypominam sobie, jak mnie zapytała, czy byłam kiedyś w szopie. „Nikt nigdy nie powinien tam już mieszkać”, powiedziała Daria, kiedy Bartek przepadł na niemal dwa dni i do niej zadzwoniłam. Dziwiła się, że nadal się nie pozbył starych narzędzi stolarskich dziadka. Cóż, znając Bartka, pragmatyzm przed sentymentem, więc jeśli te narzędzia nadal są użyteczne lub mają wartość kolekcjonerską, to nigdy ich nie wyrzuci.

Chciałabym zajrzeć do środka, ale Bartek ma przy sobie jedyny klucz. Nadal siedzę w aucie, gdy łapię na sobie wzrok pracownika nowej ekipy, która kładła elewację na domu. To starszy facet, pozostałych szef wysłał już na budowę do nowego klienta. Rusztowania zabrali wczoraj, ale on ma wykonać jakieś małe poprawki. Kiwam mu głową i odpalam wreszcie silnik.

Zmierzam na Śródkę, a po kwadransie w pustym kościele, w którym dziś marznę, bo dni są już chłodne, idę do Stempla i zamawiam herbatę imbirową i szarlotkę na ciepło, żeby się rozgrzać. W pierwszej chwili nie poznaję Rebeki, która dosiada się do mojego stolika, bo nie ma na twarzy ani grama makijażu. Jest też dużo chudsza niż ostatnio, a w jej oczach jak elektryczny impuls przeskakuje niebezpieczny błysk. Patrzę na tłuste włosy zwinięte w ślimaka na czubku głowy i dociera do mnie, że jestem zbyt ociężała, by uciekać.

– Daj mi tylko pięć minut – mówi, a jej ton jest spokojny, dykcja przesadnie wyraźna, jakby zwracała się do przedszkolaka. – Jeśli po pięciu minutach nadal będziesz chciała, żebym poszła sobie w diabły, to tak właśnie zrobię i nigdy więcej nie będę cię nagabywać. W porządku?

– Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz?

– Nie miej do niej żalu. – Wskazuje oczami kelnerkę, która kręci się po sali. – Przyjechałam tu za tobą po pogrzebie Natalii, ale zniknęłaś mi z oczu. Podobno regularnie wpadasz tu na kawę i coś słodkiego mniej więcej o tej godzinie. Domyślam się, że później odbierasz Helenkę z przedszkola.

– Niech zgadnę, jej też powiedziałaś, że jesteś policjantką? Zostały ci cztery minuty. – Mrużę oczy, a Rebeka patrzy na mnie ze smutkiem.

– To nie był Konrad. To nie mój mąż zgwałcił cię szóstego maja, bo szóstego maja skubały go już ryby w stawie. W dodatku od dwóch dni. Są na to dowody, papiery. Jeśli mi nie wierzysz, to zapytaj policjanta, który nadzorował śledztwo w sprawie jego tak zwanego samobójstwa. Teraz jest komisarzem. Mówiłaś, że wsadził ci w usta jakąś szmatę i straciłaś przytomność. Zaatakował cię od tyłu, prawda? Nigdy nie widziałaś twarzy gwałciciela?

Rebeka kładzie na stoliku wizytówkę komisarza Sielawy i przesuwa ją po blacie w moim kierunku. Milczę. Trawię to, czego się właśnie od niej dowiedziałam. Coś tu nie gra, przecież widziałam Wikinga, Szymona czy też – jak ona o nim mówi – Konrada. To on rzucił mi powłóczyste spojrzenia, podarował mi kolczyki i to on wysłał mi wtedy, sześć lat temu, SMS z propozycją wieczornego spotkania przy kładce. To dla niego założyłam te kolczyki i nową bluzkę. Ale czy naprawdę widziałam jego twarz tamtego wieczoru? Było ciemno, wszystko stało się bardzo szybko. Rebeka ma rację, nie jestem pewna.

– Tak zwanego samobójstwa? Co masz na myśli? – pytam, gdy kelnerka zbiera nasze zamówienia i się oddala.

– Powiedziałaś, że ukradłam z mieszkania twojej matki twojego starego samsunga. Co na nim było?

– SMS od twojego męża. Umówiliśmy się na spotkanie wieczorem szóstego maja, ale skoro on już wtedy nie żył, to kto...

– No właśnie. – Rebeka nachyla się nad stołem, posyłając mi rozgorączkowane spojrzenie. – Nie rozumiesz? Mężczyzna, który cię zgwałcił, to ten sam facet, który wcześniej zamordował mojego męża. Chciał, żebyś myślała, że zrobił to Konrad!

– To porąbane.

– Owszem, ale jeszcze bardziej porąbane jest to, że ten człowiek jest nadal na wolności. Dalej, myśl. Śmierć Natalii nie wydaje ci się podejrzana? Kiedy się z nią spotkałaś?

– Teraz nie pamiętam dokładnie, ale mieszkałam wtedy u ciebie.

Czekamy w ciszy, aż kelnerka zdejmie z tacy kawę latte i espresso, a potem Rebeka wychyla się jeszcze mocniej nad blatem stolika i zniża głos.

– Rozmawiałam z Natalią, zanim zginęła. Jej też powiedziałam, że pojawiły się nowe informacje w sprawie śmierci klienta klubu sześć lat temu, i spytałam, czy czegoś sobie nie przypomina.

– Powiedziała coś?

– Okazuje się, że kilka razy przespała się z moim mężem.

– Natalia? To nie ma żadnego sensu. To przecież Zuza się w nim podkochiwała, Natalia nie zwracała na niego uwagi.

– Och, no nie wiem, może na złość Zuzie? – Rebeka wzrusza ramionami. – W każdym razie wygląda na to, że mój mąż nie tylko na jogę przyjeżdżał do waszego klubu.

– Cóż, nie nosił obrączki i nie zająknął się słowem, że ma żonę.

Rebeka macha ręką, unieważniając ten temat.

– Daj spokój, mam to w nosie. To po prostu nowy puzzel, który zamiast wskoczyć na miejsce, rozwała dotychczasową układankę.

– Natalia? Sześć lat temu sypiała z Wikingiem?

Nadal nie mogę w to uwierzyć.

– Powiedziała, że to nie było nic poważnego, ot, przyjemny seks pod prysznicem, który zdarzył im się kilka razy. Także w tym ostatnim dniu, kiedy widziała go w klubie. Kilka dni później usłyszała od kogoś, że mój mąż utopił się w stawie.

– Nie powiedziała o niczym policji? Dlaczego?

– Wypląnęło, że gość miał żonę, więc nie chciała komplikacji? Facet nie żył, podobno popełnił samobójstwo, była kryta. To chyba naturalne, że nie chciała konfrontacji z jakąś zrozpaczoną wdową.

Kiwam głową i bezwiednie zaczynam obracać wokół palca pierścioneł zaręczynowy.

– Powiedziała ci coś jeszcze?

– Nic ciekawego.

Rebeka siedzi z na wpół przymkniętymi oczami, jakby miała za chwilę zasnąć. Mam ochotę ją szturchnąć, ale na szczęście zaczyna mówić dalej.

– To znaczy wtedy wydawało mi się, że to nic ciekawego. Zanim dowiedziałam się od ciebie, że szóstego maja zostałaś zgwałcona, a na spotkanie obok kładki umówił się z tobą SMS-em mój nieżyjący mąż. Zanim zginęła Natalia – teraz okazuje się, że skończyła w tym samym stawie, zapewne zutilizowana w identyczny sposób. Zanim zrozumiałam, że mój Konrad wcale nie popełnił samobójstwa. Ktoś mu pomógł, rozumiesz? Ta sama osoba, która...

Robi mi się słabo i przytrzymuję się stołu. Jeszcze chwila, a stoczę się w otchłań, do której od długiego czasu nie chciałam zaglądać. Rebeka chyba niczego nie zauważa, bo mówi dalej.

– Natalia powiedziała, że tamtego ostatniego dnia, gdy go widziała, gdy uprawiali seks – prawie szepcze i teraz ja, opanowując mdłości, pochylam się nad filiżanką, by przybliżyć ucho do jej ust – słyszała, jak rozmawia z kimś na korytarzu.

– Z kim?

– Nie widziała dokładnie. Na pewno był to trener albo inny klubowicz premium. Wytłumaczyła mi, że nikt bez karty pracowniczej czy premium nie wszedłby do tamtej strefy.

Przytakuję. Nie wiem, jak jest teraz, ale wtedy w klubie funkcjonowała szatnia dla osób z pojedynczymi wejściówkami i klubowiczów standard i osobna strefa premium, której wyposażeniem nasza szefowa próbowała usprawiedliwić wyższe stawki. Były tam luksusowe kabiny prysznicowe, większe szafki i sauny oraz strefa masażu, przy czym ani masażystki, ani masażysty nie należeli do pruderyjnych. Słyszałam też plotki, że szło tam załatwić różne prochy. Wszystko, czego nie dawali w recepcji.

– Podobno się kłócili.

– O co? – pytam, po czym obracam pierścionek wokół palca, a potem go zdejmuję i bezskutecznie próbuję wcisnąć z powrotem na miejsce. Myślenie o Bartku w chwili stresu, ta moja mała wielka magia, nagle przestaje działać, jakby magiczna różdżka była na prąd, który ktoś właśnie wyłączył.

– Nie słyszała dokładnie, ale padło hasło „Lisia Chata”.

– Lisia Chata? Jesteś pewna? To znaczy... Natalia była pewna?

Rebeka kiwa nieznacznie głową.

– Widziała tamtego drugiego faceta?

– Z pewnej odległości. Wysoki i barczysty, dłuższe włosy, sprany T-shirt z koncertu Deep Purple.

Patrzę na Rebeke w osłupieniu, wyglądając na brzuchu fałdy koszulki.

ANNA

Nie pamiętam momentu, w którym pożegnałam się z Rebeką. Jak w transie wychodzę ze Stempla i wsiadam do mazdy. Wykręcam na placu, wymijając zaparkowaną tam taksówkę, a przez cały czas głos Rebeki rapuje w mojej głowie: „Wysoki i barczysty, dłuższe włosy, sprany T-shirt z koncertu Deep Purple”. Rap kończy się melodyjnym zaśpiewem: „Liiiisia Chaaaata” i upiorna pioseneczka zaczyna się od nowa. Refren za każdym razem się wydłuża, by w końcu się przekształcić w jednostajne wycie. Mam tego dość i włączam radio.

Gdy wraca mi poczucie rzeczywistości, mijam tablicę informującą, że właśnie wyjechałam z Poznania. To jeszcze nic nie znaczy, to na pewno nic nie znaczy, próbuję się uspokoić. Natalia nie żyje, więc nie mogę w żaden sposób sprawdzić, czy Rebeka mnie nie okłamała. Jeśli tak, to co, do cholery, robił Bartek lata temu w moim klubie? Skąd znał Wikinga? Czy to w ogóle możliwe, że to nie Konrad, tylko on...

Zmieniam pas i skręcam na Tuczno, grzebiąc jedną ręką w torebce w poszukiwaniu wizytówki komisarza, którą dostałam od Rebeki. W słuchawce odzywa się męski głos.

– Sielawa.

Szybko się rozłączam. Co ja wyprawiam, do cholery? Komisarz od razu oddzwania, ale nie odbieram. Co mu powiem? Powinnam się najpierw uspokoić i poukładać fakty w głowie. Co wiem na pewno i ponad wszelką wątpliwość? Padłam ofiarą gwałtu szóstego maja sześć lat temu. Nie wymyśliłam sobie tego, a żywym dowodem jest Helenka. Na pewno pojawiłam się przy kładce, bo dostałam SMS od Wikinga. Albo... z numeru Wikinga. Rebeka ma rację. Tamtego wieczoru nie widziałam swojego gwałciciela. Zaatakował mnie od tyłu i zatkał usta szmatą nasączoną jakąś substancją, od której szybko straciłam przytomność.

Na pewno Natalia zaginęła trzydziestego pierwszego lipca. Współlokatorka powiadomiła policję w niedzielę, pierwszego sierpnia, że koleżanka nie wróciła na noc. Trzydziestego pierwszego lipca, czy to nie wtedy... Oblewa mnie zimny pot i zatrzymuję się na poboczu.

Gdzie był Bartek trzydziestego pierwszego lipca? Podobno z kumplem na rybach, ale nie wiem nawet, z jakim kumplem. Nie opowiada o nikim szczególnym z pracy, a odkąd z nim mieszkam, odwiedza go jedynie Daria. Wyjmuję z torby telefon, by sprawdzić wymieniane z Bartkiem wiadomości, których na szczęście jeszcze nie usunęłam.

Ręce mi się trzęsą i komórka ląduje pod fotelem, a ja odpinam pas i wysiadam z samochodu, ponieważ z gargantuicznym brzuchem trudno jest mi się schylić. Obmacuję na kolanach zapiaszczoną gumową wykładzinę i odsuwam fotel, bo aparat tam się

zakleszczył. Mój synek wybiera sobie ten właśnie moment, by zacząć kopać z całych sił. „Poczekaj, malutki, zostały nam jeszcze tylko trzy tygodnie”, szepczę do niego, uspokajająco głaszcząc brzuch. Zerkam przy tym na odwrócony napis „Poznań 1991” i najchętniej zdarłabym z siebie T-shirt czy zapięła sweter, ale to niemożliwe.

Słyszę, że mija mnie jakiś samochód, a gdy z trudem podnoszę się z kolan, widzę, że to srebrny opel, taki jak Bartka, i na rozwidleniu dróg kieruje się do Gruszczyzna. Gdyby nie to, że mój narzeczony właśnie uczy ósmoklasistów chemii, pomyślałabym, że postanowił odwiedzić Rebeke. Siadam bokiem na przednim siedzeniu, nie zamykając drzwi, i przeglądam stare SMS-y.

Przebijam się przez mało romantyczne wiadomości na temat rur, płytek, tynków i awarii szamba. Jest ich sporo i dotarcie do trzydziestego pierwszego lipca zajmuje mi dłuższą chwilę. Tego dnia Bartek się do mnie nie odezwał, za to ja wysłałam mu kilka wiadomości, bo to wtedy, w piątek wieczorem, moja matka trafiła do szpitala. Oddzwonił dopiero w niedzielę i powiedział, że kumpel wyciągnął go na ryby. Robi mi się niedobrze. Bartek? Mój narzeczony miałby zabić Natalię, a wcześniej męża Rebeki? To Bartek mnie zgwałcił i to on jest ojcem Helenki? To się przecież nie klei. Nie znał wtedy ani Rebeki, ani mnie. Nie mógł znać Wikinga. To, że poznaliśmy się trzy lata temu zimą nad jeziorem, było przecież przypadkiem. Bezskutecznie próbuję ochłonać.

Fakty są za to nieubłagane. Bartek miał klucze od mieszkania mojej matki i z pewnością niejedną okazję, by przeszukać mój pokój i pozbyć się starego samsunga. Gdy wrócił wtedy, w niedzielę, miał zgolone włosy i zarost. Zrobił to celowo? Zaplanował morderstwo Natalii, która coś wiedziała?

Komórka rozdzwania się w moich rękach i ponownie mi się wyślizguje. Podnoszę ją z trawy. Gdy odbieram, Matylda ma cichy, zgaszony głos.

- Coś się stało? – pytam z niepokojem.
- Nic. Nie mogłam odebrać, bo zaczęły się lekcje.
- W porządku, rozumiem. Wszystko jest okej?
- No tak – przeciąga samogłoski. – Jest tam obok ciebie wujek Bartek?
- Nie, jestem sama. Jadę samochodem. A dlaczego?
- Tak pytam.

Czuję, że jest zdenerwowana, ale nie chcę naciskać. Matylda potrzebuje dużo czasu, taka już jest.

- A co dziś mówi twój T-shirt?
- Eee... nic. To zwykła koszulka dla turystów. *I love Berlin*, taka, wiesz, z czerwonym serduszkami zamiast *love*. A jak się czuje ciocia Rebeka? Czy ona nadal jest chora?
- Nie wiem – w relacjach z Mati stawiam na szczerość. – Kontaktowała się z tobą?
- Nie pamiętasz? Zakazaliście mi z nią rozmawiać.

Pamiętam, doskonale pamiętam. Zaczynam rozumieć, że Rebeka wywarła na dziewczynkę jeszcze większy wpływ, niż mi się na początku wydawało. Robi mi się

przykro, że to wszystko potoczyło się w ten sposób.

– Chciałabym, żebyś jej oddała *Sekret*.

– Sekret? Jaki sekret?

Przez moment mam dziwne wrażenie, że Matylda coś wie o tym wszystkim.

– No *Sekret*, ciociu, tę książkę.

Przypominam sobie charakterystyczną okładkę bestsellera Rhondy Byrne z wielką pieczęcią na środku. Mam przecież identyczne wydanie, które pokazywałam w swoich filmikach na YouTube.

– Zabrałam ją wtedy z Gruszczyzna. – Matylda ścisza głos. – Świsnęłam ją Rebecce.

– Nie mów tak. Zwyczajnie ją pożyczyłaś.

Dziewczynka mówi coraz ciszej, niemal szepcze, i ledwo ją rozumiem.

– Świsnęłam ją. A teraz jest w Lisiej Chacie. Oddaj ją, proszę, Rebecce i powiedz, że bardzo za nią tęsknię. Dobrze? Możesz to dla mnie zrobić?

– Jasne, Mati.

– I... Tylko nie mów o tym wujkowi Bartkowi. Obiecujesz?

Coś mnie ściska za serce.

REBEKA

Rebeka wie, że choć nie padło imię Bartka, to zasiała w sercu Anny ziarno wątpliwości. W swoim zresztą też. Ona sama nie ma przecież pojęcia, dlaczego to obecny narzeczony Anny, sympatyczny nauczyciel chemii, miałby zgwałcić Annę i zamordować Konrada, ale przecież na świecie dzieją się codziennie niezwykłe, okropne rzeczy.

Jak wtedy, gdy w odstępie kilku dni straciła i męża, i swoją długo wyczekiwaną Calineczkę. Jak wiele lat wcześniej, gdy jej matka powiesiła się w łazience, zostawiwszy ją na łasce ojca. „Zło jest banalne”, przychodzi jej do głowy znana teza, z której wynika, że za najbardziej obrzydliwymi zbrodniami stoją zwyczajni ludzie. Ot, takie Bartki.

Rebeka wróciła właśnie do domu ze spotkania z Anną w Stemplu i przemierza salon nerwowymi kroczkami. Jej podeszwy zostawiają za sobą niewidzialny szlaczek pseudoliter z kropkami w miejscach, gdzie stukają jej wysokie obcasy. W kuchni otwiera nową butelkę i napełnia kieliszek. Gdyby potrafiła poprzestać na jednym, może by się wreszcie rozluźniła i przypomniała sobie twarz. Kto na nią wrzeszczał? Lekarz? „I tak nie byłabyś dobrą matką!” Nie potrafi. Za chwilę wypije drugi kieliszek i trzeci, a urywki wspomnienia połączą się w utrwalony dawno temu obraz. Zobaczy twarz Konrada, usłyszy jego głos.

Ma wrażenie, że wchodzi do labiryntu, i nadal się boi, że jeśli zabrnie za daleko, to nigdy już stamtąd nie wróci.

Czuje liście ciężkie od błota, widzi niski horyzont. Co jeszcze? Tęczowa rybka zgnieciona w palcach, biała koszula, rozsypany talk, usta wykrzywione złością, zapach L'Occitane. Rebeka trafia tu za każdym razem i wraca, jakby kończył jej się sznurek rozwinięty u samego wejścia. Błoto, rybka, koszula, usta, L'Occitane. A gdyby tak pójść dalej? Krok dalej? Bez sznurka? Na samą myśl, że mogłaby na zawsze utknąć w labiryncie tamtego wspomnienia, zamiera ze strachu. Jej nogi stają się ciężkie jak ołów, a twarz wykrzywia się w brzydkim grymasie.

Musiała o swoich podejrzeniach powiedzieć Annie, nie miała wyboru. Nie żyje Natalia i jeśli Bartek miał coś wspólnego z jej śmiercią, to Anna może być w ogromnym niebezpieczeństwie. A jeśli to, że ona go poznała, nie było wcale dziełem przypadku? Rebeka wyjmuje telefon z kieszeni płaszcza i obraca go w rękach. Zadzwoiłaby do komisarza Sielawy, ale on nie traktuje jej poważnie. Potrzebuje niezbitego dowodu, a nie tylko podejrzeń, bo kłótnia sprzed lat, wywrzeszczane słowa „Lisia Chata” i koszulka Deep Purple to dla policji tyle co nic.

Powinni sprawdzić, kto był w klubie tamtego dnia. Kto z członków premium. Zuza na pewno nadal ma dostęp do tych danych, ale Rebecce już ich nie przekaże. Wie, że ją

oszukała, podając się za policjantkę, i jest na nią wściekła. Może Annie udzieli informacji? Dzwoni do Anny, która o dziwo odbiera po pierwszym dzwonku. Zdaje się, że odpokutowała swoje i jej numer wrócił do łask.

Rebeka zrzuca z westchnieniem buty i podchodzi do okna. Zdejmuje płaszcz. Teraz, gdy przestała stukać obcasami po granitowych płytkach, w domu robi się cicho. W ogrodzie słyszy jakiś szelest, gdy jednak patrzy przez szybę, widzi, że jest tam pusto. Kolorowe liście rozbijał wiatr, ale trzymają się jeszcze mocno, nadal żywe. To taka piękna śmierć, myśli Rebeka, i wyobraża sobie, że mogłaby kiedyś odejść w ten sam sposób. Zabarwić się, mienić się w słońcu wszystkimi kolorami, a potem spaść, po prostu spaść i ulecieć z wiatrem.

Idzie do przedpokoju, by odstawić buty na miejsce i odwiesić płaszcz. Wtedy znowu to słyszy. Nie szmer, stukot, jakby ktoś załomotał do drzwi. Otwiera je i się rozgląda, ale nikogo nie ma. Za furtką dostrzega za to spory kawałek gruzu. Dzieciaki znalazły sobie dziwną zabawę. Rebeka wychodzi za furtkę i patrzy na zapiaszczony asfalt i na pole, na którym we wrześniu deweloper wytyczył nowe działki. Naprzeciwko jej domu powstanie kolejne osiedle szeregowców.

Wraca do salonu i sięga po leżący na stoliku album ze zdjęciami obrazów Salvadora Dali, gdy jej komórka wydaje z siebie dźwięk. Elektroniczne plumknięcie sygnalizuje nadejście SMS-a. To wiadomość od Anny, która szybko wyciągnęła od Zuzy potrzebne dane i wysłała je podobno mailem.

Rebeka nalewa sobie drugi kieliszek wina i idzie do biura w samych rajstopach. Jest jej gorąco, a kamienna podłoga przyjemnie chłodzi stopy. Włącza laptop, szukając na liście klientów nazwiska Halskiego, bo to nazwisko Bartka. Jeśli naprawdę był w klubie tamtego dnia, to jego związek z Anną wcale nie jest dziełem przypadku. Na języku czuje cierpki posmak czerwonego wina, a w żołądku surowy, nieprzetrawiony strach, gdy za plecami słyszy głos.

– Witaj, Rebeko – mówi mężczyzna, zamykając za sobą drzwi.

Tym razem to nie labirynt wspomnień, on tu jest naprawdę. Rebeka widzi twarz, która świetnie pasuje do rozpiętego kołnierzyka koszuli, białego pyłu i tęczowej rybki, którą ktoś zgniótł między palcami. On to zrobił.

ANNA

Gdy wracam, w domu jest pusto. Promienie październikowego słońca wpadają przez nasze nowe panoramiczne okna. Pracownik z ekipy Marka chyba też już skończył pracę, bo nie ma jego samochodu. Widzę, że posprzątał wszystkie śmieci i ułożył stos z kartonów po materiałach budowlanych. Nie mam pojęcia, czy wróci tu po nie, czy też Bartek je po prostu spali.

Trudno mi uwierzyć w ciszy tego pięknego domu, że to on mógł mnie zgwałcić. Wystarczy proste badanie na ojcostwo, ale w głębi duszy wolałabym odsunąć od siebie tę myśl. Mamy się przecież pobrać na Boże Narodzenie, a za trzy tygodnie urodzi się nasz syn. Jest z wykształcenia chemikiem, doskonale wiedział, czym nasaczyć szmatę, podpowiada mi głos rozsądku. Ale gwałt? Zamordowanie Wikinga i Natalii? Dlaczego?

Mój brzuch jest twardy i nisko zawieszony, jakbym za chwilę miała urodzić, i to mnie niepokoi. Powinnam pomyśleć o dziecku i choć na chwilę oczyścić umysł. Z ulgą zrzucam buty, które obtarły mi spuchnięte stopy, i wkładam wysokie, miękkie kapcie w norweski wzór. Zdejmuję sweter i koszulkę Bartka z koncertu Deep Purple, rzucam ją pospiesznie w ką, jakby uszyto ją z pokrzyw. Idę do kuchni, by zaparzyć sobie kubek kojącego rumianku. Trochę mi ulżyło, gdy na przesłanej przez Zuzę liście gości klubu z czwartego maja nie znalazłam nazwiska Bartka, ale nadal nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Zerkam na stary zegar w kształcie busoli, który on powiesił w kuchni nad wymarzoną szkrynią, i widzę, że do jego powrotu z Helenką została ponad godzina.

Przypominam sobie o książce, o której oddanie poprosiła mnie Matylda, idę więc do pokoju Helenki, w którym spały obie dziewczynki przed wyjazdem Mati do Berlina. Nie widzę *Sekretu* na biurku ani na półkach. Może się pomyliła i jednak nie zabrała książki z domu Rebeki? Patrę na jej łóżko, zaglądam pod poduszkę. Bingo! Wertuję bezmyślnie książkę i natrafiam na luźną zapisaną kartkę. Ręka jest jeszcze niewprawną, to pismo dziecka, więc w pierwszej chwili myślę, że to niezbyt udany wiersz Matyldy o nieszczęśliwej miłości. Przy drugim akapicie przysiadam na łóżku, a wszystkie włoski na ciele stają mi dęba. Wolałabym tego nie przeczytać. Wolałabym odzobaczyć.

Idę do naszej sypialni i przetrząsam prywatne rzeczy Bartka, do których nigdy bym nie zajrzała, gdyby nie to, co przed chwilą przeczytałam. Podejrzenia i wymysły szalonej Rebeki to jedno, ale to? W głowie słyszę cichy głosik Matyldy: „Tylko nie mów o tym wujkowi, obiecujesz?”. Przetrząsam szafę Bartka i jego biurko, wyrzucając zawartość szuflad na podłogę. Sama nie wiem, czego szukam, ale rozpoznam to, gdy znajdę. Dowody. Pamiątki. Świństwa.

Wybiegam do ogrodu, do szopy, i szarpie za kłódkę. Czy to dlatego nigdy nie byłam w środku? To tam, w tej obrzydliwej szopie, chowa suweniry? Zachowuję się jak wariatka, widzę oceniające spojrzenie pracownika, który jednak jeszcze nie odjechał. Stoi na ścieżce ze spakowaną skrzynką na narzędzia.

Dzięki Bogu, że nadal tu jest, bo bez jego pomocy nie poradziłabym sobie z kłódką.

– Jest pani pewna? – pyta, jakbym prosiła, żeby napadł ze mną na bank. – Mąż nie będzie na mnie krzychał?

– Ależ skąd. – Odgarniam z czoła spocone włosy i rzucam mu najserdeczniejszy z uśmiechów. Nie dementuję, że to jeszcze nie mąż, że ze mnie tylko narzeczona. Chcę, by był pewien, że mam takie samo prawo jak Bartek wejść do szopy. On jednak nadal wątpi, przestępuje z nogi na nogę.

– Kot mi tam wlaź i nie umie wyjść – mówię w końcu załamującym się głosem. – Buka, nasz kot. Pamięta go pan?

Kręci głową. No tak, Buka uciekła wcześniej, gdy pracowała u nas ekipa Jarka.

– Miauczy, biedaczek.

Milczymy, nasłuchujemy, ale rzecz jasna z czeluści szopy nie wydobywa się żaden dźwięk.

– No dobrze, skoro pani tego chce – mówi w końcu ten facet i odstawia skrzynkę na ziemię. – Klient nasz pan.

Wyjmuje młotek.

– Proszę się odsunąć – krzyczy ostrzegawczo i wali ostrzem w kłódkę.

Szopa dziadka wreszcie stoi przede mną otworem. Telefon zostawiłam w domu, szkoda, włączyłabym funkcję latarki, bo w środku jest ciemno. Dostrzegam jednak żarówkę i włącznik światła.

– Kici, kici – nawołuję fantomowego kota i szybko zamykam za sobą drzwi, chowając się przed wzrokiem ciekawskiego pracownika.

To ponure miejsce, nawet gdy ciemne kąty opromienia snop światła. Mrugam oczami. Pierwsza rzecz, na której koncentruję wzrok, to włożone jedna w drugą klatki na przeciwległej ścianie. Nie muszę podchodzić bliżej, by wiedzieć, że to te same, o których wspominała Daria. Stare klatki z lisiej fermy, porzewiałe i brudne od zaskorupałych odchodów.

Po lewej stronie stoi stół stolarski, a na nim narzędzia, które przypominają eksponaty w skansenie. Rozpoznaję strug i dłuta, jest też kilka różnej wielkości młotków i ręczna piła z wyłamanymi zębami, a także kilka innych, których nie potrafię nazwać. Biorę do ręki coś, co wygląda na pilnik, i odkładam z obrzydzeniem, bo dopiero teraz dostrzegam, że na stole pełno jest mysich czy szczurzych bobków. Po prawej stronie stoją na wpół przegniłe pudła i gdy do nich zaglądam, widzę prototyp arkuszy w Excelu, odręczne wyliczenia, buchalterię lisiej fermy. Przemoknięty wielokrotnie i wysuszony papier jest napuchnięty, guzłowaty jak dłoń starego człowieka. Rozpada się w moich rękach. Tu i ówdzie widzę

ledwo czytelny napis „liczba sztuk”, ale cyfry w kolumnach dawno zmieniły się w strugi atramentu, kiedyś rwące, teraz wyschnięte jak koryto starej rzeki. Uciekły poza linie tabel. Gdyby tylko ten sam los mógł spotkać lisy.

Szywniej na widok wielkiego, włochatego pająka, który zawisł nad kartonami w brudnej pajęczynie. On też zamarł, ale po sekundzie decyduje się na ucieczkę. Od dziecka nie znoszę pajaków, uskakuję więc jak szalona i wpadam na brudne klatki. Z bliska widzę, że w najmniejszej coś jest, i wkładam palce między pręty, pociągam za obrozę. Tyle razy wyprowadzałam z Helenką psa sąsiadów, że nie muszę czytać wygrawerowanego na niej imienia Hugo. Mój brzuch, od kilku godzin twardy jak z kamienia, zaczyna bulgotać.

Zobaczyłam dość. Chcę stąd wyjść, natychmiast. W pędzie do drzwi obijam się jak pijana o stół stolarski, pod którym stoi jeszcze jeden karton. Ten jest nowy, nie zdążył zbutwieć. Bartek musiał go przenieść do szopy przed remontem. Widzę nierówny napis pisakiem w poprzek jednego boku: „Materiały szkolne, pomoce”. To jego rzeczy. Rozrywam paznokciami taśmę, która szybko puszcza dzięki panującej w szopie wilgoci. Przekopuję się przez zbiory zadań z chemii i teczki z wydrukami testów dla uczniów klas siódmych i ósmych, ale pomiędzy książkami upchnięta jest reklamówka, a w środku dwa staniki dla dziewczynki i kilka par majtek z wizerunkami piesków, kotków i króliczków. Poznają bieliznę Mati. Mój Boże, mój Boże, przecież Bartek jest jej wujkiem!

Przypominam sobie kartkę Matyldy, którą znalazłam w książce. Nie myślała, że to przeczytam, zanim oddam *Sekret Rebecy*? A może... Kolejna myśl przygniata mnie, aż się garbię nad spróchniałą deską. A może Matylda nie ufała, że jej pomogę. Uznała, że wezmę stronę Bartka, swojego przyszłego męża, i ona może liczyć jedynie na Rebece. To wstrętne.

Dziki lis przychodzi nocą. Czeka, aż wszyscy zasną. Przykłada ogon do mojego miękkiego brzucha i nazywa mnie swoją małą myszką. Kocha. Bardzo mnie kocha. Mokrym palcem ślinię sobie powieki. Czuwam, a od czuwania gubię wszystkie rzęsy. Gdy przychodzi, udaję, że śpię. Chciałabym zacisnąć uszy, tak jak zaciskam oczy. Nie chcę słyszeć, jak dyszy. Mówi: pogłaskaj go. Pogłaskaj ogon liska. Mówi, że to będzie naszym sekretem. Ale ja niedługo stąd wyjadę, odliczam dni.

Wiem już, co muszę zrobić. Muszę ubiec Bartka, odebrać Helenkę z przedszkola i wyjechać daleko stąd. Lisia Chata... Sąsiadka miała rację i Daria miała rację. To przekłete miejsce i nie zmieni tego żaden remont. Nie obchodzi mnie już, dlaczego Bartek to zrobił. Dlaczego mnie zgwałcił. Dlaczego zabił Wikinga i Natalię. Dlaczego zabił Hugo, oddanego, niewinnego psa. Mogę się tylko domyślać, co zrobił z kotem. Dziadek go tego nauczył, gdy pomagał mu jako dzieciak na lisiej fermie? Zwyródniałstwa?

Opadają mnie gorączkowe myśli. Szybko. Helenka niech zapomni, że ten bydlak kiedykolwiek istniał. Jeśli chodzi o Mati, to wszystko przekażę Darii i mam nadzieję, że podejmie kroki. Muszę zadzwonić po policję, do komisarza Sielawy. Muszę... Silny skurcz składa mnie w pół i z trudem łykam powietrze. Ból jest obezwładniający. Gdy mija, próbuję otworzyć drzwi szopy, ale coś jest nie tak. Szarpię z całej siły, lecz nie puszczają. Zaczynam w nie walić i wrzeszczeć z nadzieją, że pracownik ekipy jeszcze się tu kręci, ale nic z tego. Najwyraźniej zabrał skrzynkę z narzędziami i odjechał na dobre.

Ocieram pot z czoła i nasłuchuję. Na zewnątrz panuje cisza, nie słychać nawet zwierząt. Jelenie nie ryczą w dali, nie szczekają psy. Czuję za to swąd dymu, jakby ktoś właśnie rozniecił w ogrodzie ognisko. Ten pracownik postanowił przed odjazdem spalić kartony? Czy to Bartek wrócił wcześniej do domu? Przypominam sobie srebrnego opla, który wyminął mnie, gdy na klęczkach szukałam telefonu, i skręcił na Gruszczyń. Pojechał najpierw do Rebeki, by ją wykończyć, a teraz chciał zabrać się za mnie i tylko nie wie, że jestem w szopie? Rzucam się plecami na drzwi, ale to też na nic. Wywołuję tylko kolejny skurcz, gorszy od poprzedniego. Zwijam się z bólu, mokra od potu i łez. Skurcz mija, a ja czuję, jak coś spływa mi po nogach. Odeszły mi wody.

ANNA

Swąd dymu wgryza się w ściany drewnianej szopy, a ja wiem już, że tu utkwiałam i wszystko stracone. Nie zdążę odebrać Helenki i stąd uciec.

Ta myśl nie zaprzęta mnie długo, bo jestem zajęta rodzeniem chłopczyka, który postanowił właśnie teraz przepchnąć się na świat. Helenkę urodziłam przez cesarkę i choć lekarz mówił, że urodzenie drugiego dziecka siłami natury nie jest wykluczone, to obawiam się komplikacji. Mój maluszek nie mógł sobie wybrać gorszego momentu i choć jeszcze kwadrans temu zaprzętała mnie myśl, by uciec jak najdalej od pedofila, którym okazał się mój narzeczony, to teraz mam nadzieję, że wróci za chwilę do domu. Niech mnie uratuje, zanim umrę w bólach porodowych lub zaczadzę się na śmierć. Lub spalę się żywcem, podpowiada uczynny głos w mojej głowie. Udaje neutralnego narratora programu przyrodniczego, ale ja wiem, że to głos mojej matki. To zgorzkniały głos z czasów, kiedy odszedł ojciec.

Kolejny skurcz jest obezwładniający i opieram się ciężko o stół. Na początku oddycham głęboko, przeponą, przypominając sobie wszystko, czego się nauczyłam o oddychaniu, ćwicząc jogę. Pod koniec, w szczytowym punkcie bólu, dyszę płytko jak pies. Gdy wracam do dłuższych oddechów, zdaję sobie sprawę, że w powietrzu jest coraz więcej gryzącego dymu. Głębokie oddychanie w takim przypadku na niewiele się zda. Przypomina mi się pytanie ginekologa podczas ostatniej wizyty, podczas której towarzyszył mi Bartek: „Czy rozważacie państwo poród domowy?”. Cóż, z pewnością nie miał na myśli starej szopy, która za chwilę stanie w płomieniach.

Mam wrażenie, że wszystko dzieje się coraz szybciej. Nie mierzę czasu między skurczami, ale wydaje mi się, że uległ skróceniu do góra dziesięciu minut. Wewnątrz szopy temperatura rośnie i choć nie widzę ognia, to słyszę jego syczenie i wyobrażam sobie płomienie, które ku mnie pełzną. Umrzemy tu, ja i mój synek, jeśli nie zacznę działać w przerwach pomiędzy skurczami.

Przerzucam narzędzia w poszukiwaniu ręcznej piły, w której tkwi kilka niewyszczerbionych zębów, i rzucam się na drzwi. Przykładam ją ukośnie do desek, po czym zaczynam piłować, ale porzewiałe narzędzie ledwo się ślizga po powierzchni. Wskórałam tylko tyle, że przycięłam jeden z wystających sęków. Rzucam piłę w kąt i łykam łzy. Co ja sobie wyobrażałam? Że ze mnie pieprzony MacGyver? Umrę tu. Nigdy stąd nie wyjdę.

Gdy nadchodzi kolejny skurcz, boli mnie w krzyżu, jakby ktoś ciężki siadł mi na plecach okrakiem. Osuwam się na ziemię do klęku i podpieram się rękoma. W ten sposób mniej

boli, ale odkrywam też, że przy ziemi jest więcej tlenu. Łapczywie zasysam powietrze. Gdy skurcz mija, najpierw za bardzo kaszlę, żeby to usłyszeć, ale potem milknę i oto jest. Narastający szum ognia. Ponury odgłos, po którym domyślam się, że ogień strawił już suche gałęzie glicynii i za chwilę zabierze się do wiaty.

Myślę o owadach pirofilnych i żałuję, że nie jestem jednym z nich. W poczekalni u ginekologa widzieliśmy ostatnio z Bartkiem fragment programu o pirofilnych chrząszczach na Animal Planet. Podobno wykrywają ogień z odległości ponad stu kilometrów, a potem osiedlają się na miejscu pożogi i rozmnażają, korzystając z chwili spokoju, gdy ich naturalni wrogowie uciekną lub spłoną. Śmialiśmy się z Bartkiem, że to „chrząszcze pożarniczkii”.

Czy on tu jest? Wie, że jestem w szopie, i czeka, aż spłonę? Byłby naprawdę zdolny skazać mnie na taką śmierć? Mnie i swojego syna? Nawet po wszystkim, co o nim wiem, o tym, co zrobił psu, Matyldzie, Wikingowi, Natalii, mnie... trudno mi uwierzyć, że stoi na zewnątrz i patrzy. Jeśli tu spłonę, moja śmierć też zostanie uznana za nieszczęśliwy wypadek. Pracownik zezna, że weszłam tu sama za kotem, a potem zatrzasnęły się drzwi. Wypadek, tylko tyle. Bartkowi znowu się upiecze, a ja spalę się na wiór. Krztuszę się i pomału chyba odlatuję. Stop! Weź się w garść, dziewczyno! Znowu słyszę w głowie głos matki, ale tym razem jest silny i władczy. To jej wcześniejszy głos z czasów, zanim odszedł ojciec.

Z pozycji na czworakach widzę starego znajomego, włochatego pająka, który najwyraźniej nie jest owadem pirofilnym, bo ucieka przed ogniem i znika w szczelinie między deskami. Jest zbyt mała, bym i ja mogła się tamtędy przecisnąć, ale to moja jedyna szansa, by nie spłonąć żywcem. Nadchodzi kolejny skurcz, zdaje się, że jeszcze szybciej, i zaciskam zęby. Nie chcę stać się bohaterką jutrzejszych nagłówków: „Kobieta rodzi w szopie, a za chwilę ona i jej syn giną w płomieniach!”.

Gdy ból mija, czuję przypływ adrenaliny i biorę ciśniętą w kąt piłę. Zaczynam piłować częściowo wyłamana deskę, by powiększyć dziurę przy ziemi. Drewno jest tam słabsze niż w drzwiach, zbutwiałe i wielokrotnie podgryzane przez gryzonie, dzięki czemu szczerbata piła daje radę. Piłuję jak wściekła, nie myśląc o niczym poza dzieckiem, które muszę ocalić.

Wycinam kawał zniszczonej deski, ale otwór jest nadal zbyt mały, bym mogła się przecisnąć. Nie z tym brzuchem. Na szczęście sąsiednia okazuje się na wpół spróchniała i wystarcza kilka ruchów piłą, bym mogła się wydostać na zewnątrz. Kaleczę się w nogę, ale nie czuję bólu. Przeraza mnie lepka krew na łydce, bo moją pierwszą myślą jest to, że coś się stało dziecku, z ulgą jednak zauważam rozdarcie na spodniach i poranione kolano.

Wypełzam z szopy w ostatniej chwili. Widzę, że dach zajął się właśnie od wiaty, a ogień skacze po suchym drewnie. Wszędzie są kłęby dymu. Muszę stąd iść, jak najdalej, ale łapie mnie kolejny skurcz. Tym razem jest silniejszy i trwa dłużej niż poprzednie. Pełznę przy ziemi i wyję z bólu.

Wiem, że nie zdążę dotrzeć do domu i do telefonu, a nawet gdyby mi się udało, to pogotowie nie dojedzie na czas. Wlokę się jakoś na sam koniec ogrodu, jak najdalej od płomieni, i tam rodzę w kępie przerośniętych pokrzyw, a szopa składa się na moich oczach jak domek z kart.

REBEKA

Rebeka próbuje się poruszyć, ale od razu krzywi się z bólu od zaciśniętej na jej ciele linki holowniczej, wrzynającej się jej w kostki, nadgarstki i ramiona. Stanowi jedność z krzesłem i może jedynie ruszyć głową. Robi to teraz. Skręca z jękiem szyję, by spojrzeć w ekran smartfona. Widzi rude włoski poprzetykane siwizną na palcach, które trzymają telefon przed jej oczami. Na hasło „Jutrzenka” i „Westernowe Miasteczko” Google wypływa kilka linków.

Pierwszy prowadzi do blogu rowerzysty, który odwiedził „Jutrzenkę” dwa lata temu i umieścił na nim zdjęcia przed pożarem i po nim. Sękaty paluch klika w drugi link i na ekranie wyświetla się artykuł z lokalnej gazety. Jest w całości poświęcony pożarowi, który strawił niegdyś popularne Westernowe Miasteczko „Jutrzenka”. Rebeka skanuje tekst, zwracając uwagę na wytłuszczone nagłówki akapitów: „Sprawca nieznany”, „Podpalacza nigdy nie złapano”, „Koniec Dzikiego Zachodu dla najmłodszych!”. Szuka daty. Do zdarzenia doszło dwadzieścia pięć lat temu. Miała wtedy osiemnaście lat i od dwóch lat mieszkała z Konradem w Poznaniu. Pamięta, bo właśnie się pobrali, a jej nowo poślubiony mąż nosił wtedy jeszcze stare imię i nazwisko.

– Teraz rozumiesz? Obiecał, że puści wszystko z dymem, jeśli będę cię szukał, i trzeba skubanemu przyznać, że zawsze dotrzymywał słowa. Ale jak miałem nie przyjechać na ślub własnej córki? Zajęło mi to wtedy dwa lata, w końcu jednak cię znalazłem, moja mała myszko. Czy nie obiecywałem, że zawsze i wszędzie cię odnajdę? Może i jestem stary, ale szczwany ze mnie lis.

Oczy ojca są inne, niż zapamiętała. Dwa wyschnięte źródelka poprzecinane czerwonymi żyłkami otaczają ciemne tęczęwki. Poza tym jest go teraz więcej. Nie tyle przytył, ile stał się potężniejszy. Zabiera jej telefon sprzed oczu i wkłada do kieszeni džinsów. Zaciska pięści poniżej wywiniętych rękawów flanelowej koszuli w kratę, aż grają mu mięśnie przedramion. Wygląda jak krzepki drwal. Nadal ma gęstą czuprynę, choć niechlujną i posiwiałą. Rebeka zastanawia się, ile on teraz ma lat. Sześćdziesiąt trzy? Sześćdziesiąt cztery? Mimo swojego wieku jest silny jak byk i ona dobrze o tym wie, bo wcześniej próbowała uciec. To dlatego została spętana jak owca i przywiązana do krzesła.

Nie krzyczy, bo nic jej to nie da. Nawet gdyby Adam wyprowadzał akurat rottweilera na spacer, to niczego by nie usłyszał. Nie chodzi tylko o odległość domu od głównej drogi, rzecz w tym, że siedzą w dźwiękoszczelnym biurze niczym w bunkrze. Cóż za ironia, sama przecież o to zadbała. Poza tym gdyby Rebeka zaczęła wrzeszczeć, ojciec wsadziłby jej w usta knebel albo zmiażdżył krtań. Teraz rozumie, że jest do tego zdolny. Zastanawia się

tylko, co on tu robi, skoro ten, na którym chciałby się zemścić, dawno już nie żyje. Postanawia grać na czas, bo to zawsze jest dobra taktyka.

– Jak tu wszedłeś?

– Nigdy nie byłeś zbyt mądra, moja myszko, prawda? Rozum odziedziczyłaś po matce. Urodę zresztą też – patrzy z uznaniem na jej rude loki rozsypane wokół twarzy.

– Jak tu włazłeś? – Rebeka podnosi głos. Nie chce, by mówił o matce.

– Wystarczyło pohałasować i sama pobiegłaś za furtkę, a drzwi do domu zostawiłaś szeroko otwarte. Klasyka gatunku, myszko. Tak samo głupiutka jak matka – kręci głową.

– Przestań! – Rebeka szarpie więzy i ląduje z krzesłem na podłodze. Chwilowo jest zbyt zamroczone, by poczuć siłę uderzenia, odzywa się tylko pulsowanie w czaszce.

Ojciec kuca nad nią i odsuwa loki z jej twarzy. Przekrzywia głowę.

– Bo co?

– Bo rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę. Co z tobą jest nie tak? Byłam małym dzieckiem! Ona nie mogła tego znieść, prawda? Zabiła się, gdy się o wszystkim dowiedziała – dyszy Rebeka.

– Myślę, że ona wiedziała od samego początku, moja mała myszko. Podobało jej się, jak przychodziłem do niej co wieczór taki napalony. Później coś jej przeskoczyło w głowie. – Stuka się palcem w skroń. – Odbiło jej, jak wszystkim babom wcześniej czy później. No dobra. Hop-siup – dźwiga Rebeke z krzesłem do pionu. – Chciałoby się powiedzieć, że kondycja nie ta, ale twój stary, jak widzisz, dobrze się trzyma. Nawet Natalia to przyznała. Nie powiem, była niezła, szczególnie pod koniec, jak mi się zaczęła wyrywać. Nie lubię uległych gęsi. Poza, rzecz jasna, tobą, myszko. Ale ty jesteś całkiem moja, krew z krwi.

Rebeka przymyka oczy. Jak mogła być taka głupia i podejrzewać Bartka Anny. Ojciec przysuwa sobie krzesło i ociera chusteczką krew, która leci jej z ust. Upadając, ugryzła się w język i czuje, jak on teraz puchnie.

– Na początku chciałem tylko dorwać tego dupka Konrada i powiem ci, że ta myśl za bardzo mnie zaślepiła. Mieszkałem już wtedy w Poznaniu. Na Lecha. No a wcześniej w Lisiej Chacie.

Szok na jej twarzy jest najwyraźniej efektem, na jaki liczył, bo uśmiecha się szeroko.

– Co tam robiłeś?

– Ale gdzie? Na Lecha czy w Lisiej Chacie? Na Lecha to chyba już wiesz, zawarłem znajomość z pewną starą wariatką. Tyle że ja nie lubię starych kobiet, dla mnie każda po trzydziestce jest już nieświeża. Nawet ty, moja mała... Nie obraż się, kwiatuszku, ale więdnieją w oczach. Sam jestem stary i już mi wystarczy. Nikomu ta stara nie ufała, bo szajbuska, ale mnie się udało. Szybciutko wymieniliśmy się kluczami, bo nie wiem, myszko, czy wiesz, ale zaufanie sąsiedzkie to podstawa w tych nikczemnych czasach. – Uśmiecha się drwiąco.

– Ty zabrałaś komórkę Anny z mieszkania jej matki?

– Oczywiście, i to szybko! Nie wiedziałem, czy smarkata nie doda w końcu dwa do dwóch i nie poleci z SMS-ami martwego sukinkota na policję. To był błąd. To, że od razu nie zabrałem jej telefonu. Jak by ci to powiedzieć, byłem zbyt podekscytowany. Słodką była ta młoda Anna, teraz się z niej Gruba Beka zrobiła.

– A w Lisiej Chacie co robiłeś? – chrypi Rebeka.

– Zaraz, zaraz, moja panno... – Ojciec podnosi w górę palec, jakby chciał zbadać kierunek wiatru. – Nie mieszajmy czasów. Lisia Chata to było wcześniej. Poszedłem tam zaraz po tym, jak mi ten skurwiel Konrad spalił dom, robotę, wszystko. Robiłem to, co w Westernowym Miasteczku, tyle że przy lisach. Dziadzio Bartka i Darii zatrudnił mnie do pracy na fermie. Fajne dzieciaki, szczególnie ta mała. No co ty, nie zrobiłem jej krzywdy. Ktoś inny by ją w końcu rozdziwicył, bo już jak miała dwanaście lat, rwała się do chłopaków jak suka w rui.

Rebeka pochyla głowę, ma dość, nie chce słuchać tego bydlaka ani na niego patrzeć, i wtedy czuje przeszywający ból. Ojciec wali ją w twarz. Teraz krew leci nie tylko z języka, ale i z rozwalonego nosa.

– O nie, tak się nie bawimy, moja myszko. Masz na mnie patrzeć, jak do ciebie mówię.

Ten tekst też przywodzi jej na myśl dzieciństwo. Każdy jego cholernie nieprzyjemny aspekt poza nocami, gdy ojciec się na niej kładł i tłumaczył, że powinna wreszcie polubić jego „ogon”. Wtedy nieprzyjemne stawało się koszmarnie.

– No. – Uśmiecha się do niej szeroko. – Mówię ci przecież, że źle Darii nie traktowałem, ale dziadyga się wściekł, choć sam nie należał do niewiniątek. Więcej dziewczyna ode mnie zaznała czułości niż od niego, a niby z jego lędźwi. Nieraz ją stary w ciemnej komórce trzymał i gadał, że ją wypuści, dopiero jak zmądrzeje. Pytanie kto? Ona czy on? – rechocze ojciec. – Założę się, że i Bartka tam zamykał, jak chłopak był mały. Jak ja się pojawiłem, to już tego nie robił, za to przyłać mu lubił. Twardą rękę miał Ludwik do tych dzieciaków, do lisów zresztą też. Ale jak przyszło co do czego, święty się znalazł. Hipokryta jebany. Wygnał mnie jak psa.

– To ty spaliłeś mu fermę? – szepcze Rebeka. Zaszło jej w gardle, ale nie będzie go prosić o wodę.

– A jakże. Twój Konrad mi pokazał, że nie ma to jak pożar na wyrównanie rachunków. Co nie?

Ojciec zostawia ją na chwilę i wraca ze szklanką, ale sam wypija wodę do dna, niedbale, tak że strumyki uciekają za kołnierzyk koszuli. Dręczenie jej sprawia mu przyjemność.

– Jak mnie znalazłeś za drugim razem?

– Było trochę trudniej, nie powiem. Dlatego upłynęło sporo lat. Ale opatrność czuwa nad twoim starym. Jak mnie Ludwik wyrzucił, zacząłem na taksówce jeździć. Zawsze lubiłem za kółkiem siedzieć, to mnie uspokaja. – Ojciec wysuwa język i przeciąga nim lubieżnie po górnej wardze. Ma pełne usta, jak ona, ale nie pasują do jego surowych rysów i zmarszczek na twarzy. Wyglądają jak doklejony pod nosem pofałdowany grzyb.

– Łatwo jeździć taksówką po mieście i na byle zadupie. Nikt nie zwraca na taksjarza uwagi. Sama wiesz. Albo i nie wiesz. W końcu nieraz jeździłem za tobą. – Mruga do niej, a Rebeka czuje mrowienie pod skórą.

– Zżyłem się z wnukami Ludwika, co się dziwisz. Ty wzięłaś dupę w troki, więc te dzieciaki były dla mnie jak rodzina. Nic dziwnego, że od czasu do czasu lubiłem sprawdzić, co porabiają. Wiedziałem, że Bartek uczy w szkole, a Daria niekiedy zagląda do tego klubu fitness. Ale nie o sport jej chodziło, oj nie, tylko o ćpanie. Lubiła się laska zabawić. W każdym razie często stałem na tamtym postoju.

– Wozileś ją i cię nie poznała? Jak to możliwe?

– Darii nie wozilem. Choć nie sądzę, by poznała. Jak poszedłem precz, miała dwanaście lat. Anię za to, twoją kochaną, podwoziłem, Zużę, Sylwię i inne klubowe pindy, nawet Natalię, choć nie mieszkała przecież daleko, na Polanki. Mówiła mi, że się po nocy boi chodzić. Obcych za to lubiła do siebie sprowadzać, z żonatymi się gziła. Taka niby ostrożna. Dobrze znałem adresy ich wszystkich. Traf chciał, że i Konrada raz tam przyuważyłem. Wyszedł kiedyś z klubu za Darią i wpakował się do mojej taksówki. Miałem go od razu wywieźć do lasu i zaciukać, ale wymyśliłem coś lepszego. Zmienił się, wiadomo, starszy był, bogatszy, uśmiechem, jak to mówią, rozpraszał mrok, ale od razu go poznałem.

– Zawiozłeś go do naszego domu? – domyśla się Rebeka.

Ojciec kiwa głową.

– Ciemno już było, na szczęście, a ja łeb pochyliłem i przez całą drogę milczałem. On do mnie też nie gadał. Rzucił tylko adres, a potem nawijał przez telefon. – Ojciec wzrusza ramionami. – Rozmawiał z kimś o jodze, ale tak, jakby o seksie. Później się dowiedziałem z jego komórki, że nawijał z tą dziewczyną, do której i ty poczułaś miętę. Z Anią. – Uśmiecha się do Rebeki, ale za chwilę poważnieje i wrzeszczy: – Zdradzał cię ten dupek na prawo i lewo. Z takim właśnie cienkim chujkiem ode mnie uciekłaś!

Rebeka się krzywi i pochyla głowę, a ojciec pieścizliwym gestem ciągnie jej podbródek w górę i mówi miękko, jakby opowiadał bajkę:

– No i tak cię, myszko, odnalazłem po raz drugi. Nie pamiętasz? Naprawdę nie pamiętasz nic z tamtej jesiennej nocy, gdy mnie wpuściłaś do domu?

– Ja cię wpuściłam do naszego domu?

– Oczywiście. Bo ja jestem jak wampir – śmieje się ojciec. – No wiesz, nie wejdę bez zaproszenia.

Rebeka znowu próbuje wyplątać się z więzów, szarpie rękami. Teraz pamięta, teraz sobie przypomina. Konrad wyjechał służbowo, a może do Natalii na seks, nie jest już tego taka pewna. Została w domu sama. Była w szóstym miesiącu ciąży, na dworze lało jak z cebra, gdy ojciec stanął za furtką jak duch potępieńczy i błagał, by go wpuściła. Powiedział, że umiera na raka, lekarze dają mu nie więcej niż trzy miesiące życia, i chce ją prosić

o wybaczenie po tych wszystkich latach. Chwila rozmowy, zanim jej stary kopnie w kalendarz, nic więcej.

Teraz to widzi wyraźnie. Wszystko, co wypierała jak zły sen od momentu ocknięcia się w szpitalu. Uklękła pośrodku kałuży, a ona odwróciła się na pięcie i poszła do domu, brodząc w liściach, ale furtkę i drzwi wejściowe zostawiła otwarte. Wpuściła go, to prawda. To ciąża, donoszona wreszcie tyle miesięcy, sprawiła, że zmiękła. Zaparzyła dla nich herbatę i zostawiła go przemoczonego w salonie, a sama poszła do garderoby po suchą koszulę, żeby mógł się przebrać. To wtedy wrzucił jej coś do szklanki. Jakieś świństwo, po którym bardzo szybko urwał jej się film. Koszula Konrada, którą włożył, tak mocno pachniała L'Occitane, że jego twarz zlała się w jej głowie z twarzą męża.

– Ty świnió. Poczęstowałeś własną córkę pigułką gwałtu? Nic dziwnego, że niczego nie wykryli w szpitalu.

Ojciec się nie odzywa. Patrzy na nią, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Podobało ci się. Zrobiłaś się wreszcie zabawna. Nawet trochę mojej koki chciałaś niuchnąć, ale nie dałem. Jak przychodzi co do czego, wszystkie chciecie koks, ale jest drogi i rezerwuję go tylko dla siebie.

No tak, to nie był talk, ten biały proszek z obrazów, które wyświecła jej udręczony umysł. Rebeka przymyka oczy i tak jak w dzieciństwie marzy o tym, by zamknąć też uszy. Na szczęście ojciec nie zwraca uwagi na odwróconą głowę, bo znowu dostałaby w twarz.

– Trochę kwasu i wszystkie robicie się milutkie i zabawne jak małe dziewczynki. Przestajecie wreszcie wbijać szpony i głądzić. Daria, Natalia, ty... Prosiłaś nawet, żebym ci złowił rybkę w akwarium, no to złowiłem – śmieje się do łez – a że łapy mam wielkie... Och, zabawiliśmy się, myszko, w najlepsze. Ty i ja. Nie patrz tak na mnie. Tamtej nocy ci to nie przeszkadzało i nie rzucałaś ciężkimi słowami. Żadnego marudzenia. – Wzrusza ramionami. – Ujeżdżałaś mój ogon jak szalona.

– Byłam naćpana i nieprzytomna, ty bydlaku. Byłam przekonana, że jesteś moim mężem!

– Jasne, jasne. Tyle że twój Kondzio nigdy ci nie potrafił dogodzić. Nie tak jak tatuś.

„I tak nie byłabyś dobrą matką” – Rebecce przypominają się te słowa, a zaraz potem strużka krwi na udzie. To wtedy zorientowała się, że coś jest nie tak. W szpitalu powiedzieli, że to mąż wezwał do niej pogotowie, bo pewnie jej ojciec przedstawił się jako Konrad.

Rebeka widzi teraz wyraźnie twarz ojca wykrzywioną złością. „I tak nie byłabyś dobrą matką! Za bardzo przypominasz swoją rodzicielkę. Jesteś słaba. Tak jak ona”.

– Ty świnió – dyszy Rebeka. – Zabiłeś moje dziecko!

– A ty znowu swoje. Widzę, że nadal jesteś specjalistką od wielkich słów. Dziecko zmarło, selekcja naturalna. Kropka.

– Konrad się o wszystkim dowiedział?

Ojciec patrzy na nią zimno.

– Owszem, zanim mu łeb przytrzymałem pod wodą. To idealny czas na zwierzenia. Chyba nie sądził, że czeka go nagroda po tym, jak mi córkę wykradł jak brudny Cygan, a potem spalił nasz dom. Po co te wielkie oczy? „Jutrzenka” to był nasz dom. Twój i mój. Później zgwałciłem kobietę, na której mu zależało. Ania była urocza, to prawda, choć brzydko pachniała. Wiesz, myszko, nie znoszę zapachu tanich perfum, dość się ich nawdychałem, jeżdżąc na taksówce. Za to do dziś trzymam jej kolczyk. Ładny suvenir. – Ojciec wyjmuję z kieszeni znany jej dobrze niebieski kamień w złotej oprawie. – Nie pasowały do niej, pewnie dostała je w prezencie. Ach, od niego? Od twojego Konrada? – Z przesadą przykładą dłoń do ust. – No nie ma co, córeczko, dokonałaś świetnego wyboru.

Rebeka zamyka oczy i znowu dostaje w twarz.

– Patrz na mnie, gówniaro, jak do ciebie mówię.

Ojciec zerka na zegarek, staroświecki, na skórzanym pasku.

– My tu gadu-gadu, a czas płynie. Muszę się pożegnać z Anią.

– Daj jej spokój.

– Wydaje ci się, że taka z ciebie panna mądralińska? – Chwyta jej policzek między kciuk a palec wskazujący i mocno ściska. Rebeka robi wszystko, by nie wrzasnąć z bólu. – Widziałem cię na pogrzebie Natalii i dziś w Stemplu na Śródcie. Stałem taksówką nieopodal, niewidzialny, jak zawsze.

– Anna nic nie wie. Przysięgam.

– Anna nic nie wie, przysięgam – skrzeczy ojciec, parodiując jej wystraszony ton. Otwiera drzwi.

– Co z nią będzie? – Rebeka próbuje go za wszelką cenę zatrzymać, choć tak naprawdę już wie, że to na nic. Serce wali jej mocno, aż dziwne, że słyszy jego głos.

– Pomysłów, jak widzisz, twojemu staruszkowi nie brakuje. Płodny umysł. – Dźga się znowu palcem w skroń. – A najpiękniejsze jest to, że przez cały czas myślała, że to ten twój dupek Konrad wziął ją w obroty.

– A co zrobisz ze mną? – pyta Rebeka niemal obojętnie, bo już wie.

Zostawi ją tu związaną i zamkniętą w dźwiękoszczelnym biurze. To będzie powolne i okropne umieranie. Wolałaby, żeby od razu ją zabił.

– Z tobą, moja myszko? Ty sobie posiedzisz i przemyślisz, kto był tym dobrym, a kto złym facetem w twoim życiu. Ja bym cię nigdy nie zdradził. Kapałem cię, karmiłem, czesałem, tuliłem, głaskałem, a ty... – Kręci głową. – No nic, muszę lecieć. Obiecałem Anulce, że skończę pracę przy Lisiej Chacie, zanim Bartek i jej śliczna córeczka wrócą do domu. I tak właśnie będzie. Sprytnie to sobie wymyśliłem, sama przyznaj.

– Nie rób jej krzywdy. Helenka jest twoją córką, ty bydlaku.

W jego oczach widzi chytry błysk i z miejsca żałuje, że mu powiedziała.

– Tyle czasu męczyłaś mnie o siostrzyczkę i wreszcie się doczekałaś? A wiesz? To nawet ma sens. Twarz tej małej wydawała mi się jakaś znajoma, choć myślałem, że to bękart Konrada.

– Tamtego dnia, gdy zniknął Konrad... Natalia powiedziała, że był z nim wtedy w strefie premium jakiś facet. Klócili się, usłyszała coś o Lisiej Chacie. Nie ma cię na liście członków premium, którzy byli wtedy w klubie, ale to byłeś ty, prawda?

Ojciec patrzy na nią z łagodnym uśmiechem.

– Naprawdę uważasz, że byłbym taki głupi? Klóciłbym się z facetem publicznie, a potem go zabił? Zapisałbym się do klubu? Nie przyszło ci do głowy, że to mógł być Bartek?

– Bartek? Jego nazwiska też nie było na liście z tamtego dnia.

– I co z tego? Mógł się posłużyć kartą siostry. Oj, głupiutka jesteś po matce, głupiutka. A na imiona spojrziałaś? Pamiętaj, że Daria nie nazywała się wtedy Halska, przez chwilę była przecież mężatką jakiegoś nieszczęsnego leszcza. To ona bywała w klubie, choć nie sądzę, by kiedykolwiek spotkała się z Anną. Mówiłem już, że interesował ją innego rodzaju fitness. Ćpuńska pranajama. – Ojciec zatyka jedną dziurkę od nosa, a drugą wciąga powietrze. – Może Bartek powiedział Konradowi, żeby się trzymał z dala od Darii i Lisiej Chaty? Nie mam pojęcia. – Ojciec wzrusza ramionami. – No ale Bartek nigdy nie miał jaj. Ze śmieciami takimi jak Kondzio się nie rozmawia. Śmieci się wyrzuca.

– Bartek znał Konrada? – chrypi Rebeka.

– Dziwi cię to, myszko? Znał i miał dobry powód, by go nienawidzić. Chodziło mu o siostrę. Jak myślisz, kto rozprawdzał w klubie prochy i tabsy pod chirurgicznie ukształtowanym noskiem Sylwii, która dostawała od tego działkę? W strefie premium, która tylko po to powstała – dodaje z przekąsem. – Taksjarsz wie. Taksjarsz wszystko słyszy, kiedy oni siedzą na tylnym siedzeniu i gadają do swoich telefonów, jakby samochód sam się prowadził. Zastanawiałaś się kiedykolwiek, skąd twój mężulek bierze hajs? Bo chyba nie uwierzyłaś w tę bzdurę, że powiodło mu się na giełdzie?

– Konrad? – powtarza Rebeka całkiem skołowana, a ojciec ją przedrzeźnia cienkim głosikiem.

Ten pisk w jego ustach brzmi przeraźliwie i Rebeka krzyczy, bo chce, żeby przestał. Ojciec dopada do niej w dwóch susach i znowu wali ją w twarz, w dodatku z takim impetem, że córka przewraca się z krzesłem przytwierdzonym do pleców. Ten upadek jest dużo gorszy od poprzedniego, bo lecąc na płytki, o coś zahacza. Biurko?

Traci przytomność, a gdy ją odzyskuje, jej czaszkę i prawe biodro przeszywa ból. Z rozcięcia gdzieś na głowie leci krew i oblepia włosy, tworząc gęsty skrzep nad lewym okiem. W niewielkim kadrze widzi stopy ojca w brudnych sportowych butach. Znikają jej z pola widzenia i słyszy trzask zamykanych drzwi.

Rebeka bardzo szybko traci poczucie czasu i nie ma pojęcia, czy leży tak od kilku minut czy może dni. Krew z jej rozwalonej głowy nadal płynie, a towarzyszy temu pulsowanie w czaszce. Czytała gdzieś, że rany głowy obficie krwawią i przez to sytuacja wydaje się poważniejsza, niż naprawdę jest, ale wcale jej to nie pociesza. Ma przesrane. Gdzieś na biurku zostawiła komórkę, ale biurko to Mount Everest nie do zdobycia, gdy leży

przygnieciona krzesłem przywiązanym linką do jej pleców. Przypomina zakrwawionego ślimaka. Oto jej ostatnia życiowa rola, ostatnia przybrana forma, w której przywita niebyt.

ANNA

Powinna pani teraz wypoczywać – mówi pielęgniarka, odprowadzając mnie z toalety do łóżka.

Poznaję ją. Była na dyżurze, gdy przywiozło mnie tu pogotowie. Ma ładne oczy okolone gęstymi, czarnymi rzęsami. Przypuszczam, że nie musi ich nawet malować. Uparłam się, by Bartek wezwał karetkę. Nie tylko nie chciałam, by zabrał mnie i mojego nowo narodzonego synka do szpitala swoim samochodem, lecz także zabroniłam mu dotknąć choćby jednym palcem mnie i małego. Jeśli chodzi o Helenkę, to nie miałam wyboru. Przerazałam ją. Byłam czarna od sadzy i na wpół naga, gdy tuliłam do siebie płaczące niemowlę, i córka instynktownie przykleiła mu się do nóg.

Bartek wezwał pogotowie i straż pożarną. Zanim dotarli, stłumił ogień wężem ogrodowym, którego nie zdążyliśmy jeszcze ani razu użyć. Chmura deszczu spadła na doszczętnie spaloną szopę, trawy, gałęzie i nadpalone ogrodzenie wraz z przytwierdzonym do furtki wizerunkiem lisa. Dom ocalał. Gdyby przyjechał później, to kto wie. Może zajęłaby się drewniana weranda.

– Gdzie jest mój synek? – pytam z wysiłkiem, wspierając się na łokciach.

– Proszę się nie martwić, za chwilę go pani przyniosę. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Maluszek jest silny, zdrowy i bardzo dzielny.

Przypomina mi się, jak lekarz w karetce zażartował, że niemal zdecydowałam się na poród lotosowy, po czym wytłumaczył kierowcy, że to taki poród, w którym nie odcina się pępowiny, tylko przechowuje się noworodka przypiętego do trzymanego w soli łożyska nawet i kilka dni, dopóki pępowina nie odpadnie samoistnie. Bardzo modna ostatnio głupota – skwitował.

Kiedy pielęgniarka wychodzi, rozglądam się po dwuosobowym pokoju. Jestem sama, łóżko naprzeciwko jest puste, a obok niego znajdują się drzwi do łazienki. To chyba pokój z podwyższonym standardem. Zamykam oczy. Adrenalina wreszcie spadła i czuję, że znowu odpływam. Jestem zmęczona, jakbym urodziła siedmioraczki. Budzi mnie dźwięk otwieranych drzwi. Spodziewam się widoku sarnookiej pielęgniarki z maleństwem na rękach, ale widzę Bartka. Ma na sobie flizelinowy fartuch, czepek i ochraniacze na buty.

– Wynoś się stąd – mówię, chwytając przycisk wezwania pomocy.

Zwiesza głowę.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, co się tam stało. Po wstępnych oględzinach straż potwierdziła, że to nie był nieszczęśliwy wypadek. Ktoś polał benzyną i podpalił stos śmieci ułożony specjalnie w tym celu pod szopą.

– I może jeszcze mi powiesz, że to nie byłeś ty?

– Nie wiem, co sobie ubzdurzyłaś, mam jednak trzydzieścioro piętnastoletnich świadków, których uczyłem wtedy chemii. Może nie są najbardziej rozgarnięci, ale powtórzę, jest ich trzydzieścioro. Jakies drugie tyle dzieciaków i nauczycieli widziało mnie wczoraj w szkole w godzinach od ósmej rano do czternastej czterdzieści. Zaraz po lekcjach pojechałem po Helenkę do przedszkola i przebiłem się przez zakorkowane Rataje. Dotarłem do domu o szesnastej i nawet gdybym wpadł na głupi pomysł, by podpalić naszą szopę, to nie byłbym w stanie go zrealizować.

– Gdzie jest Helenka? – pytam. Wypuszczam z ręki przycisk.

– Odwiozłem ją do twojej matki. Tak jak kazałaś. – Bartek wzrusza ramionami. – Ale nic z tego nie rozumiem. Mała zresztą też nie. Przez cały czas wygadywałaś okropne rzeczy.

– Nigdy więcej jej nie zobaczysz!

– O właśnie. Takie rzeczy. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale jeśli maczała w tym palce ta wariatka Rebeka, to przysięgam, że...

– Nie mieszaj do tego Rebeki.

Sięgam z wysiłkiem po komórkę leżącą na stoliku obok i wybieram numer matki. Przypuszczam, że Bartek nie wspomniał jej o pożarze i zakazał Helence denerwować babcię, bo przez telefon szczebiocze. Mówi, że właśnie wpadł do niej sąsiad, ten starszy, który się wyprowadził do córki. Przyjechał oddać jej klucze, niepotrzebne jej zresztą, bo wymieniła zamki, niemniej miło z jego strony. Siedzą teraz, gawędząc o wnukach i zajadając się lodami truskawkowymi.

Uspokojona odkładam słuchawkę, a Bartek rzuca mi spojrzenie w stylu „a nie mówiłem”.

– Nie mam siły z tobą rozmawiać. Opowiesz o wszystkim policji.

– Zapewne tak. To standardowa procedura, kiedy straż pożarna stwierdzi celowe podpalenie. Ciebie też będą chcieli przesłuchać.

Nie mogę znieść jego opanowania i protekcyjnego tonu.

– Przestań wreszcie kłamać! – wydzieram się. – Byłam tam, w szopie, i wszystko widziałam!

Mierzy mnie wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy nie blefuję. Wreszcie opuszcza ręce wzdłuż ciała i siada na pustym łóżku naprzeciwko mnie.

– W końcu pewnie bym ci powiedział o kłatkach i o lisach. A może i nie... Nie mam pojęcia. Ja po prostu nie wiedziałem jak. Nigdy nie zapomnę tego fetoru i upiornych odgłosów, kiedy pracownik dziadka podpalił fermę. Z zemsty. To był straszny człowiek, nie chciałabyś go znać. Mojego dziadka zresztą też nie. Daria do dziś nazywa go dziadem.

– O lisiej fermie wiem od dawna. Od sąsiadki i od twojej siostry. Mówię o Hugo.

– Hugo?

– W jednej z klatek znalazłam jego obrożę. Nadal nie wiem, co z nim zrobiłeś, ale znalazłam tam jego pieprzoną obrożę!

Bartek wali się w czoło jak postać z kreskówki.

– I pomyślałaś, że ja zrobiłem temu psu krzywdę? Dostałem obrozę od sąsiadki, ktoś z Tuczną znalazł ją przy drodze i przyniósł. Ona chciała, żebyś ty ją dostała na pamiątkę po psie, ale poprosiłem, żeby z tym poczekać, dopóki nie urodzisz. Nie chciałem cię denerwować. Proszę bardzo, sama do niej zadzwoń i zapytaj. – Podaje mi komórkę.

Kręcę głową i oblizuję suche usta.

– A Matylda?

– Co Matylda?

– Znalazłam w jej książce to, co o tobie napisała. I powiem ci, że teraz rozumiem wiele jej zachowań.

– Co napisała? O co ci chodzi z Matyldą?

Bartek masuje sobie szczękę porośniętą świeżą szczecina zarostu.

– Molestowałeś ją, gdy była dzieckiem. Napisała o tym. Znalazłam kartkę w książce.

Bartek wbija we mnie twardy wzrok, a jego szaroniebieskie oczy ciemnieją.

– To jest wymysł i świństwo. Kurwa. Wszystko mi możesz zarzucić, ale nie to. Nigdy nie molestowałem żadnego dziecka, a już na pewno nie swoją siostrzenicę. Co ty wygadujesz? Jaka książka? Jaka kartka?

– Mati zostawiła kartkę w książce, którą pożyczyła od Rebeki. A może ją tam włożyła specjalnie? Nie mam pojęcia. Myślę, że chciała, żeby Rebeka się o tym dowiedziała.

– Ach tak? I nie przyszło ci do głowy, że być może to nie były zapiski Matyldy, tylko Rebeki? Nazwała mnie tam po imieniu?

Robi mi się głupio, bo może faktycznie zbyt pochopnie wysnułam wnioski, ale przypominam sobie o pudle z pomocami naukowymi Bartka, które spłonęło w szopie.

– A twój karton? Ładne mi pomoce naukowe. Znalazłam w nim reklamówkę z bielizną Matyldy.

Bartek kładzie łokcie na kolanach i chowa w dłoniach twarz. Po chwili ją wynurza i starannie dobiera słowa. Patrzy mi w oczy, a ja tak bardzo chcę mu uwierzyć.

– To bielizna Matyldy, która była w ostatnim praniu i dlatego nie zabrała jej ze sobą. Nie mam pojęcia, dlaczego te gacie i staniki były dla niej aż tak ważne, nie znam się na tym, ale Daria poprosiła, żebym je wysłał do Berlina na jej adres. W zamieszeniu zapomniałem. Wcisnąłem torbę do kartonu, który później wyniosłem do szopy, bo jak pamiętasz, nie mieliśmy jeszcze wtedy w sypialni żadnych mebli poza łóżkiem. Anka, co ty w ogóle wygadujesz? – Wreszcie kieruje na mnie wzrok, a jego spojrzenie jest pełne bólu. – Chcesz mi zniszczyć życie? Dlaczego? Przecież ty i ja... Myślałem, że się kochamy.

Kręcę głową, by odpędzić łzy. Muszę pamiętać, że to facet, który kiedyś mnie już skrzywdził. Może być pedofilem, gwałcicielem, mordercą. Tam w szopie obiecałam sobie, że już nigdy nie będę bezwolną ofiarą, i zamierzam dotrzymać słowa.

– Proszę bardzo, zadzwoń do Darii, a najlepiej do Matyldy. Sama potwierdzi, że mnie o to prosiła. – Bartek skubie palcami pozostałość po zgolonej brodzie. – Poproś też

o próbkę odręcznego pisma Mati, a założę się, że będzie inne niż na kartce, którą znalazłaś. To jest absurdalne oskarżenie. Jak mogłaś nawet przez chwilę pomyśleć, że to ja? Tego szukałaś w szopie? Dowodów przeciwko mnie?

– Drzwi się zaklinowały i nie mogłam wyjść. Wtedy odeszły mi wody i był tam wielki włośchaty pająk, który uciekał przed ogniem. Wycięłam spróchniałe deski piłą twojego dziadka i...

Krew odpływa Bartkowi z twarzy.

– To ty byłaś w środku? Gdy wybuchł ogień? Anka, nie rozumiesz, że to nie był przypadek? Drzwi wcale się nie zaklinowały. Nie zauważyłaś niczego podejrzanego? Nikt się nie kręcił w okolicy?

Potrząsam głową.

– Tylko ten stary, pracownik Marka, ostatniego wykonawcy. Chyba już odjechał, ale zapomniał skrzynki z narzędziami i po nią wrócił. To on rozwalił kłódkę, żebym mogła wejść do szopy. Poprosiłam go o to – zastrzegam, a Bartek wbija we mnie spanikowany wzrok.

– Jaki pracownik Marka? O czym ty mówisz? Przecież oni wczoraj skończyli.

– Powiedział, że miał zrobić jakieś poprawki i posprzątać teren. Starszy facet z bujną siwą czupryną, czapka z daszkiem, flanelowa koszula w kratę. Nie kojarzysz go?

Bartek chwyta za komórkę i słyszę, jak rozmawia z szefem ekipy. Upewnia się kilka razy, że nikogo dziś do nas nie przysyłał, a gdy się rozłącza, jego blada twarz staje się zielona w odcieniu szpitalnego wdzianka ochronnego.

– Coś tu jest nie tak – mówi cicho.

Odbiera telefon i dyktuje komuś adres szpitala.

Mrugam oczami, gdy do pokoju wchodzi pielęgniarka i podaje mi synka zawiniętego w niebieski rożek. Mówi, że byłoby dobrze, gdybym spróbowała go teraz nakarmić. Piersi mam pełne, ale pokarm nie od razu chce płynąć. Serce zaczyna mi bić mocniej na widok przyciśniętej do buzi maleńkiej piąstki.

– Ktoś czeka na pana na dole. – Pielęgniarka zwraca się półgłosem do Bartka. – Z policji – dodaje, ale w jej głosie nie ma satysfakcji jak u tych osób, którym się wydaje, że to, co złe, przytrafia się tylko innym ludziom.

ANNA

Po wyjściu Bartka przystawiam małego do piersi i po kilku nieudanych próbach wreszcie zaczyna ssać. On też jest zmęczony i szybko usypia, a ja chciałabym pójść w jego ślady, gdy tylko dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Dzień zdaje się nie mieć końca, choć za oknem jest już całkiem ciemno. Wybieram numer sąsiadki i pod pozorem podzielenia się radosną nowiną pytam ją o obrożę Hugo, a ona potwierdza słowa Bartka. Przez chwilę rozmawiamy o pożarze i mówię, że przez nieostrożność pracownika zajęły się śmieci przy szopie, dlatego spłonęła.

Dzwonię też do Matyldy, która brzmi wesoło, przynajmniej jak na nią, i mówi, że poznała dziś w szkole nową koleżankę. Pytam ją ostrożnie o kartkę w książce i dowiaduję się, że te zapiski już tam były, kiedy pożyczyła *Sekret* od Rebeki. Podkreśla, że nie ona jest ich autorką, a ja zaczynam rozumieć. To dlatego martwiła się o ciocię Rebeke. Milknę. Niewypowiedziane słowa wiszą między nami, bo wiem, że to nie jest rozmowa, którą powinnam przeprowadzać z dwunastolatką przez telefon. Matylda oddaje słuchawkę Darii, która gratuluje nam syna.

– Czy Bartek bywał w Diamencie? – pytam ją wprost, bo nie mam czasu na kluczenie. – To taki klub fitness – zaczynam, ale Daria wchodzi mi w słowo, a w jej głosie pojawia się napięcie, którego tam wcześniej nie było.

– Tak, wiem. Dlaczego pytasz?

Słyszę, że gdzieś się przemieszcza.

– Zginęła dziewczyna, która tam pracowała, Natalia. Jej ciało wyłowiono niedawno ze stawu. Podobno kiedyś widziała tam Bartka. – Nie chcę zbyt dużo zdradzić Darii. Nie musi wiedzieć o Konradzie.

– Natalia? Nie pamiętam. Swego czasu zaopatrywałam się tam w prochy – zawiesza głos. – Szczerze mówiąc, niewiele z tego pamiętam i chyba tak jest lepiej. Ćpałam, sypiałam z kim popadnie. Możliwe, że Bartek pojechał do klubu, bo chciał załatwić, żeby mnie odciąli. Gdyby nie mój brat... Dlaczego jego o to nie zapytasz?

– Wolę to usłyszeć od ciebie.

Na szczęście Daria nie pyta o nic więcej. Odkładam słuchawkę i patrzę w ciemniejące okno i księżyc przesłonięty chmurami. Bartek ma rację. Coś tu nie gra. Jeśli to nie wykonawca przysłał do nas tego starszego faceta, to co on tam robił? Dlaczego zamknął mnie w szopie i ją podpalił? Czy ten człowiek miał coś wspólnego ze śmiercią Wikinga i Natalii? Gdzie się podziewa Bartek?

Przytulam synka mocniej, a on kwili przez sen. Jeszcze niedawno wyobrażałam sobie Bartka w kajdankach, ale teraz wolałabym, żeby był przy mnie, przy nas. Diament w pierścionku zaręczynowym iskrzy w świetle lampki, a ja myślę o mężczyźnie, w którym się zakochałam, i o małej dziewczynce, dla której od początku był świetnym ojcem. Powinnam mu była zaufać. Wiem, że Helenka jest u mojej matki, bezpieczna i szczęśliwa jak zawsze, gdy dostanie lody truskawkowe, ale wolałabym ją mieć blisko sobie.

Spokojne sapanie maleństwa powoduje, że odpływam i gdzieś na granicy jawy i snu, gdy wyobrażam sobie twarz Helenki nad pucharkiem lodów, przypominam sobie słowa matki o odwiedzinach byłego sąsiada i kluczach, które jej oddał. Widzę twarz starszego mężczyzny we flanelowej koszuli wyraźnie, jakby stał obok, i w gardle więźnie mi krzyk.

ANNA

Komisarz Sielawa wygląda inaczej, niż go sobie wyobrażałam, gdy rozmawialiśmy przez telefon, jeśli moje dramatyczne jęczenie w słuchawkę można w ogóle nazwać rozmową.

– Proszę się uspokoić. Wszystko, co sobie pani przypomni, może nam pomóc w odnalezieniu córki – powtarzał mi przez telefon, jadąc do szpitala.

Rozpoznał mój numer i wiedział, że próbowałam się z nim wcześniej skontaktować, ale szczegółowe wyjaśnienia zostawiłam na później. Powiedziałam mu, że dostałam jego wizytówkę od Rebeki w związku ze śledztwem w sprawie być może wcale nie samobójczej śmierci Natalii. Do domu Rebeki wysłał podobno osobny radiowóz.

Powtarza teraz mnie i Bartkowi, jak ważna jest każda sekunda. Kiedy policjanci dotarli do mieszkania mojej matki i wyważyli drzwi, znaleźli ją pobitą i przywiązaną do krzesła z kneblem w ustach, a po Helence nie było ani śladu. Z zeznań matki wynikało, że minęło nie więcej niż kwadrans, odkąd ten bydlak otumaniał moją córeczkę czymś, co dodał do jej porcji lodów, i wyniósł z mieszkania. Opis sąsiada zgadzał się z moim opisem „pracownika ekipy Marka” i jak się okazało, z opisem mężczyzny, który lata temu podpalił z zemsty lisią fermę należącą do dziadka Bartka. Miał doświadczenie we wzniesaniu pożarów i chyba nie tylko. Widziałam to w oczach narzeczonego, załęcznionych jak nigdy dotąd.

Nie trzymam w rękach synka i zaczynam panikować, że jego też nie upilnowałam, ale Bartek przypomina mi, że nasze dziecko przed chwilą zabrała pielęgniarka. Histeryzuję, żeby mi przyniósł małego z powrotem.

Komisarz Sielawa wzdycha. Nie ma w sobie nic z łososiowatej ryby, jak sugerowałoby jego nazwisko, przypomina raczej drapieżnego ptaka. Ma kościstą twarz i duży nos, a za każdym razem, gdy przestaje mówić, zgrzyta zębami.

Jego zgrzytanie tak mnie rozstraja, że przestaję na chwilę histeryzować.

– Pani matka czuje się dobrze, zważywszy na okoliczności, ale pani Jakubik niestety nie miała tyle szczęścia. Została napadnięta najprawdopodobniej przez tego samego mężczyznę. Była przywiązana do krzesła w identyczny sposób, linką holowniczą. Podczas upadku doznała urazu głowy i... – Rozkłada ręce.

Skojarzenie, że pani Jakubik to Rebeka, zajmuje mi chwilę i choć później wstydzę się swojej reakcji, to zaczynam wrzeszczeć, że mam to gdzieś, że policjant nie powinien tu w ogóle być, tylko szukać mojej Helenki! Przybiega pielęgniarka i daje mi zastrzyk, po którym staję się spokojniejsza, a Sielawa pyta, czy pamiętam coś jeszcze. Markę samochodu, którym ten facet przyjechał rano, jakiś szczegół, napis na jego czapce z daszkiem. Moja pamięć okazuje się bezużyteczna. Wiem tylko, że samochód był

w ciemnym kolorze, czapka też, a facet stary, ale silny, mocno zbudowany. Typ serdecznego drwala, wydawał się miły – mówię i dla odmiany zaczynam płakać.

Podrywam się na dźwięk telefonu i na wyświetlaczu widzę numer Adama, sąsiada Rebeki. Pewnie zauważył zamieszanie pod jej domem i dzwoni do mnie w pogoni za sensacją. Nie chcę odbierać, ale Sielawa mnie ponagla.

Zanim Adam zdąży się odezwać, mówię szybko, bez ładu i składu, co się stało i że nie może blokować tej linii, bo ten bydlak, który załatwił Rebeke i zabrał Helenkę, może do mnie dzwonić. Wciąż na to liczę.

Szlocham i się rozłączam, ale Adam dzwoni jeszcze raz. On też smarka. Słysząc po głosie, że jest przeziębiony.

– Nie rozłączaj się. To ważne! Jest obok ciebie policja? Daj mnie na głośnomówiący.

Komisarz skupia wzrok na aparacie.

– Szukacie granatowego passata z kogutem taxi 520 520. Mógł go odczepić. Sedan, model B5 – wyrzuca z siebie szybko i Sielawa powtarza to swoim ludziom.

Nie przerywam mu tym razem. Wymieniam tylko spojrzenia z Bartkiem.

– Pracowałem dziś zdalnie, bo jestem chory, i widziałem taksówkę pod domem Rebeki. Niby nie powinna mnie dziwić, bo ostatnio codziennie jakaś firma przywoziła jej jedzenie, ale ta taksówka stała tam dobrą godzinę.

Kiedy Sielawa wychodzi, dobiega nas z korytarza przeraźliwy płacz noworodka i choć Bartek mi tłumaczy, że to normalne, bo jesteśmy na porodówce, znowu zaczynam histeryzować. Wolałabym mieć synka przy sobie, podobnie zresztą jak córeczkę. Bartek dobrze mnie zna i wie, co mnie uspokoi. Mówi, że teraz, gdy zna już model i numery samochodu tego świra, on też przejedzie się po mieście. Chce się na coś przydać, znaleźć Helenkę. Boję się zostać sama, ale uspokaja mnie, że Sielawa postawił na korytarzu policjanta, który będzie przez cały czas czuwał nad moim bezpieczeństwem.

Kiedy mój narzeczony wychodzi, wycieram łzy i składam rogi niebieskiego becika, żeby zająć czymś ręce. Za chwilę przyniosą mi moje maleństwo i gdy otwierają się drzwi, początkowo myślę, że to lekarz, a za nim wejdzie pielęgniarka. Mężczyzna jest jednak sam. Ma na sobie ubranie ochronne i maseczkę, zakrwawiony nóż w prawej ręce. Ten nóż rejestruję z opóźnieniem i może dlatego nie krzyczę. Nie mam pojęcia, jak się tu dostał, przecież na dole znajduje się ochroniarz, a pod moimi drzwiami policjant. Siedzę w łóżku sparaliżowana strachem i tulę do piersi pusty becik.

Gdy zdejmuję maseczkę i otwiera okno, poznaję „pracownika” z dzisiejszego poranka. Mówi, że może uciekłam z pożaru, ale upadku z piątego piętra nie przeżyję. Nie jestem kotem, nie mam dziewięciu żyć.

– Gdzie jest Helenka? – pytam, ale on w odpowiedzi kręci głową.

– I tak nie byłabyś dobrą matką – mówi. – Żadna z was. Nie była nią moja matka ani moja żona, matka Rebeki. Powiesiła się, Rebeka powiedziała ci o tym? – Mruga. – Moja

mała Gruba Beka... Z brzuchem pełnym żmij jak jej matka – dodaje niemal z rozrzewnieniem. – Może i schudła, ale żmije zostały.

Robi krok w moją stronę i wyciąga rękę.

– Oddaj mi małego. Zaopiekuję się nim i jego siostrą. Będzie im u mnie dobrze.

– Sama się zaopiekuję swoimi dziećmi. – Nie wiem, skąd wydobywam ten silny głos, ale mężczyzna w odpowiedzi kręci z uśmiechem głową.

– Depresja poporodowa to suka i coś mi mówi, że wyskoczysz z okna. Ale teraz mi go oddaj.

Światło lampy odbija się od płaskiej klingi noża, gdy robi kolejny krok w moim kierunku, a ja przytulam mocniej becik, udając, że całuję zawinięte śpiące niemowlę. Mam nadzieję, że przywołałam na twarz wystarczająco dużo czułości.

Z impetem rzucam becik w jego ramiona, a gdy instynktownie wyciąga rękę, wykorzystuję moment i wybiegam na korytarz. Niemal potykam się o ciało policjanta z poderżniętym gardłem, a tuż za zakrętem wpadam na Sielawę z uniesioną bronią. Jestem już bezpieczna, ja i mój synek, którego niesie właśnie pielęgniarka, gdy słyhać pojedynczy strzał. Sekcja zwłok wykaże, że ojciec Rebeki już nie żył, gdy wyleciał przez okno. Cóż, on też nie miał dziewięciu żyć.

EPILOG

Patrzę na nie codziennie zaraz po przebudzeniu, ale zauważam dopiero dziś, podczas złotej godziny fotografów, w miękkim świetle zachodzącego słońca. Do sypialni wpada ciepły wiosenny wiatr i trudno uwierzyć, że to dopiero marzec.

Nie śpię, nie czytam, choć trzymam w ręku książkę. Odkąd pracuję w wydawnictwie, rzadko czytam dla przyjemności, bo zamiast skupić się na fabule, chcę od razu przestawiać słowa, wymieniać je na nowe. Redaktorska nerwica. Leżę więc tylko i bezmyślnie wpatruję się we włoską fototapetę, którą Rebeka zastąpiła *Zwiastowanie* na przeciwległej ścianie. Nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłam wcześniej dwóch par świecących oczu ukrytych w gęstwinie.

Teraz widzę wyraźnie dwa splecione ze sobą lisy. Jeden jest złoty, drugi oliwkowy, mają po kilka puchatych ogonów, błyszczące oczy i nosy. Trudno powiedzieć, czy się ze sobą bawią, czy walczą.

Przypominam sobie, jak Rebeka opowiedziała mi o *kitsune*, japońskich lisach na płytkach zamówionych dla jednej z jej klientek. Teraz wiem, że nie było żadnej klientki, żadnego zamówienia, a może i płytek, ale *kitsune* owszem, istnieją. To lisie chochliki z japońskich domostw i mogą być dobre albo złe, jak dzikie *yako*, które opętują ludzi i sprowadzają na nich nieszczęście. Odróżnić je można tylko po odgłosach, więc *kitsune* musi zaszczekać. Pamiętam, jak się śmiałam, popijając kawę w wychodzącym na ogród, przestronnym salonie, że klientka będzie jej musiała uwierzyć na słowo. Twarz Rebeki rozmazuje się w moim wspomnieniu, jakby od tamtej chwili minęły lata.

Obok mnie leży Ignacy i wdycham rumiankowy zapach jego skóry rozgrzanej po kąpieli. Choć Bartek żartuje, że syn wyczuł ogień jak pirofilny chrząszcz i właśnie dlatego wybrał sobie ten moment, by przyjść na świat, to nasz mały chłopczyk w niczym nie przypomina ciemnika czarnego. Ma moje blond włosy, które przestałam farbować na ciemny kolor, i duże niebieskie oczy Bartka okolone gęstymi rzęsami. *Ignis* – ogień – jest za to obecny w imieniu, które dla niego wybraliśmy.

Z dołu dobiega radosny i niepohamowany śmiech Helenki. Cieszy się z odwiedzin Darii i Matyldy, które przyjechały z Berlina na weekend. Jutro pójdziemy razem na cmentarz. Odwiedzimy grób Rebeki, zapalimy znicze. Nadal trudno uwierzyć, że za tym wszystkim stał jej rodzony ojciec. Krew z krwi. Zgodnie z protokołem sekcji zwłok bezpośrednią przyczyną śmierci było uderzenie w skroń. Przywiązał ją do krzesła linką holowniczą jak moją matkę i być może przed wyjściem popchnął. Bardziej jednak prawdopodobna wydaje

się wersja, że zostawił ją tam samą, zamkniętą w pokoju, i próbowała się uwolnić. Spadając z krzesłem na podłogę, zahaczyła o kant biurka.

Gdyby się nie szamotoła, może nadal by żyła? Staram się nie brnąć w te rozważania. Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo udręczoną miała duszę, i gdziekolwiek teraz jest, mam nadzieję, że wreszcie zaznała spokoju. Słyszałam zeznania Darii i Bartka złożone przeciwko jej ojcu w sądzie. Wiem, że molestował nie tylko Rebekę, ale i – później – Darię. Pośmiertne badanie jego DNA wykazało, że był też ojcem Helenki. Tak. Wreszcie wyznałam, co ten bydlak mi zrobił. To on zabił Wikinga, który zanim zaczął posługiwać się swoim drugim imieniem Szymon, nazywał się Konrad, a Jakubik było przyjętym przez niego panieńskim nazwiskiem jego matki. To on, ojciec Rebeki, zamordował Natalię.

Zwierzęta nigdy się nie odnalazły, ani Hugo, ani Buka, i przypuszczam, że ich zniknięcie też było jego sprawką. Może chciał mnie w ten sposób zastraszyć albo zabawić się moim kosztem? Przecież włąził do mieszkania mojej matki, posługując się darowanym mu kluczem, i podmieniał jej leki w fiolce, przestawiał sprzęty jak japoński dziki lis *yako*, mieszając jej w głowie. Nie wiem. Nie mam zamiaru otwierać tych drzwi. Patrząc na obraz, na schowane w gąszczu lisy, cieszę się, że ten psychopata wreszcie nie żyje.

Tego wszystkiego oczywiście nie powiedzieliśmy Helence. Tak naprawdę niewiele jej zdradziliśmy i mam nadzieję, że nigdy się nie dowie, kim był jej prawdziwy ojciec ani że ona i Rebeka były przyrodnimi siostrami. Siostra... Przypominam sobie, że Rebeka mówiła tak o mnie. Ubzduriała sobie, włączając moje filmiki i ćwicząc ze mną, że zamieszkałam w jej domu i jestem jej rodziną. Cóż, choć nie byłyśmy spokrewnione, coś nas połączyło. Ktoś nas połączył. Ktoś piękny i niewinny, nieskazitelnie czysty, jak kwiat lotosu na bagnie wspomnień, które każda z nas ukryła w najciemniejszej z szuflad i wyrzuciła klucz. Przypominam sobie wszystkie wieczory, kiedy Rebeka czytała bajki mojej zachwyconej córce, i myślę o miedzianych refleksach, których coraz więcej pojawia się w jej włosach. Jak na zawołanie rozlega się kolejna salwa śmiechu Helenki, a przebudzony Ignasz zaczyna płakać. Mogłaby zachowywać się ciszej, ale nie mam serca jej strofować. Nie po tym wszystkim, co przeżyła w październiku.

Na szczęście Helenka nie pamięta niczego od momentu zjedzenia lodów u babci. Gdy ludzie komisarza Sielawy znaleźli ją śpiącą na tylnym siedzeniu taksówki zaparkowanej kilka przecznic od szpitala, okazało się, że nic jej nie jest. Najbardziej dramatycznym wydarzeniem tamtego dnia pozostaje dla niej widok spalonej szopy, sadzy i krwi na mojej twarzy i porwanym ubraniu, gdy siedziałam w pokrzywach z Ignacym przyklejonym do brzucha.

Patrząc na lisy ukryte w grafice i zastanawiam się, czy umieszczając ją tutaj, Rebeka próbowała nas ochronić. Nigdy się jednak nie dowiem, jak szczekają.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Wam, moim czytelnikom. Pisanie to samotny proces, który przypomina nagrywanie płyty. W przeciwieństwie jednak do muzyka, który później stanie na scenie i zagra premierowy materiał, patrząc na słuchaczy, być może nawet śpiewając razem z nimi refren, dla mnie czytelnik pozostaje zagadką.

W trakcie pisania skupiam się na bohaterach, ale gdy powieść idzie w świat, jestem ciekawa przemyśleń i emocji, jakie książka w Was wywołuje. To dlatego tak bardzo cieszą mnie recenzje zostawione na portalach takich jak lubimyczytac.pl czy goodreads.com, ale też opinie, zdjęcia, wiadomości zostawione na Facebooku czy Instagramie, w lokalnej bibliotece. Te czytelnicze ślady przedłużają życie książki. Czekam nie tylko na pochlebne recenzje. Cieszę się, gdy powieść porusza Was na tyle, by do mnie napisać i ponarzekać na bohaterów, fabułę czy zakończenie. Każda pozytywna opinia mnie uskrzydla, a krytyka motywuje do dalszej pracy. Wszystkie wzmianki o powieści dają mi okazję Was poznać i wspólnie „zanucić refren”.

Można się ze mną skontaktować za pośrednictwem strony autorskiej [facebook.com/gretadrawska](https://www.facebook.com/gretadrawska) oraz profilu [gretadrawska](https://www.instagram.com/gretadrawska) na Instagramie. Kilka lat temu zdecydowałam się publikować książki pod pseudonimem Greta Drawska. Decyzja ta była wypadkową zmian w moim życiu, zarówno twórczym, jak i prywatnym. Moje prawdziwe imię i nazwisko nie są już jednak dla nikogo tajemnicą i jeśli jesteście ciekawi wcześniejszych powieści, zapraszam także na strony: [facebook.com/malgosia.hayles](https://www.facebook.com/malgosia.hayles) oraz profil [malgorzata.hayles_autorka](https://www.instagram.com/malgorzata.hayles_autorka) na Instagramie.

Dziękuję niezrównanej Ani Derengowskiej z wydawnictwa Prószyński, za to, że uwierzyła w tę powieść i za jej cierpliwą, wspierającą obecność. Nasza współpraca to przyjemność. Osobne podziękowania należą się całemu zespołowi wydawnictwa, który zadbał o to, by powieść trafiła w Wasze ręce w takiej formie. W tym momencie zawsze lubię przypomnieć, że za książką stoi nie tylko autor, ale kilkanaście osób, które nie tylko dbają o jej ostateczny kształt, ale i o to, by trafiła do Waszych rąk. W tej grupie są także niestrudzone blogerki i instagramerki, które nierzadko zarywają noce i z wielką pasją piszą o książkach ze swoich „stosów”, które na szczęście w dzisiejszych czasach nie płoną.

Dziękuję moim przyjaciółkom, Magdzie Białej i Magdzie Czarnej, jak je czasem nazywam, by przydać im aury tajemniczych i wcale nie tak niewinnych czarodziejek. Nasze rozmowy do świtu o wszystkich sprawach tego świata są dla mnie nieustannym źródłem inspiracji.

Od pewnego czasu moje życie coraz bardziej – i szczęśliwie coraz wolniej – płynie w miejscu dalekim od szlaków miasta. Tu jestem jesieniarą, ale też zimiara, wiośniara, letniara, a przede wszystkim wieśniara. W tym miejscu chciałabym podziękować gościnniej ziemi drawskiej, która odpowiada nie tylko za mój pseudonim literacki, ale i przebudzenie do bardziej świadomego życia blisko natury. Dziękuję wspaniałym ludziom z sąsiedztwa, z którymi łączą nas wspólne wartości. Z wami dobrze jest budować zagony podwyższone, ale też słuchać koncertów żab, witać bociany, patrzeć w gwiazdy.

Na koniec, choć wcale nie najmniej, dziękuję Karolowi. Od samego początku nasze życie to wir zdarzeń i nawzajem napędzających się pasji, które zbiegły się w wymarzonej siedzisku dobrego, prostego życia. Wiele już razem przeżyliśmy, ale z Tobą zawsze z ciekawością wyglądam tego, co za zakretem. Nie mogę się doczekać.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

WTEDY

TERAZ

ANNA

ANNA

REBEKA

REBEKA

ANNA

REBEKA

REBEKA

ANNA

REBEKA

ANNA

REBEKA

ANNA

REBEKA

ANNA

ANNA

REBEKA

ANNA

REBEKA

ANNA

ANNA

REBEKA

ANNA

CZĘŚĆ DRUGA

WTEDY

TERAZ

REBEKA

ANNA

REBEKA

ANNA

ANNA

ANNA

REBEKA

ANNA

REBEKA
ANNA
ANNA
ANNA
CZĘŚĆ TRZECIA
WTEDY
TERAZ
ANNA
ANNA
REBEKA
ANNA
ANNA
REBEKA
CZĘŚĆ CZWARTA
ANNA
ANNA
REBEKA
ANNA
ANNA
REBEKA
ANNA
ANNA
REBEKA
ANNA
ANNA
ANNA
EPILOG
PODZIĘKOWANIA